



JVLIV3Z

SŁOWACKI



POECI

POLSCY

J. SŁOWACKI
DZIEŁA

V



W R LAZAROWICZ

JULIUSZ SŁOWACKI

DZIEŁA

(WYDANIE ILLUSTROWANE).

w sześciu tomach

POD REDAKCYĄ

FERDYNANDA HOESICKA i LEOPOLDA MÉYETA

Z PRZEDMOWĄ

IGNACEGO MATUSZEWSKIEGO.

TOM PIĄTY.

1909.

LIBRARY SLOWACIA



179.151



EUZEBIUSZ SŁOWACKI.



SALOMEA SŁOWACKA.

(Rodzice Juliusza Słowackiego).

BENIOWSKI.

BENIOWSKI.

PIEŚŃ I-sza.



a panowania Króla Stanisława
Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu;
Wysoko potem wyniosła go sława –
Szczęścia miał mało w życiu, więcej bólu;
Albowiem była to epoka krwawa,
I kraj był cały na rumaku, w polu.
Łany, ogrody leżały odłogiem,
Zaraza stała u domu, za progiem.

Maurycy-Kazimierz-Zbigniew miał z ochrzczenia
Imiona – rodne nazwisko Beniowski;
Tajemniczą zaś gwiazdę przeznaczenia,
Co go broniła jako Częstochowski
Szkaplerz: od dżumy, głodu, od płomienia
I od plag wszystkich – prócz śmierci i troski;
Bo w życiu swoim namartwił się bardzo,
A umarł, choć był z tych, co śmiercią gardzą.

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.
Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną,
Ale się staną niby harfą strojną,
I bite pieśnią zapału – nie pęką!
Przez całą młodość Pan Beniowski bujnie
Czuł za trzech ludzi – a więc żył potrójnie.

Wioszczkę małą miał, ale dziedziczną,
Dwadzieścia miał lat, był u siebie panem.
Spraszał do domu szlachtę okoliczną –
Fortunka jego ciągle ciekła dzbanem.
Miał nadto proces i sprawę graniczną;
A prędzej sprawę wygrałby z szatanem,
Niż z ową psiarnią wtenczas palestrantów;
Słowem, że przyszło do długów i fantów.

Pozbył się naprzód klinów i futorów,
Potem i konie wyprzedził z uprzężą –
Nie znano wtenczas jeszcze w Polsce szorów,
O które żony dziś mężów ciemną –
Pozbył się potem swoich białozorów,
Regentowi dał charty – w rękę księża
Ostatnie grosze dwa za ojca duszę,
I na ornaty dwa ojca kontusze.

Z tych majątkowych ostatnich konwulsyi,
Nie zyskał, jedno wyrok przeciw sobie,
Wyrok, w którym rzecz była o ekspulsyi.
Mało o to dbał, tracąc na chudobie;
Dzisiaj są ludzie młodzi stokroć czulsi,
Lecz Pan Beniowski rzekł: ja sam zarobię
Na drugą wioskę, et si non mi nocēs
Fortuna – z wioską nabędę i proces.

I znowu mój syn będzie miał przyjemność
Z palestrą jadać i być Akteonem;
I na przyjaciół wzdychać niewzajemność
I stać, tak jak ja, pod ciemnym jesionem,
Który mój ojciec sadił. – O, nikczemność!
Tu Pan Kazimierz jęknął harfy tonem,
I na szumiący jesion łzawo spojrział.
W tej chwili zyskał trochę – trochę dojrzał.

Trochę skorzystał w sobie jako prawnik,
Trochę skorzystał jak człowiek odarty,
Na którego sam pan sędzia, zastawnik
I regent, niby trzy głodne lamparty,
Lub jako muły puszczane na trawnik,
Lub jak na duszę rozsierzdzone charty,

Wpadli, ogryźli, i na pocieszenie
Rzecz zostawili słodką—doświadczenie.

O doświadczenie!—ty jesteś pancierzem
Dla piersi, w której serce nie uderza;
Jesteś latarnią nad morskiem wybrzeżem,
Do której człowiek w dzień pochmurny zmierza!
O doświadczenie! jesteś ciepłym pierzem
Dla samolubów! Tyś gwiazdą rycerza,
Bawelną w uszach od ludzkiego jęku;
Dla mnie, wśród ciemnej nocy, świecę w rękę!

Lecz Pan Beniowski liczył lat dwadzieścia:
O doświadczenie, jak o grosz złamany,
Nie dbał; wolałby mieć wioskę i teścia,
To jest być ślubem dozgonnym związany
Z panną Aniela. Tej sztuka niewieścia
Sprawiła, że był srodze zakochany;
Na gitarze grał i rym śpiewał włoski,
I wszystko dobrze szło, dopóki wioski

Nie stracił, wtenczas po włosku: addio!
Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów!
Okropne słowa! jeśli nie zabiją,
To serce schłoszczą tysiącami biczów.
Panna Aniela, dziewczę z białą szyją,
Była z rodziny dostatniej A...wiczów;
Kochała wiernie, wierność była w modzie;
Lecz ojciec—ten stał jak mur na przeszkodzie.

Mimo to jednak Aniela, jak różę,
Co nad wysoki mur liściem wybiegną
Patrzeć na słońce, oczy miała duże,
Czarne.—Jak różę, co się nad mur przegną,
I mimo czujne ogrodowe stróże,
Zerwaniu chłopiąt i dziewcząt ulegną;
A potem gorzki los tych niewiniątek
Więdnąc na włosach i sercach dziewczątek!

Aniela, mimo ojcowskie czuwanie,
Widywała się ze swoim Zbigniewem.
Kronika milczy, czy to widywanie
Odbywało się pod jaworu drzewem,

W godzinę, kiedy słyhać psów szczekanie,
Kiedy słowiki wywołują śpiewem
Księżyc z pod ziemi; lecz pozwól Asindziej,
Że się nie mogli widywać gdzieindziej.

Zwłaszcza o innej porze. Ojciec srogi,
Do tego wielki oryginał, splennik,
Dyabeł wie jakiej wiary; w rzymskie bogi
Wierzył, i wierzył w proctwa i w sennik;
Chrystusa także krwią oblane nogi
Całował, zwał się cesarzów plemiennik;
Słowem, była to dziwna meskolancya
Świętości, złota, folgi—jak monstrancya.

To porównanie pojąłbyś odrazu,
Gdybyś go widział w złocistym szlafroku,
Z łbem łysym, gdzie jak z Rembrandta obrazu
Odstrzeliwało słońce, kiedy w mroku
Adamaszkowych purpur, stał jak z głazu
Kłaniającym się ludziom na widoku;
I stał jak martwy, niczem się nie wzruszył,
Lecz widać było, że żył, bo się puszył.

Zamek jego stał nad rzeczką Ladawą,
Na skale, a pod skałą staw był wielki.
W tym stawie widać było twarz jaskrawą
Słońca i białe łabędzie Anielki;
Grobelkę z młyńską u końca zastawą,
Za groblą kościół Panny Zbawicielki,
Z trzema wieżami baniastemi, w złocie,
I chat okienka, niby oczy kocie.

Wszystko to było dziwnie piękne, cudne!—
Zwłaszcza, że szlachcic, wielki oryginał,
Góry uczynił do przebycia trudne;
Wężowe w skałach ścieżki powycinał,
I między róże, co rosły odludne,
Powstawał golce rzymskie... Ten puginał
W rękę swym trzymał i miał twarz brodatą,
Skąd łatwo było poznać, że to—Kato.

Apollo w morzu zostawił koszulę
I na starosty górach stał bez listka.

Dalej, w egipskich katakombach – ule...

Dalej posągi, którym koniec świstka
Wylał z gęby i przemawiał czule

Do pana zamku – jak do antychrystka –
Albowiem wszystkie te wymysły pańskie
Nie katolickie były – lecz pogańskie.

W ogrodzie stała jakaś larwa niema,
Czarna, ogromna, rozrosła szeroko;
Był to krzesany dąb na Polifema.

Jedno w koronie miał wybite oko
A tyle widział nieba, co obiema;
I nad sadzawką coś dumał głęboko,
Patrząc tem jednym okiem w ciemną wodę:
Na deszcz miał czarny wzrok, jasny w pogodę.

Naprzeciw była bardzo ciemna grota,
Przed nią się nieraz siwy rybak skłoni,
Gdy go na stawie ogarnie ciemnota,
A sieci pluszczą wśród spokojnych toni.
Albowiem w grocie Matka Boska złota,
Z wieńcem różanych lamp na jasnej skroni,
Jako Dyana o poranku biała,
Na staw z różanej tęczy wyzierała. –

Słowem – było to istne głupstwa wzgórze,
Zwierciadło czyste cnego antenata,
Na którym meszty świeciły papuże,
Rzymska, purpurą bramowana szata.
Przy ucztach często na łysinie – róże,
A w ręku czara ze śmiercią Sokrata,
Tak dobrze, wiernie wykowana rylcem,
Że kto pił, zdał się mędrcom – nie opilcem.

Z tego wszystkiego pan Kazimierz śmiał się,
Lecz zakochany w cudownej Anieli,
Wyjawić szczerze swoich myśli bał się;
Polubił nawet te posągi w bieli,
Te groty od lamp różane... i stał się
Nabożnym bardzo w każdej skalnej celi;
W każdej albowiem była jego droga,
I w każdej po niej została część Boga,

Woi jakaś, jakiś duch nieprzenikliwy,
Co myśli wtrącał i duszę w marzenia.
Każdy z nas miał kraj młodości szczęśliwy,
Kraj, co się nigdy w myślach nie odmienia.
Ja sam, com widział Chrystusa Oliwy,
Góry z marmuru i góry z płomienia,
Wolę – i sędzę najpiękniejszą z krajów
Jedną maleńką wieś, pełną ruczajów.

Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
Konwalia – pełną sosen, kalin, jodeł;
Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
Gdzie brzoza jasnych jest kochanką źródeł,
A zaś przyczyna temu jest istotna,
Że na tych bagnach, gdzie potrzeba szcudeł,
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,
Jasny i chmurny – jako księżyc w chmurach.

O, Melancholio! Nimfo! skąd ty rodem?
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?
Skąd przyszedł do nas? Co ci jest powodem,
Że teraz nawet szlachtę okoliczną
Zarażasz? Nimfo! za twoim przewodem
Ja sam wędrówkę już odbyłem śliczną!
I jestem dzisiaj... niech cię porwie trzysta!
Nie Polak, ale istny Bajronista.

Trochę w tem wina jest mojej młodości,
Trochę tych grobów, co się w Polsce mnożą,
Trochę tej ciągłej w życiu samotności,
Trochę tych duchów ogniowych, co trwożą,
Palcami grobów pokazując kości,
Które się na dzień sądny znów ułożą...
I będą chodzić, skrzypiąc, płacząc, jęcząc;
Aż wreszcie Pana Boga skruszą – dręcząc.

Prześliczna strofa! mógłbym zacząć od niej
Nowy poemat, jak sąd ostateczny;
I przy Eumenid pokazać pochodni,
Jak jest grzech każdy dziwnie niebezpieczny;
Jak w jasnym niebie daleko jest chłodniej,
Niż w piekle, kędy płonie ogień wieczny;

Lecz wolę dzieło to rzucić na później,
Bo do porządku mnie wołają woźni.

Ci woźni są to krytycy... Kolego!
Byłeś w Arkadyi tej, gdzie Jezuici
Są barankami?... pasą się... i strzegą
Psów... i tem żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszczą?... Kraina niczego!
Pełna węzowych ślin, pajęczych nici
I krwi zepsutej... Niebieska kraina!
Co za pieniądze bab truć nas zaczyna.

Był wieczór. Z kwiatów wychodziły wonie
Melancholiczne, ciemniał las dębowy.
Beniowski kazał osiodłać dwa konie:
Jeden dla siebie, na drugim domowy
Miał jechać sługa. Beniowski na skronie,
Chciałbym powiedzieć: włożył hełm stalowy,
Lecz nie poemat pisząc, tylko gadkę,
Powiem, że tylko wdział – konfederatkę.

Zapiął na piersiach szpencer z barankami,
Zawiesił burkę z tygrysiemi łapy;
Wsiadł na koń, spojrział na ganek ze łzami,
Pogłaskał konia – koń otworzył chrapy
I w ciemną domu sień zaparskał skrami
Na pożegnanie. Klasły dwa harapy
Pana i sługi. I pan ze swym sługą
Wyszli z rodzinnych progów – i na długo!

O! gdyby wtenczas jaka Nimfa smętna,
Wiadoma ludzkiej przyszłości, krzyknęła:
Już ty nie wrócisz! i stopy twej piętna
Są tu ostatnie! lecz jeśli tve dzieła
Zapisać sława wszystkiego pamiętna:
Ten dom, z którego cię nędza wypchnęła,
Będzie świątynią, a te ciche świerki
Pójdą na krzyże i na – tabakierki.

A twe koszule porzną na szkaplerze,
A twe papiery, choćby to był tylko
Od ekonomy list, albo przymierze
Wiecznej miłości z Hańdzią lub Marylką,

Sawantka łzami rzewnemi wypierze
I w sztambuch wklei, albo przypnie szpilką.
Że twa peruka, jeśli masz perukę,
Frenologistów podeprze naukę!

Że twój but prawy zawieszą w Sybili,
A o znikniony lewy będą skargi.
Nie mówię więcej, bo moj rym już kwili
I łzami się już zalewają wargi!
Lecz gdyby jaka Nimfa w owej chwili,
Kiedy nasz rycerz na świata zatargi
Puszczął się, takie proroctwo wyrzekła:
Uczulby w sercu coś, coś nakształt piekła.

O! dzika żądzo pośmiertnego żalu,
Jakiem ty jesteś smutnem głupstwem ludzi!
Zwłaszcza, że wieszysz prosto do szpitalu
Rozmarzonego. A nim się obudzi,
Już w jego oczach, jak w mglistym opalu,
Błyskają światła, szpitalnicy chudzi,
Mniszek pacierze, trumien robotnicy,
Mgła – za tą chmurą Pan Bóg nakształt świecy.

Ale to wszystko jedno. Nasz bohater
Dom swój opuszczał ze swym starym sługą,
Jak opuszczała swój dom panna Plater,
A kiedyś, dawniej, Czarnecki z kolczugą.
Ach tak, jak później nasz sejmowy krater,
Który wybuchnął wielką, jasną fugą
Z Warszawy, Wisłę przewędrował promem,
I mówi, że jak ślimak wyszedł z domem.

Ach! tak jak sztaby, klub i wszyscy święci,
Co dzisiaj w każdym są kalendarzyku
Emigracyjnym, niby z krzyża zdjęci,
Jak ja nareszcie, co w tym słoneczniku
Muszę się kręcić, bo się ze mną kręci
Za każdym słońcem – słońce mamy bez liku!
I trzeba dobrze nam tą myślą przesiąć,
Że dla niezgody słońce – królem jest miesiąc.

Lecz to dla innych wieszczów, ta bez twarzy
Walka, jak w dawnej Skandynawów wierze

Wojna niebieskich, krwawych luminarzy.
Teraz niech nowi wystąpią rycerze.

.....
.....
Pan Kazimierz jechał takim być ułanem,
Kłaniało mu się zboże całym łanem.

Kłosek mu każdy dziękował ugięty,
Bławatek każdy mu się przypatrywał,
Ani się skarżył, choć kopytem ścięty.
Beniowski jechał cicho, sługa śpiewał
Jedną z tych pieśni, w których jęk zamknięty,
A głos po łanach złocistych przepływał
I wpadał w ciemny las, na dębów słuchy:
Te drżały, bijąc skrzydłami jak duchy.

Ciemniało. Rycerz wyjechał nad jary,
Skąd rzucił okiem na dom swej kochanki.
Skała ta, jako wielki obłok szary,
Stała nad stawem; nad nią były wianki
Drzew ogrodowych i dom wielki, stary,
Z płomienistemi okny i krużganki.
Całą tej górze postać ekscentryczną
Odjęła złota noc swą szatą śliczną.

Nie widać było posągu Junony,
Dalekim oczom zniknął gdzieś Apollo;
Ale dąb widać było zamyślony,
Co stał nad zamkiem żeniony z topolą;
Lecz z zamku księżyc wybuchał czerwony,
Jak smutny aktor, co z Hamleta rolę
Wyjdzie na scenę. Księżyc wstąpił krwawy
I oczerwieniać zaczął staw Ladawy.

Pan Kazimierz był z tych, co stawiają na tuza
Cały majątek. Przegrał go i plunął,
Lecz patrząc na ten dom, gdzie wziął harbuza,
I z nadziei swych na wiek wieków runął:
Westchnął! i wzniosła mu się w piersiach śluzą,
Łzami się zalał i z siodła się zsunął
Jak człowiek, który dostał nagle mdłości.
Przskoczył stary Grześ: „Co jegomości?“

„Święta Maryo, ratuj! dziecko kona!“

Na to Beniowski rzekł: „poprawiam strzemię“,
Odepchnął sługę, co go brał w ramiona,

W konfederatkę się chlasnął i w ciemię;
Spojrzał na księżyc, co zeń jak z Memnona

Wydobył jęki, i całe trosk brzemię,
Takim westchnieniem wielkiem w księżyc cisnął,
Że księżyc ścmił się, zmarszczył i znów błysnął.

Westchnąwszy, jechał dalej brzegiem jaru,

A za nim sługa w ceglastym kontuszu.
Smutnemu wiatr się zdaje pełen gwaru,

Litość aniołów brzęczy koło uszu:
Smutny jest, gotów do bójk i swaru,

Gorączkowego pełen animuszu.
Takim Beniowski był i jego lozak,
Szczęściem, że żaden nie zjawił się kozak.

Bo w takiej chwili kochanek rozpaczny

Gorszy, niż lwica Wirgila hirkańska.
Jechał więc smutny rycerz, za nim baczny

Na wszystko jechał Grześ, a wódka gdańska
W skórzanej flaszy dźwięk dawała smaczny.

I bełkotała ta Nimfa szatańska
Właśnie jak gołąb, co z miłości grucha,
Lub poetyczna na Litwie ropucha.

Słysząc, jak słodko zapraszała flasza,

Spróbował jej Grześ raz, dwa i trzy razy;
I w oczach mu się wnet zrobiła kasza

Z gwiazd, a sam księżyc był szperką, a głazy
Ludźmi. Więc jako żona Eneasza,

Został się w Troi, z konia spadł na ślasy.
I tak bohater zbył swojego sługi,
Ale za koniem jego szedł koń drugi.

I było coraz ciemniej. W tem, o cuda!

Koń Grzesia zaczął prześcigać panicza.
Na nim siedziała jakaś wiedźma ruda:

Gałąz pokrzywy miała zamiast bicza;
Tu widzę, że mi się poemat uda,

Że mi już muza swoich łask użyzca;



W. PAWLISZAK.

BENIOWSKI.

Więc dalej! wieszczów galopem wyprzedźmy,
Jest ex machina Deus – w kształcie wiedźmy.

Więc, jak powiadam, zrównały się konie.
Beniowski nagie ocknął się i wzdygnął,
Widząc, że siedział czart w srebrnej koronie
Na koniu, co go jak wichur prześcignął,
I wziął z Kaźmierza rąk w kościane dłonie
Lejce, i stepem zamroczonym śmignął,
Ciągąc za sobą mojej pieśni syna.
Że Polak daje się wieść, nie nowina!

Widziałem. Ale stój, Muzo! bieg krzywy
Tu nie przystoi wcale. Miesiąc świeci,
Na koniu wiedźma, gałęzią pokrzywy
Smaga po zadzie konia i tak leci
W srebrnej koronie, jak anioł straszliwy,
O którym roją na pół senne dzieci;
Że koń ma ze mgły, z węzów srebrnych bicze,
Skrzydła ogniste i niańki oblicze.

I coraz prędzej, jakby anioł zgonu,
Pędził za naszym rycerzem i babą;
Dźwięk głuchy kopyt, jak jęczenie dzwonu,
Jako tętnienia echo, jęczał słabo,
A ręka wiedźmy, jak liść wielki klonu
Gdy zczerwienieje, lub, jak mówi Strabo,
Łapa Ibisa czerwona, bez pierza,
Za leje trzymała swój, i leje rycerza.

W zawrocie głowy rycerz wlepił oczy
W tę rękę z trzema czerwonymi żyły.
A więc rozmyślał, czy z konia zeskoczy?
Ale mu jego koń był bardzo miły.
Czy świesnie szablą aż się łeb potoczy
I spadnie z karku wiedźmy do mogiły?
Ale i ta myśl druga i ta chęćka
Zdawała mu się niezła, lecz za prędką.

A tu bym wiedzieć chciał twe mądre zdanie,
Mój czytelniku, i twój sąd o rzeczy:
Gdyby cię takie spotkało porwanie,
Byś nie spodziewał się znikąd odsieczki,



I widział taką rękę, Mości Panie!
Czerwoną? do miliona krwawych mieczy,
Taką ohydną rękę, pełną kości,
Co pozbawiła cię ludzkiej godności?!

Zwłaszcza, jeżeli jesteś demokratą
I o swą godność indywidualną
Dbasz wielce. Cobyś więc powiedział na to,
Gdybyś przez babę tak suchą, fatalną,
I nie wiem pewnie – lecz może wąsatą
Sę-Symonistkę, i nie idealną,
Ale kościaną, był pozbawion woli
I tchu, i czynił to, co godność boli?

Nie wiesz? Więc sobie zamawiam twą łaskę
Nadal, na rzeczy ważniejszych sądenie.
Beniowski więc wpadł w szatańską zatraskę;
Widzę w tem jego gwiazdę, przeznaczenie!
I leciał jak wiatr, patrząc w bladą maskę,
Którą słoneczne wkładają promienie
Na twarz księżycza; a w tym prędkim biegu
Świat mu się cały zdawał kłębem śniegu.

Nagle – zwolniła kroku przewodniczka,
Roześmiała się, zeskoczyła z siodła.
Beniowski siedział na koniu jak świeczka,
Patrząc, gdzie go ta wędrówka zawiodła.
Ujrzał, że chwastem zarosła uliczka
Między skałami, co mogą za godła
Służyć dwom sercom rozdartym na wieki,
Wiodła go prosto – prosto – do pasieki.

Pasiekę tę znał dobrze, i te skały,
I tę ścieżeczkę pełną rudej glinki.
Tutaj pasterskie roił ideały,
Z których czytelnik może robić drwinki.
Starosta córce dał ten gaik mały,
I od niej nazwał miejsce – Anielinki.
A zaś ta wiedźma na pozór straszliwa,
Była to niańka panny, stara Diwa!

Poznał ją rycerz i za tę czerwoną,
Za tę Ibisą rękę wnet uściśnął.

„Więc ty Irydą jesteś, a Junona
„Jest twoja pani? Teraz oblok prysnął!
„Ach! widzę, jaką miałem myśl szaloną!
„I cobym zrobił, gdybym szablą świsnął
„I odciął ci tę rękę, Diwo stara!
„Drugi raz nie graj w dyabła i w Tatara!“

Tak mówiąc, za swą Diwą szedł z pośpiechem,
I ze skał wyszli na łąkę zieloną,
Na którą księżyc spoglądał z uśmiechem,
Widząc tysiącznych róż otwarte lono.
Chata nakryta prostej słomy wiechem,
Ścieniona lipy ogromnej koroną,
Stała na łące w najciemniejszej głębi,
Z girlandą śpiących w około gołębi.

Z drzeniem za Diwą szedł Beniowski młody,
Prowadząc konia, co się wyrwał z dłoni,
I poszedł zwolna, parszając, do wody;
Ta wyglądała z pod białych jabłoni
Szarfą księżycą, błękitem pogody.
Za nim koń drugi poszedł rżąc, a oni—
To jest, nie konie, lecz nasz rycerz z Diwą,
Weszli w lepiankę pochyłą i krzywą.

Staruszek, Diwy mąż, poświecił w sieni,
I drzwi otworzył od panny pokoju.
Na progu stała, jakby smętna ksieni,
Panna Aniela, cała w białym stroju;
Z dyamentowych zaś miesiąc pierścieni,
Podobny do gwiazd migających roju,
Błyskał na kruczych włosach rozwiniętych,
Właśnie jakoby złote światło Świętych.

Beniowski myślał, że anioł, i witał
Jak bóstwo, długiem, przeciągłem westchnieniem,
Potem się zmięszał i o zdrowie spytał;
Co dziś byłoby wielkiem uchybieniem!
Nieświadomością! znakiem, że nie czytał
Pani Sand, że się bajronicznym cieniem
Nie okrył, że jest niezgrabny w rozmowie,
Że nie wie, jak to mówić romansowie.

Ja sam się dziwię, że za bohatera
Wziąłem takiego prostego szlachcica!
Oto pierwszy raz swe usta otwiera
Przed swą kochanką, która w nów księżycy
Swe włosy czarno-błękitne ubiera,
Jakby sawantka, albo czarownica,
I słyszy, że nie jak wieszcz lub astronom
Kochanek wita ją, lecz jak ekonom.

Na niezgrabnego już masz patent, a ja,
Rycerzu, wyprę się twoich grubijaństw,
I cała moich poematów zgraja
Lęka się dalszych twoich swarów, pijaństw!
Anhelli cię ma biały za lokaja,
I Balladyna, skora do zabijaństw,
Wolałaby się w trupów ukryć gęstwie,
Niż przyznać, że jest z tobą w pokrewieństwie.

Co jest niejaką prawdą, bo te mary
Jedne się rodzą z serca, drugie z głowy,
A trzecie tylko z dziwnej, twardej wiary
W przyszłość, a czwarte obłok piorunowy,
A piąte koń mi w stepach przyniósł kary.
Lecz ten poemat będzie narodowy,
Poetów wszystkich uczyni mi braćmi,
Wszystkich, oprócz tych tylko, których zaćmi.

Lecz do powieści. — Więc na progu stała
Panna Aniela prosta, dumna, czysto;
Dla zalotników zwyczajnych jak skała,
Z czego kochanek wybrany korzysta.
Albowiem nigdy nie kokietowała
Dla tego tylko, aby mieć ze trzysta
Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,
Z którychby żaden nie chciał być małżonkiem.

Lecz u Polaków tak: ciągną jak słomki
Za oczkiem jakiej Marysi lub Wandy,
Która im różne rozdaje przydomki,
A z wiosną listkiem cyprysu, lewandy
Z nimi w zielone gra, lub wiąże słomki;
Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,

Które za każdym wody pluskiem płyną,
Skosztują, haczyk obaczą – i miną.

Lecz u Polaków tak: widziałem całe
Przy jednej pannie gimnazya, licea;
Ta miała często rączęta nie białe,
A złość tak wielką w sercu jak Medea;
A zaś korzyści z tych miłości małe,
I małe bardzo na później trofea.
Rozdały wiele włosów, łez, podwiązek,
Żadna nie weszła stąd w małżeński związek.

A stąd przestroga, że takie zbiorowe
Miłości nic są w miłości nie warte;
Że lepiej serce zawrócić niż głowę;
Serca w miłości bowiem są uparte,
Choć głowy stokroć bardziej romansowe,
I stokroć bardziej ogniście zażarte;
I często widząc, że na świecie źle tym,
Z rozpaczki kończą tak, jak Werter w Getym.

Więc z drugiej strony w tem jest kompensacya
Dla tych, co dzisiaj są staremi panny,
Gdy na rozstajnej drodze jaka stacya
I kamień – i trup w białą czaszkę ranny,
Świadczą, że każda z nich, jako akacya
Okryta słodkim kwiatem w czas poranny,
Brzęczała w koło pszczół zalotnych wieńcem,
I ma kochanka w piekle – potępieńcem.

Takim sposobem wnet jest heroiną,
I poeci ją rymami zaszczyca:
Już jej nie nazwie nikt w pieśni dziewczyną,
Lecz musi nazwać posepnie dziewicą!
A kochanek jej, jak Fingal lub Ryno,
W chmurach skłębionych igra z błyskawicą,
I śpiewa wichrom piekielny tryolet,
Mając łzy w oczach, a w ręku pistolet.

Ale to nie był los panny Anieli;
Chociaż tak piękna, jak żadna śmiertelna,
Zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.
Została dumna i nieskazitelna,

Chodziła jako łabędź lub anieli,
Kołysząc się na giętkiej stopie. – Strzelna
Nie była swemi źrenicami – zgoła!
Lecz oczy czarne jej paliły czoła.

Włosy jej długie, krucze, w róg zwinięte,
Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.
Ta sama głowa miała kształty święte,
I uświęcone snycerską powagą,
Smukłe, ku plecóm w okragłość ściągnięte.
Ktokolwiek widział marmurową, nagą,
Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki,
Tego, co mówię tu o formie czaszki.

Jak owo jaje, w którem kiedyś Leda
Powiła syna bogu łabędziowi,
Jak? – dzisiaj się to wytłómaczyć nie da
Przez żaden nowszy cud katolikowi;
A gdym tłómaczył, to panna Praksesta
Święta, aniołek jezuicki, wdowi,
Jak na kazaniu siedziała sanskryckim,
A potem dała mi w sam łeb – Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu, że z pod prasy
Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,
Bobył te wszystkie katolickie kwasy
Miał na łbie, wszystkie sześć! Bo ta kochana
Panna Praksesta, gdy chodzi w zapasy
I chce traktować kogo jak szatana,
Co ma pod ręką katolickich wieszczy,
Rzuca na głowę, i bije, i wrzeszczy.

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko
Dostałem Złotym Ołtarzykiem, który
Każdą klamerką mnie ukłął jak szpilką,
Na niedźwiadkowe się bowiem pazury
Zamyka. Czemuż jest ból? Jedną chwilką!
Jak mówią w „Dziadach“ Mickiewicza chóry.
Podziękowawszy w tej chwili chwilowość,
Wpadam w opisy znów i w romansowość.

Aniela miała cudowną postawę,
W noszeniu głowy cudną lekkość – włosy

A l'antique – barwy troszeczkę bladawe,
Oczy skier pełne, teraz pełne rosy,
Smutne i twarzy kochanka ciekawe,
I pytające się o własne losy.
Jej ręka piękna, maleńka i biała,
Za szorstką, silną biorąc rękę, drżała.

„Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział,
„Ale me serce jest miłosnym szpiegiem!
„Nie mów mi, że jest między nami przedział
„Fortuny. Jestem nad przepaści brzegiem.
„Usiądź! opowiem, wszystko będziesz wiedział!
„Nie strasz się tylko trudności szeregiem,
„Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce,
„Lecz ja cię kocham jedna, ja mam serce.

„Straciłeś cały majątek? – i cóż mi
„Majątek? ludzi sąd? ja kocham ciebie!
„Ja twego serca chcę, a nie twych dusz mi
„Potrzeba! pójdę o żebrany chlebie.
„Nie odpowiadaj mi na to, nie krusz mi
„Serca, mój los już zapisany w niebie.
„Ja kocham ciebie! w twojem sercu żyję.
„Kto nas rozdzielić chce, ten mnie zabije!

„Dzisiaj przyjechał Dzieduszycki z drogi,
„Znów się oświadczył i o moją rękę
„Prosił. Mój ojciec stał się dla mnie srogi,
„I guwernantka, jak na moją mękę,
„Za ojcem trzyma. I ludzie i bogi
„Przeciwko nam są – i wuja Sosenkę
„Przekabacili już na swoją stronę.
„Płakałam – patrzaj, oczy mam czerwone.

„A tu, jak na złość! dla Dzieduszyckiego
„Był bal. Czy widzisz, jak jestem ubrana?
„Musiałam ubrać się dla ojca mego
„W ten księżyc, lecz ja dla mego pana,
„Dla ciebie tylko! dla ciebie samego
„Ubrałam się tak w kwiaty, po kolana.
„Prawda, że dobrze mi tak bez zawoja?
„Ja nie ubrałam się dla nich – ja twoja!

„Lecz tyś wyjeżdżał? gdzie? O, ty niewierny!
„Gdyby nie Diwa, byłbyś już daleko.
„Gdzieżeś ty jechał? Gdy mnie ból niezmierny
„Dręczy, kiedy mnie przed ołtarze wleka;
„Gdy nie zostaje nic, jak się w cysterny
„Rzucić, lub twoją się zakryć opieką,
„Ty mnie opuszczał w chwilę tak okrutną!
„Ja przebaczyłam już, ale mi smutno.

„Czy ty nie ufasz, że ja zdołam jedna
„Oprzeć się, zostać twoją? Ja nie płochą!
„Tyś nie wiesz, co to jest kobieta biedna,
„Kiedy ją dręcza; kiedy mocno kocha,
„Zgubi się, potem u wszystkich wyjedna
„Łzy nad swem sercem zgubionem i trocha
„Kwiatów, i więcej też żadnej nie trzeba.
„Cóż to? Nie mówisz nic do mnie? O nieba!

„Myślałam, że ty mi dodasz nadziei“ –
Tu wypuściła z rąk rękę kochanka –
„Myślałam, że ty w tej smutnej kolei“...
Tu blisko, szczęściem, stała z wodą szklanka,
Wzięła ją, drżące w szkło usteczka klei;
Ząbki o kryształ dzwonią jak kraszanka,
Kiedy się z drugą spotka w dziecka dłoni.
Rzekłbyś, że perła o dyament dzwoni.

„Myślałam“... Głos jej o jedną oktawę
Zniżył się i pekl, jak pęknięcie struny.
Boleść złamała jej giętką postawę,
Myślałbyś, że się chyliła do truny!
Tak, nawet małe usteczka jaskrawe
Zbladły, uczuwszy gorzkich łez pioluny.
Padła na krzesło i przez łzawe deszcze
Błysnął ostatni jęk: „Kochasz mnie jeszcze?“

Beniowski już był na kolanach – w dłonie
Wziął drżącą rączkę Anieli. Tu proszę
Włożyć mi wieniec Petrarcki na skronie,
Bo na tem pieśń zakończę i ogłoszę
Po dawnych wieszczów umarłych koronie
Czas bezkrólewia; pobuntuję kosze,

Krytyków kupię z Grabowskim prymasem,
Reszta owczarzy moja. A tymczasem

Jako pretendent, na własne poparcie
Utworzę całe wojsko w drugiej pieśni.
Epiczny zamiar wyjawię otwarcie,
Wyjdę z dzisiejszej estetycznej cieśni,
I skrzydeł mojej Muzy rozpostarcie
Tęczowym blaskiem was oślepi wcześniej,
Niż miałem zamiar. Suszę tylko głowę,
Jak w rzecz wprowadzić rzeczy nadzmysłowe.

Nie podobało się już w Balladynie,
Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzece kryształowej płynie;
Że bańka się od gazowego skrzydła
Babki-konika rozbija i ginie.
Że, w grobie leżąc, Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna, z dzbankiem na głowie martwica
Jest jak duch z woni malin i z księżycą.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi;
Że w całej sztuce tylko nie zabity
Sufler i Młoda Polska, co się bawi,
Jak każdy głupiec, plwając na sufity,
Lub w studnię, która po sobie zostawi
Tyle, co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń miry, ani malin.

O Boże! gdyby przez Metampsychozę
W kozaka ciało wieść, albo w Mazura,
I ujrzeć, jaką popełniłem zgrozę,
Pisząc na przykład – Anhellego. Chmura
Gwiazd, białych duchów, które Igną na łożę
Jak szpaki Danta; rzecz taka ponura,
A taka mleczna i niewarta wzmianki,
Jak kwiat posłany dla pierwszej kochanki.

Pewniećbym takich nie napisał bredni,
.....

Pewnie bym – lecz ta spowiedź jest za długa,
Dygresye nudzą; więc mój czytelniku,
Spróbuj, czy ci się pieśń podoba druga,
Gdzie więcej nieco będzie gwaru, krzyku,
Kościół i wielka słoneczna framuga,
I na tęczowym Duch Święty promyku;
Także cokolwiek szlachty. Powieść taka
Jak dawny, długi lity pas Polaka.



PIEŚŃ II-ga.



, nie lękajcie się mojej goryczy!
Dalibóg, nie wiem sam, skąd mi się wzięła.
Długo po świecie pielgrzym tajemniczy
Chodziłem, farby zbierając do dzieła,
A teraz moja Muza strof nie liczy,
Lecz złe i dobre gwiazdy siał zaczęła.
Komu za kołnierz spadnie przez przypadek
Syrjusz, rzucony przez nią, lub Niedźwiadek.

Spali się, lecz ja nie winien. Per Bacco!
Różnemi drogi mój poemat wiodę;
Jak Chochlik często częstuję tabaką,
A gdy kichają, ja zaczynam odę,
Naprzykład drugą piękną odę taką,
Jak do młodości. Może serca młode
Pokochają mię za to, że jest śmiały,
Jak Roland, który w pół rozcinał skały.

I teraz chciałbym rozciąć... co?... dom jeden,
Podolski jeden dom rozciąć na dwoje;
I pokazać wam jaki szczyry Eden!
Jak nieraz pełne aniołów pokoje!
Jak złoty, piękny domów jest syredeń!...
Ukraińskie to słóweczko, nie moje.
Wywołał je tu rym przez dźwięki bliźnie,
Nie miłość, którą mam ku kozaczyźnie.

Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów,
Które na górach stoją nad stawami.
Stawy, to tarcze z tęczowych kolorów,
Gdzie się łabędzie białe za gwiazdami
Gonią, podobne do srebrnych upiorów,
A na nie księżyc jasnemi oczami
Patrzy... na niebie jeden, przez topole,
A drugi taki złoty księżyc... w dole.

Atoli, wewnątrz tych domów dopiero
Poetycznym jest... zwłaszcza, jeśli miłość
Oświecili, wonną je napelni mirą,
I ścian drewnianych sprostuje pochyłość.
Podolankę są usta srebrne lirą,
Serca... ta strofa ma pewną zawilóść,
Której nie lubię, lecz ją skończyć muszę:
Serca są takie jak aniołów dusze.

Sam znałem jedną... lecz nie wspomnę o niej,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jej wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniej,
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni,
Niż gdybym w Boga się patrzył najwieczniej.
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga,
Ona umarła już... jest częścią Boga —

Duszą, światłością, wołą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego... O! dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy odchylą.
Różom najbielszym jej żalobę nosić...
Jej słońca drogi mlecznej nie omylą;
Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca,
Ze słońc na wielkie słońca, i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb puszcze za nią skrzydła chyże,
A tu mi ręce zawiążcie na głowie,
I twarzą bladą połóżcie na lirze,
Jakbym, w alpejskim upadłym parowie,
Spoczywał. Miałem ja troski i krzyże,

Więcej niż śniło się wam filozofom –
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom.

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
Tu – ziemskim i tam – nadślonecznym: oba
Smętne są. – Światy wam utworzę trzecie;
Jeżeli się mój poemat podoba.
Znów drugi, wielki tom napiszę w lecie,
A te zostaną pieśni jako próba,
Wcale nie według mego serca... ale
Ponieważ moje są, otwarcie chwale.

Głupi! o sobie dobrze mów! wykrzyka
Ryszard w okropnym bardzo monologu,
Ujrzawszy siebie we śnie jak krwawnika
Oczerwionym, na piekielnym progu...
Szkoda, że w Księdzu Kiefalińskim znika
Szekspir; przyczyną jest trudność połogu
W stanie bezzennym... także to, że z księdza
Nie może nagle być Makbeta jęzda.

O księżach dobrze mów! jest to przestroga
Już nie Szekspira, na tym fundamencie
Moralność cała stoi!... Lecz na Boga!
Gdzie mój poemat? Moje przedsięwzięcie
Epiczne? Moja Aryostyczna droga?...
Widzę, że wszystko mi stoi na wstręcie.
Nawet pisanie łatwość rzuca plamę –
Mówią, że w czterech dniach układam dramę.

O Boże! ileżbym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich d....w być zabawą!
Wyspą dla grubych naszych Sanszo Pansów,
Na którejby się uczyli ze sławą
Sylabizować. Lecz z prozą aliansów
Nie chcę... do wiersza mam, jak sądzę, prawo.
Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
Oktawa pieści, kocha mię sekstyna.

Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa,
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,

Z napisem patri patriae... Jest to nowa
Krytyka... Stój!... ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni jak mozaika, śpiewa jak słowiki!

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi:
On się rozjęczy jak harfa Eola,
W róże się same jak Dryada wdrzewi,
Głosem wyleci za lasy, na pola,
I rozłabędzi wszystko, roześpiewi...
Jak smukła, pełna słowików topola!
Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz... że w niebo ulatujesz z chatą,

Że porwał cię głos, jasność księżycowa,
Serce rozkwitłe, rozlatane pieniem.
O! gdyby mogły się na posąg słowa
Złożyć i stanąć pod cyprysów cieniem,
Jak marmur, który duszę w sobie chowa,
I zwolna złotym wylewa strumieniem!
A tak powoli leje i łagodnie,
Że po tysiącach lat, jak słońce wschodnie

Stoi w nim cała, ogromna... O! gdyby –!
Zachcenia moje są jak Klefta żądze,
Który chciał w trumnie mieć dla słońca szyby
I dla jaskótek... na co?... Znowu błędzę,
Jak Telimena, gdy wyszła na grzyby,
A zbiera mrówki – mrówkami są żądze –
Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei,
Żem dostrzegł, jako Poznańczyk idei.

Czy w poemacie tym równie szczęśliwa
Krytyka, równe porobi odkrycia?
Nie wiem. Czasami myśl w eterze pływa,
Przez piękne bardzo przelatując śnicia;
Lecz później, pismo, druk... tęczę obrywa
Z kształtów... A teraz odbłysk mego życia
Na ten poemat pada niezbyt pięknie.
Patrzcie, jak serce wesołe... gdy pęknie!

Szczęściem, że pieśni tej bohater młody,
Świeży, miłosny i ma ciemne oko,

Złote połyskiem zielonawej wody,
Lecz nie zbyt na świat patrzące głęboko.
Owszem, ma nadto serdecznej pogody,
Nadto mu prawie na świecie szeroko.
Ach! nieraz szczerze westchniecie z litości,
Widząc, jaki w nim brak artystyczności!

Poezya go otacza... czytelniku!
Na jego miejscu, o! ileżbyś razy
Uczuł, że dusza twa na wykrzykniku
Hypogryfując, leci, klnie wyrazy.
Klnie, że w około zimnych serc bez liku!
Same szkielety pod nią, same płazy!...
Beniowski, jakby go Bóg o tem ostrzegł,
A priori to czuł... lecz nie spostrzegł.

Co lepsza, nigdy nie mówił, nie pisał,
Biedaczek! brakło mu formy gotowej!
Nigdy się w myśli dzwon nie rozkołysał,
Idei żadnej w nim nie było nowej...
Najnowsze z ustek różanych wysysał,
I teraz, patrzcie! w pasiece lipowej
Kłęczy pokornie przy kochanki nodze,
Oboje na zbyt niebezpiecznej drodze.

Lecz młodość... O! ta pomimo dewotek,
Ta jest najlepszą obroną dziewicom;
To jest kochanków młodość. Mimo plotek,
Szesnastoletnim się przybliżyć licom
Pozwólcie... zwłaszcza, gdy chłopiec podlotek
Zazdrości skrzydeł dwu synogarlicom,
Dla tego tylko, że się mogą bratać
Piórkami... ścisnąć, i gruchać, i latać.

O, pierwsza miłość!... Tej wiernym obrazem
Jest zamienienie serc bez interesu!
Tej ideałem jest latanie razem
W krainie, w której nie ma końca, kresu.
Potem się człowiek głupi staje płazem...
Mimo krew zimną, z każdego karesu
Mogą wyniknąć rzeczy złe i zdrożne,
O których książki już mówią nabożne.

Za takie rzeczy, nie rozumiem zgoła,
Dla czego w Rzymie nieszczęśne grzesznice
Sadzą do zamku Świętego Anioła...
Prócz tych... Ta strofa musi zakryć lice;
Wstydzi się, że tę myśl wzięła od czoła,
Nie zaś z profilu. O, Muzy dziewice!
Zarumienieniem waszem ucieszony,
Wracam do bajki mojej... z innej strony.

To jest, zostawiam z kochankiem dziewicę
Śród róż, drzew, świateł księżycowych, woni,
Wód, rzucających srebrne błyskawice
Z pod brzoź i bielą okrytych jabłoni,
Serce przy sercu, i przy licu lice,
Dłoń niespokojna w niespokojnej dłoni;
Ach! są to rzeczy bardzo piękne, czule,
Lecz wieszczą mogą przemienić w gadułę.

A więc do zamku wracam, gdzie starosta
Kłaniał się, pocił, dał, puszył, brał na ton:
A chociaż szlachta go słuchała prosta,
O rzeczach duszy rozmawiał jak Platon, –
Na mózg wesolych ludzi wielka chłosta!
Więc się rozeszli, wołąc sen, niż świat on,
Co się naówczas zdał za-atlantyckim...
Został się pan starosta z Dzieduszyckim.

Zwalił to wprawdzie na króla rozkazy,
Ale się wyparł król, jak zawsze bywa,
Wyparł się jako święty Piotr... trzy razy,
I cała wina na koguta splywa,
Dla tego, że piał. A więc wszystkie zmayı
Pan regimentarz, kochanek Gradywa,
Dźwigał na sobie i chował in petto
Zemstę, jak Włochy, co się mszczą stiletto.

Tymczasem chciał się ożenić bogato,
I okiem wszystkie przemierzywszy domy,
Najlepszym z domów wydał mu się na to
Ów zamek, wielki, malowniczy, stromy,
Gdzie mieszkał szlachcie pół, pół król, pół Kato,
Pół waryat, a pół syn Cezarów Romy;

Małeńki starzec pół łysego czoła,
Ojciec, który miał córkę – pół anioła.

Wybrawszy teścia, przyjechał bez swatów,
Z intencją ojca się oświadczył pannie.
Wspomnił o drzewie swoich antenatów,
Nie wspomnił ani raz o krwawej wannie,
Którą chciał sprawić dla konfederatów,
Ale o królu mówił nieustannie!
Pokręcał wąsa, zarzucał wylotów –
Lubił pić, bardzo nienawidził kotów!

Dla tego kochał psy. Gdy gardło zalał,
Pozwolił nieraz Anieli szpicowi,
Aby mu lizał wąs – za psami szalał –
Zalecał nawet dóbr intendentowi,
Ażeby chłopów psom kąsać pozwalał,
Mówiąc zazwyczaj, że to psy uzdrowi
Od bólu zębów, a stał od wściekliczny;
Miał jednak dobrą stronę... anewryzmy.

Te dowodziły, że miał serce... Głowy
Nie dowodziła w nim choroba żadna,
Lecz materyalny kadłub, z okiem sowy,
Na szyi zawsze nieruchomej; składna
Figurka, uśmiech i ukłon węzowy;
Grzeczność, co w takim panu bardzo ładna!
Wielka znajomość świata, krajów, ludzi,
I wiele tego wszystkiego, co ludzi.

Ów pan układny więc siedział przy stole,
Przy samym panu staroście, na prawo;
Dobijał właśnie targu i na czole
Widać mu było niecierpliwosć krwawą,
Gryzącą – oczy utopił sokole;
Za ręce teścia trzymał ręką prawą,
Lewą na stole wyciągniętą, prosto
Ku kielichowi i mówił: „Starosto!

Jakem człek prawy! jakem Polak prawy!
Tak pragnę córkę twoją uszczęśliwić,
Wierzaj mi i bądź, starosto, łaskawy.“
Tu, pragnąc trupi głos nieco ożywić,

Pociągnął wina. Pił jak but dziurawy,
I zwykł się nieco był po picu krzywić.
Tak wyciągnąwszy blisko wina kwartę,
Zmarszczył, i czoło rozjaśnił wytarte.

I rozjaśniony znów do zamku pana:
„Starosto, zezwól na szczęśliwość naszą!“
Tak mówiąc, teścia przyszedłgo kolana
Ścisnął pod stołem i oczy, co straszą
Chłopów, jak oczy czerwone szatana,
Uczynił cukrem i ponętą ptaszą;
A miał na oczach swoich, jak jastrząbek,
Z powiek wilgotno-czerwonych obrąbek.

Starosta na pół śpiący, ale grzeczny,
Nie wstawał, ani odpowiadał na to;
Pan to był bowiem, co chciał być bezpieczny,
Zwłaszcza, gdy ujrzał twarz żółtą, wąsatą,
I wiedział, że gniew może ściągnąć wieczny,
Gniew, który czeka z lichwą i z wypłatą.
Siedział więc zimny, lecz trochę się puszył,
Że w konkur wielki pan o córkę ruszył.

Nie odpowiada nic, bo przez połowę
Już spał, a wreszcie nie chciał odpowiadać.
Pan Dzieduszycki zaczął prośby nowe,
Jak do pacierzy jął ręce układać;
Już się był począł przez słowa miodowe
Do uspięnego napół serca wkradać,
Już widział uśmiech, co poprzedza wszędzie
Ostatnie, słodkie słowo: niech tak będzie.

Gadając, ręce pokornie złożone
Na stół położył obie, i wytrzeszczał
Na pana zamku oczy zaiskrzone;
Albowiem uśmiech mu senny obwieszczał,
Że po pijanemu zdobył sobie żonę,
Wtem nagle jak wąż wzdął się i zawrzęszczał,
Wstał, lecz na stole miał obiedwie dłonie,
A na nich papier i orla w koronie.

Orzeł na karcie był, a karta była
Nożem tureckim do rąk mu przybita,

Boleść go nad nią w arkadę skrzywiła!
Oczy w niej toną, myślałbyś, że czyta,
Że karta trupie kolory odbiła
Na jego żółtą twarz. Ksiądz karmelita
Za stołem cicho stał i patrzył z góry
Na czytelnika bladego tortury.

Ocknięty zamku pan, to raz na księdza,
To znów na ściany patrzył, wstając zwolna:
Ręka na szabli, w oczach gniewu jęcza,
Ledwo się w sobie pohamować zdolna;
Lecz myślał, że mu sen mary napędza,
Tak dziwną była ta cisza okólna,
Ten papier nagle do stołu przybity,
Dzieduszyckiego jęk – wzrok karmelity.

Już dawno by się był skokiem lamparta
Rzucił do szabli – ale mówiąc szczerze,
Myślał, że sen mu grał sztukę Mozarta,
Że Don-Żuana widział na operze,
Gdy trupa ziemia puściła otwarta
Na muzykalny wieczór i wieczere;
Tak trudno było pomiarkować zrazu,
Czy ksiądz był z ciała ludzkiego, czy z głazu.

Godzina była nocna, i bez przerwy
Piał kogut, świece miały długie knoty;
Na wieżach zamku śpiewał ptak Minerwy,
A w jednym oknie stanął miesiąc złoty –
Znać działanie tej gwiazdy na nerwy.
Miesiąc więc w oknie stał, dziwne łaskoty
Na dachu, jakby jęczenia grobowe,
Wreszcie Ladawy pan odzyskał mowę.

„Ktoś ty?” Ksiądz milczał. „Co tu robisz, mnichu?
Co znaczy papier ten? na Lucypera!”
Tu Dzieduszycki zajęczał po cichu,
Ale tak jęknął, jak człek, co umiera.
Spojrzał, chciał spojrzeć, lecz w powiek kielichu
Nie było oczu, tylko białość szczerza,
Jak w zwierciadlanym lysnęła odrzugu;
Szkło tylko – galki uciekły do mózgu.

Starosta spojrział i cofnął się biały
Jak wosk, jak oczy, któremi go szukał
Pan Dzieduszycki, ale okazały
W cofnieniu się swem, na ludzi nie lukał,
Zwłaszcza, że ksiądz był wielki, a on mały.
Nieraz zaś przedtem pan starosta fukał
Na równych sobie, niższym dawał szlagę,
Licząc na swoją małość i powagę.

Więc co miał w oczach skier, wszystkie zapalił,
Co miał na czole zmarszczków, zebrał razem.
Sam by się Jowisz oburzony chwalił
Tak olimpijski^o na twarzy wyrazem.
Sporunowany ksiądz w prochu się nie walił,
Lecz w jedną szybę okien rzucił głazem.
Na ten brzęk – wszystkie ganki i komnaty
Przewiał ogromny wrzask: Konfederaty.

Starosta spuścił łeb, ksiądz się przybliżył,
I wyjął szablę mu złoconą z ręki:
„Przebacz, wielmożny pan, jeśliś ubliżył,
Lecz zamek był nam potrzebny; a jęki
Tego człowieka słuszne – Bóg go zniżył.
Ten, co na krzyżu poniósł krwawe męki,
Ten go nam daje; a wyrok nie minie:
Kto mieczem grzeszył, ten od miecza zginie!“

Podczas tej mowy twarze się wąsate
Pokazywały w podwojach, kołpaki,
Konfederatki, czapki i rogaty,
I krągłe, i kapuzy i pakłaki,
I owe jeszcze uszami skrzydlate,
Co ekonomów są laurem. Gdy taki
Rój czapek i rój północnych laterek
Zjawił się, rzekł ksiądz: „ja jestem ksiądz Marek!“

Wstrzymał się, powiódł okiem po staroście,
Zmarszczył się i rzekł: „dla kozaka Sawy,
Który się bije z chłopami na moście,
Wypuścić racę nad zamkiem Ladawy!
Wy się tu, proszę, bracia nie panoszcie
Rabunkiem, zamek się nie poddał krwawy;

Ale wielmożny dziedzic sam to czuje,
Że opór próżny – więc kapitułuje.“

Na to starosta krzyknął: „protestuję!
Przeciwko zdradzie haniebnego waszmościów,
Jako Rzymianin z zamku ustępuję,
Mieć nie będziecie nawet moich kościów!“
Tu mi czytelnik zapewne daruje
Trochę w tej mowie niegramatycznościów!
Lub niechaj raczy ze mną na spoczynek
Do księżycowych wrócić Anielinek.

O! tam poezya gotowa! – Romeo!
Pożycz mi twoich słów rozplomienionych.
Zresztą już Ursę mam z Kasyopeą,
Mam księżyc i mam dwoje serc pękniomych,
I Filomełę, co tak jak J. B. O. *)
Ów Londyńczyków słowik zapalonych,
Śpiewa dla chcących spać arystokratów,
Tak, że go wszyscy dają do stu katów.

O! tam poezya. Gdyby tylko na to,
Aby się żegnać, warto brać amanty.
Czuliście kiedy tę lżę lodowatą
Przy pożegnaniu, ciężką jak brylanty?
Te słowa: „pójdę i skonam za kratą!“
Czyście słyszeli te słodkie kuranty,
Grane przez wszystkie pozytywki żywe,
A jednak – przysięgłbym, że niefalshywe;
Czyście żegnali? klęczeli? włos rwali?
Tracili ducha? wymowę? kolory?
Z paszportem pugilares? i tak dalej...
Czy przysięgaliście, jako upiory
Wrócić po śmierci, przy księżycu biali?
Łopotać w okno czarne skrzydłem zmory?
Kochankę swoją w noc poślubną napaść?
Unieść na koniu i w ziemię się zapaść?
Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte,
I całe życie się przeszłością smucić?
Odwiedzać morza, ludy, Egipt, Spartę,

*) Józefat Bolesław Ostrowski, publicysta.

A zawsze: „Ona teraz musi nucić!
Teraz na księżyc oczy ma otwarte!”
Ach! takem ja śnił, lecz na piramidzie
Tfu! odebrałem list, że za mąż idzie!
To mię cokolwiek zmięszalo – nie bardzo,
Ale cokolwiek zmięszalo, Bóg świadkiem!
Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.
Takich dwa, a me serce tak zatwardzą,
Że niezabudką już, ani bławatkiem
Nie da się nigdy wyprowadzić w pole,
Chyba mi posag położą na stole.

Ha, takem zgorzkniał, że nawet nie trącę
W tej pieśni – smutnej lutni pożegnania.
Szeptali długo jak wierzby płaczące,
Gołębie słyhać tam było gruchania,
Łzy zimne – usta zmywają gorące;
Słyhać serc bicia, płacze, słowa, łkania.
Już się rozeszli, rzecz skończona! – Horror!
Miłość przechodzi już w pamiętek kolor,
W kameleona, w serdeczną jaszczurkę,
W rzecz poetycznie piękną, w sen niebieski,
W muzę, Olimpu zamglonego córkę,
W poemat smutny od deski do deski,
W mgłę podnoszącą się z łez, w białą chmurkę
Na tle przeszłości, w gwiazdę, w arabski
Tęczowe, chmurą obwiedziona złotą!
W dole: Raphael pinxit, albo Giotto.

W galeryi siedzi dusza. O, tęczowa
Kopuło myśli! tyś moim kościołem!
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem!
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa.
Serce wygląda jak urna z popiołem,
W najtajemniejszej kaplicy stojąca,
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i wzruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,

Pękasz jak niebo nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa!
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ją i serce, które biedna chowa
Jak smętny łabędź, pod skrzydły białemi
Pękło—popioły rozwiął wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedia powagi
I ciszy greckiej; reszta wiatru wyciem—
Myśl zabłysnęła nagle jak miecz nagi,
Marzenia stają się czynem i życiem;
Czyny się stają piorunem odwagi—
Rozbiły kościół! Pod jego rozbitciem
I serce pękło i burza przewyła—
Z wszystkiego, patrzcie co?—krzyż i mogiła.

Precz! wszystkie takie sceny, odgrywane
W teatrze naszych wnętrzności. Maurycy
Przejdzie, uczuje sercem każdą zmianę,
Czas mu postawi zwierciadło różnicy,
Czas matematyk. Dziś serce strzaskane—
Ruszył na koniu pędem błyskawicy;
Za nim pasieka, szczęście, przyszłość, ona!
Kto wie, za kilka lat, czy jego żona?

Panna Aniela, jeszcze nieświadoma
Odmian, które się w zamku wydarzyły,
Biegła—ścieżeczka przed nią była stroma,
Pomiędzy skalne wijąca się bryły;
Potem sadzawka i ów dąb z rękoma
Założonemi, ów dąb pełen siły,
Który się dawniej kochał bez nadziei,
Jedno swe oko topiąc w Galathei.

Nad tą sadzawką nasza młoda panna,
Już zadyszana, stanęła poprawić
Włosy. Sadzawka była bowiem szklanna,
Można się było w niej oczyma bawić;
I była to gwiazd kryształowych wanna,
I rybki się w niej zaczynały jawić,
Długie, błyszczące robiąc korowody,
Ileć się leżkę rzuciła do wody.

Ale przed rankiem rybki spały na dnie.
Panna Aniela uwiązała włosy,
Nie przypatrzyła się nawet, czy ładnie,
Lękała się tknąć kwiatów pełnych rosy,
I serce biło w niej, bo chciała zdradnie
Do zamku dostać się, a jakieś głosy
W powietrzu cichem brzęczały i gwary,
Jak gdyby przez sen mruczał zamek stary.

Konfederatów był to wrzask daleki,
Którzy już doszli byli do piwnicy.
Panna Aniela wezwała opieki,
Nabożną będąc, u Bogarodzicy.
A wtem, gdy wzniosła do nieba powieki,
Blask jakiś nagły jak od błyskawicy
Całą oślepił. Nim oddech utracę
W tej strofie, powiem, że ujrzała racę.

Była to owa rasa, nakazana
Przez księdza Marka, na znak panu Sawie;
Pod biedną panną zadrzały kolana
Z trwogi, wąż leciał, paląc się jaskrawie,
I syczał, i tak jak oko szatana
Spojrzał z błękitu, i tak jako pawie
Piór płomienistych zaokrąglił końce,
I zatrzymany w niebie, trwał jak słońce.

Anieli zdało się, że już odkryta,
Że już ją widzi ojciec, jej dugena,
Niebo, ta rasa na gwiazdach rozbita,
I każda róża w ogniu, i phalena:
Już zdało się jej, że świat cały pyta
I pokazuje ją palcem.— Ta scena
Byłaby bardzo przykra dla tej panny,
Gdyby to zamiast racy, był świt ranny.

Lecz rasa zgasła i swe włosy złote
W ciemnem powietrzu cicho osypała.
Kilka z tych włosów przez grubą ciemnotę
Upadło właśnie z nieba tam, gdzie stała
Panna Aniela, myśląc, jak tę psotę
I te wycieczki będzie ubierała

W wymówki; i pod ulewą ognistą
Przybrała na się postać dziwnie czystą.

Różane usta przygryzła zdradliwie,
Z oczu spuszczonech w bok miotała błyski,
Trochę się patrząc smutnie i fałszywie,
Przygotowała dla ojca uściski,
Dla guwernantki podobne pokrzywie
Pocałowanie, jeden ukłon niski
Dla pretendenta do obrączki ślubnej,
I z tym ukłonem uśmiech treści zgubnej.

Mimo to wszystko, serce biło szybko,
Coś do tej główki wpadło... i pobiegła,
Biegąc jak gdyby była złotą rybką,
Która od wędki zdala plusk spostrzegła;
I coraz prędzej leciała i gibko
Chwiała się, ogniem twarzyczkę zażęgła,
Zadyszała się... i różowa wpadła
W bramę i w koło spojrzała i... zbladła.

.....
Nie zapytała ich o nic, nie śmiała
O nic zapytać panna starościanka.
Ale spojrzawszy na nich, już nie drżała;
Już wyglądając dumnie jak Rzymianka,
Wyprostowana, sroga, trochę biała,
A okiem pałac jak Transteweranka—
Biegła, jak wicher szła przez korytarze,
O swego ojca twarz patrząca w twarze.

Jako Elektra weszła; elektrycznie
Cała się wstrzęsła, widząc ojca w tłumie,
Który dowodził wtenczas retorycznie,
Że schylić głowy przed nikim nie umie;
Że radby się był rozsądzić granicznie
Z konfederacją... i tak dalej. W szumie
Tych słów nic więcej nie pojęła córca,
Tylko, że ojcu grozi jakaś chmura.

Ujrzawszy córka to, nie mówiąc słowa,
Pewnymi kroki do stołu się zbliża:

Widzi, że sterczy w nim sztyletu głowa
W papier utkwiona, więc jak piorun chyża
Wrywa ów nóż i za gorset chowa.
Wtenczas, by ręce Boże zdjęte z krzyża,
Rąk dwoje wyszło z pod papieru

Serce w nim chóre biło coraz prędzej,
Czekając tylko na noża wyjęcie,
I pękło.—Siwy ten sęp z okiem jędzy
Utonął teraz już w dziejów odmęcie;
Ale są życia, co z tej samej przędzy
Winą się... dla nich ten rym i przekłęcie:
Niech swoją przyszłość w tej pieśni odkryją!
Niech jak psy patrzą na trupa i wyją!

Gdy padł rąk własnych zczzerwieniony łzami,
Ksiądz Marek z krzyżem do niego przyskoczył;
Lecz..... za krzyż ukąsił zębami,
A potem ręką odepchnął i zboczył.
Szmer zgrozy zachwiał w pokoju światłami!..
Ksiądz wyjął brewiarz, ustami namoczył
Palec i karty przewracał z pokorą,
Wiedząc, że duszę tę... już dyabli biorą.

Wtenczas starosta rzucił się do stołu,
Kulakiem stuknął, krzycząc: „rozbójnicy!“
Przemierzył księdza od góry do dołu:
„Waszeć byś lepiej modlił się w kaplicy
„Niż—z mojego cię wyklnę kapitołu!
„Córko! podaj mi papier... kozak, świecy!
„Siadaj tu panna, et pagina fracta
„Pisz protestacyą, która pójdzie w akta.“

Posłuszna panna Aniela usiadła,
Chwyciła w rękę pióreczko łabędzie,
A starzec do niej: „ta krew czarna, zsiadła,
„Ta krew na stole atramentem będzie,
„Umoc tu pióro.“ Aniela pobladła;
Krwiał był zalany stół aż po krawędzie,
Krwiał, co wyciekła z rąk regimentarskich,
Gdy mu przybito do nich wyrok barskich.

Ale posłuszna, w krwi zmoczyła pióro,
Potem spojrziała i dreszcz ją przeniknął.
„Wezwawszy bogów na świadki... pisz, córo!
„Których bogdajby wzroku nie uniknął
„Ów czyn nieszczęśny i haniebny... jutro!“...
Tu karmelita ksiądz powstawszy, krzyknął:
„Ja egzorcyzmem te szatany zwalczę...
„Co? ty krwią każesz pisać, bałwochwalcze?

„Zaprawdę mówię ci, panie starosto,
„Że masz na oczach bielmo i ślepotę.
„I powiem ci tu bez ogródek... prosto,
„Że prosto idziesz w piekielną ciemnotę,
„Za to cię Pan Bóg chciał ukarać chłostą,
„I gdyby nie ja – te komnaty złote
„Byłyby dzisiaj twoją krwią zwalane,
„I purpurowe i w ogień odziane.

„Gdyby nie nasze nad tobą czuwanie,
„Dzisiejszej nocy kozak twój Mohiła
„Miał tu pohulać z tobą, wielki panie!
„Dziśby tu wielka rzeź w zamczysku była.
„Idź!... on przykuty łańcuchami w ścianie,
„A przy nim zbójców powiązanych siłą,
„Idź! obacz, jakie teraz mają łoża:
„Leżą na workach, a w tych workach... noże!

„O! taka pościel będzie dla grzesznika,
„Co, jak ty, patrzy na mordy spokojnie!
„Dziś byłbyś w piekle, tu, bez spowiednika
„Zamordowany... Pan Sawa się zbrojnie
„Z twoimi chłopcy na moście potyka,
„I za twą całość krew wylewa hojnie:
„A twoja siwa się tu rzuca głowa,
„Jak gołąb biała, lecz w myślach jałowa?“

Podczas tej mowy pan starosta w czoło
Księdza jasnemi patrzył się oczyma;
Nagle jak człowiek, gdy ujrzy, że gołą
Zbójca siekierę nad głową zatrzyma,
Zadrzał. – A wtem pan Sawa wszedł wesoło...
Sawa, ogromny skarb dla pisoryma,

Pół kozak, a pół szlachcic... ten donosił,
Że całą groblę starosty krwią zrosił.

I widać było to na nim: wszedł z brzękiem,
Hucznie, lecz spojrzął i zmięszał się cały,
Ujrawszy oczy, w których całym pękiem
Kupido trzymał najeżone strzały.
Zamek był broni napelniony szczękiem,
Trup na podłodze, karmelita biały
Nad trupem, blady starosta, stół krwawy,
Za stołem panna anielskiej postawy,

Jako Sybilla z piórem w ręku... Basta!
Na tem się moja pieśń kończy obrazie.
Dalej ujrzycie zapalone miasta,
Szlachcica z Żydem, z psem na drogoskazie
Wiszących – Romans w poemat urasta!
Co w nim o królu będzie, o zarazie,
O Panu Bogu? Pociągnąwszy hausta
Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta.

Jak się rozgniewam na imaginacyą,
Dyabłowi oddam bohatera duszę.
I pewnie zyskam wszystkich aprobacyą –
A tych, cò płakać ze mną nie chcą... zmuszę.
I demokracją i arystokracją
Do łez głębokich trzecią pieśnią wzruszę...
Wziąwszy następnie za rymów dewizę:
Jeżeli gryzę co – to sercem gryzę.



PIEŚŃ III.



jakże smutno w jasnej życia wiosnie
Być tak samotnym jako Pan Kazimierz!
Gdy świat przed tobą w nieskończoność rośnie,
Gdy wszystko tęcza; lecz czego się imiesz —
Błotem. Dopóki serce wre miłośnie,
Nie żyjesz na tym świecie, ale drzémiesz;
Gdy zgaśnie, wtenczas zaczynasz dopiero
Pojmować, że ten cały świat satyrą.

Dopókiś młody, bawią cię ballady,
Poezya gminna nadzwyczaj zachwyca,
Lubisz w wierszykach chmury, księżyc, gady;
Znajdujesz, że jest jakaś tajemnica
W mgłę, w której wiersze brzęczą jak owady
I brylantują myśl blaskiem księżycy;
I myślisz, że to sam poeta roi,
Skrzy się i błyska i leci? — On stoi.

Ty sam te wiersze niesiesz w kraj marzenia,
W tej mgłę twych własnych myśli tęcza świta,
W tych dumkach twoje latają westchnienia;
Potem z tych wszystkich wierszy, dumań — kwita,

Potem trzy wiersze Danta, pełne cienia
Ale rozumu, serce twoje chwytą,
Waży, rozbiera. A prawdziwa lekcyja,
Która poezyi uczy, jest dyssekcyja.

Szkoda, że z takiej dyssekcyi wynika
Jakaś szkodliwa materialność, sucha –
Eureka! nasz Pan Grabowski wykrzyka,
A Tygodnik go Petersburski słucha:
„Oryginalny wieszcz do Tygodnika
„Napisał nowy wierszyk pełen ducha,
„Który zapewnia mu wieniec osobny;
„Wiersz, do niczego przedtem niepodobny!“

Z czego korzystam ja, i dwie już dramy
Piorunem bardzo skończyłem wygodnie;
Dla tego w raju mam zamknięte bramy,
I żadnej duszy myślą nie zapłodnię –
Cóżkolwiek ma być – wszyscy umieramy!
A czy nad grobem gwiazdy, czy pochodnie,
Czy laur, czy chwasty, czy łaża? Dobrze i to!
Wlazłem jak w błoto w tę myśl pospolitą.

Był czas, zem lękał się pospolitości,
Jako święconej duch się lęka wody;
Lecz teraz często schodzę z wysokości.
Dla własnej sławy, spokoju, wygody...
Krytykom jak psom rzucam kilka kości –
Gryzą, lecz przyjdzie czas, że te Herody,
Przez których teraz moje dzieci giną,
Będę gdzieś w piekle gryzł jak Ugolino.

Tymczasem wracam do powieści. Ranek
Błękitnie w polach podolskich zaświtał,
W niebiosach oczy utopił kochanek,
I marzeniami swoją przyszłość czytał;
I widział ją tak uwił, jak wianek,
Z dni szafirowych, złotych; już się witał
Ze sławą przyszłą i z tysiącem głośnych
Awantur, pragnąc nadzwyczaj miłośnych.

Już widział dziesięć przynajmniej Andromed
Do skał przykutych srogimi żelazy,

Z warkoczem, który wisi jak u komet –
Mile nadzwyczaj w młodości obraży!
Młodość albowiem świeża, jak Mahomet
Pantheistyczną jest, i wszystkie głązy
Zmienia w kobiety, w ogień topi kruszce,
Huryski widzi zamiast ziarenek w gruszcze.

A tu odsyłam mego czytelnika
Do Alkoranu, gdzie stoi przypisek,
Że w raju każda się gruszka odmyka
I cztery z siebie wydaje Hurysiek.
Chciałbym tam na czas być za ogrodnika,
I z tych owoców co dnia mieć półmisek;
Zwłaszcza, że w każdej gruszcze, do wyboru,
Masz cztery panny różnego koloru.

Słowem, ideał nasz kochanek białych
Tęczowym jest na Wschodzie dogmatycznie;
U nas liczonoby do rzeczy śmiałych,
Gdyby kto nawet, tworząc poetycznie,
W rymach malując jedną z tych przestałych
Owoców, starą pannę, seraficznie
Rozeskrzydloną w Bogu, bez rozwagi
Rzekł: pieć zieloną miała jak szparagi.

A jednak wielki poeta i prorok
Powiedział to w koranie, i krytyka
Mileży, krytyka owa, która co rok
Tyle wad w moich utworach wytyka,
Jako ostrowidz lub jako nosoróg;
Bo widzi ostro i rogiem przenika;
Szczęśliwa, gdybym dbał i był gorący!
I włożył imię jej w poemat drwiący.

Imię krytyki? nie, krytyków. A! bah!
Któż z nich ma imię? Z. K., S. K., E. K.
Mówią, że młodą Polskę pisze – baba!
Ale ja, widząc jak kasa i szczeka,
Sądzę, że jezuita, a ma draba,
Który tłómaczy na język człowieka:
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye
W dyabelskim napisane dyalekcie.

I stąd się mocno cieszę, jak filolog,
Widząc, że u nas to się da wyszczekać,
Do czego Cerber w piekle czyni prolog
Ze swego wycia. Ale nie czas zwlekać
Pieśni dla tego, że jakiś teolog
Krytyką mnie chciał w kawałki posiekać!
Jakby, w balladach porównania szukaj,
On był przyjaciel wierny, a ja Tukaj.

Ale ważniejsze rzeczy radzi Muza.
Oto już słyszę z daleka pukanie
Z dział, z dubeltówek, z flinty, z arkabuza;
I czuję w sercu, że nadspodziewanie
Prędko mój rycerz może dostać guza.
Niechaj się wola Pana Boga stanie!
Ja go prowadzę w ogień: — jeśli zginie,
Poemat się mój wcale nie rozwinie.

Szkoda! czterdzieści cztery pieśni całych!
Czterdzieści bowiem cztery w planie stoi;
Bowiem do rzeczy zawsze dążąc śmiałych,
Zacząłem Epos tak, jak śpiewak Troi,
Większą, bo naród mój nie lubi białych
Rymów i nagiej się poezyi boi;
Więc rzecz, co działa się tam gdzieś, za Sasa,
Muszę opiewać całą wierszem Tassa.

Lecz już nareszcie zbierał się do lotu,

Gdy oto nagle, prawie bez łoskotu,
Jakby mu jaka Nimfa na ramiona
Złożyła ręce. — Wrzasnął głośno: kto tu?
I mocniej w nim pierś zadrżała wzburzona.
Sporzął, na ramion mu siedziało brzegu
Dwoje gołębi jaśniejszych od śniegu.

Czy jastrząb je tu jaki, myślał, goni?
Czy się wydaję w stepach gołębnikiem?
Tak myśląc, zdjął je i trzymając w dłoni,
Rzucił w powietrze
.
.

Taniec w gołębia lot przemienia dziwnie;
Tak owe białe gołębie przeciwnie

Z lotu zrobiły taniec i nad głową
Pana Zbigniewa na skrzydłach trzymane,
Jakby miłosne dając sobie słowo,
Miłośnie dzióbki złączyły różane;
I rozleciały się w błękit na nowo,
Ważąc się długo smętne, zadumane;
Jakby straciły i szukały siebie,
Podobne zmarłym duszom ludzkim – w niebie.

I obaczywszy się nagle, jak strzały
Znów szły ku sobie lotem błyskawicy,
I znów złączone, jako płatek biały
Śniegu, gołąbek przy swej gołębicy
Kręcił się, skrzydłem ją trącał nieśmiały;
Aż zmordowani obaj tanecznicy,
Najmilsze z siebie dali malowidło:
Senną kochankę gołąb wziął na skrzydło.

Przyniósł na ziemię, położył na trawie,
I w koło chodząc, budził gardłowaniem.
Na szyję wyszły mu kolory pawie,
Miłość go takim darzy malowaniem!
Miłość ubrała mu piersi jaskrawie
W ogień tęczowy. Z takim się kochaniem
Zapatrzył gołąb w swoją senną panią,
Że tęcza blasków z niego – przeszła na nią.

I obudziła się. I znów oboje
Leciały prosto na Zbigniewa barki.
On je pogłaskał i wnet wszystko dwoje,
Tęczowe piersi zgasiwszy i karki,
Z ramion mu poszły, i w kręgi, i w słoje
Tnące powietrze. Z razu był nie szparki
Lot, póki rycerz nie ruszył wędzidłem,
Póki nie gonił, wabiły go skrzydłem.

Lecz gdy bezmowne owe dwie istoty
Przelały swoją myśl w serce człowieka,
Coraz prędzszymi udały się loty;
I wnet zrozumiał rycerz, że go czeka

Awantur nowych, dziwnych, łańcuch złoty,
Zaczarowany zamek, albo rzeka
Pełna Rusałek. O! domysły trafne!
Może w pokrzywy przemieniona Dafne?

Może Minotaur i zakłete skarby,
Z których, jak z dobrej wioski będzie przychód;
Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,
Nigdy się małych nie spodziewa lichot.
O, gdyby nie to! to nigdy Ikar by
Nie latał, nigdy by nie żył Don-Kiszot.

.

Beniowski, goniąc gałębie i mary,
Obaczył, że na dąb samotny siadły;
Był to ów sławny dąb, gaduła stary,
Jak czarownica krzywy i wybladły.
Ogniste zeszcła kora miała szpary,
Z konarów liście na poly opadły.
Liść, co pozostał, zwiędły i zwalany
Szumiał po drzewie, jak krwawe łachmany.

Bez kształtu, spiekły, podarty, nieżywy,
Zimę i lato wisiał na konarze;
Kruk się go lękał, a jeleni pierzchliwy
Nigdy nie zasnął w tym krzemiennym jarze,
Bo z wiatrem ów liść łopotał straszliwy
Jako szatańskie skrzydło, całe w żarze—
Nocą, z pod owych skrwawionych warkoczy
Próchno świeciło się w dębie—jak oczy.

Nie krokodyle, nie hipopotamy,
Nie muł tworzący na Nilu oftalmie,
Nie dzuma, nie tęsknota, nie te bramy,
Na które patrząc, że zamknięte, żal mię
Brał, że tak naszych żon nie zamykamy
W jednym haremie, jak w Armidy palmie...
Ta strofa poszła krzywo, bo ze Wschodu
Wygonił mię brak awantur i lodu.

Za to w ojczyźnie Danta to oboje
Znalazłem. Lecz to rzecz jest tajemnicza...

O to bynajmniej nie dbam i nie stoję,
Aby widziano, czy moja dziewicza
Muza kochała się realnie. Roję,
Śnię, tworzę, harfy używam lub bicza,
I to jest moja poetyczna droga...
Lecz z mego życia poemat – dla Boga.

On wie, On wiedział, nad jakimi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów w przepaść lecących... te chóry
On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.
Nie zwiodły Go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucić, czuć, niknąć;
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się – i nie przeklinać.

On! i pustyni gwiazdy lazuruowe,
I zachodzące nad morzami słońce,
I jedno serce ludzkie... Lecz to nowe
Głosy dla mojej lutni – te cierpiące –
Milcz, serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bólu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone...
Uderzam ciebie w złości... Milcz, szalone! –

I patrzył... owych zaś gołębi para,
Która go tańcem cudownym przywiodła,
Skoro dąb zagasł i ognista mara
Przed znakiem krzyża uleciała podła;
Owe gołębie, których ja z Antara
Pieśni pożyczam i biorę za godła
Miłości... nigdy za małżeński związek! –
Skoro dąb zagasł, zleciały z gałązek,

I okrążywszy go potrójnym lotem,
Skrzyły się w jego wnętrze wypróchniałe.
Tak był szeroki, że mógł być namiotem,
I zmieścić... nie wiem, czy mógł... wojsko całe –
Lecz mógł pomieścić haftowany złotem
Ów sztab, co dzieli naszych wodzów chwałę,
I dzieli się tak cudownie i sztucznie,
Jak ową siedmią ryb Chrystusa ucznie.

Tak, że zostanie i zbiorą z ostatka
Siedem dla wojska koszów, napełnionych
Okruszynami sławy. Rzecz to rzadka
Tak zły apetyt! w ludziach tak czerwonych!
Ale, że to jest cudowna zagadka
O sławie onej i o rybach onych,
Nie mówię więcej... Na gryzącym zębie
Wolałbym niż tę sławę – te gołębie,

Które dąb cały okrążywszy pilnie,
Do spróchniałego wleciały ośrodka;
Skrzydłami siekąc powietrze tak silnie,
Jak piskorz kraje wodę, albo plotka.
Pomyślał wtenczas rycerz, że nieomylnie
Awantura go jakaś w dębnie spotka,
I nie czekając, skoczywszy z rumaka,
Szedł ku dębowi temu z czasów Kraka.

Dochodząc wejścia, nasz młokosik rzeski
Usłyszał w drzewie szmer i pocałunki...
Ciemny był wewnątrz dąb, ciemno-niebieski,
Bo próchno, niby brabanckie koronki
Rozbłękitniło chropowate deski,
Jak dla Rusałki kościół, lub Bogunki.
Było tam światło takie, jak w zawiei,
Gdy księżyc świeci w mgle... światło nadziei!

Ktokolwiek deptał ziemię starożytną,
I popiołami nakryte pokoje,
Gdzie laury rosną, pomarańcze kwitną;
Ktokolwiek był tam z kochanką we dwoje,
Ktokolwiek grotę odwiedzał błękitną
Kaprei – i tam ujrzał bóstwo swoje

Nagle błękitnem powietrzem kościoła
Zmienione w blade widmo i anioła;

Ktokolwiek zważał te podmorskie świty
Oblewające je od stóp do głowy,
I widział, jak się z różanej kobiety
Czynił duch jasny lecz bezkolorowy,
Błyszczący, żywy posąg Amfitryty,
W błękitnem ogniu móż 'zniknąć gotowy,
Tak piękny! w skały ukryty i w morze...
Żywy – lecz w niebios pośmiertnym kolorze;

Ktokolwiek w grocie tej, na kruchej łodzi,
Zamknąwszy oczy, znowu je otwierał
Myśląc, że księżyc nowy z fal wychodzi
W kształcie kochanki; ktokolwiek nie sterał
Imaginacyi i ta jemu płodzi
Kształty; ktokolwiek je w księżyc ubierał,
Niech popracuje, albo puści żagle
Myślom... a ujrzy tu zmienacka, nagle –

Ujrzy, co pan Kazimierz. W owem drzewie
Od lat szesnastu za ledwie dziewczątko,
W błękitne próchien rzucone zarzewie
W grocie z promieni... Nazwałbym ją prządka
Arachną... Muza moja sama nie wie,
Jaką od innych odznaczyć pieczętką
Ów utwór nowy... W błyskotnej sukience
Stała, na piersiach swych trzymając ręce.

Na skrzyżowanych rękach białe ptaszki
Sięgały jej ust dzióbki różanymi;
W oczach błękitnych przestrach wziął na ważki
I dwie perłowe łzy zrobił równemi –
Spadały obie. Szkła czeskie i blaszki
Wydawały się gwiazdami złotemi,
I z włosów dziwne rzucały promienie –
Bielutką miała twarz – z tęczy odzienie.

Gdy wszedł do dębu rycerz, cała trwożna
Splonęła, twarz jej splonęła i szyja;
Wstyd pokazała w sobie nieostrożna,

I ten rumieniec, co w skażonych mija...
Widzę, że dalej już pisać nie można,
Bo opisowość poetę zabija;
I Pegaz się mój homeryczny zdębi,
Stwórzcie więc myślą panią dwóch gołębi.

I niechaj się wam roją rzeczy cudne
O czarodziejskim Rusalek kościele;
Gdy w koło jary dzikie i odludne,
I ogryzione przez wilków piszczele,
I trupy czarną krwią zastygłą brudne,
I innych czarnych okropności wiele...
A w głębi dębu gwar innego świata,
Szum liści, próchno się w gwiazdy rozlata.

Beniowski z ładną panienką... Dziewico!
Która te wiersze czytasz, czytaj dalej...
Miłości moje, jako próchna świecą
Lecz nigdy się krew w marach nie zapali;
Ledwo ustami płomienia zachwycą,
Wnet je strach księdza, albo los oddali,
Rozerwie ręce, strwoży niewymownie,
I dalszą miłość prowadzą – listownie.

W listach dopiero... a wszystkie umieszczę
W przypiskach... mój bohater będzie czuły;
Już to nie będą moje rytmy wieszczę,
Ale esencja serc, prosto z szkatuły
Wyjęta: serca nią wszystkie rozpieszczę,
A może nawet młodość będą psuły...
Nie emigracją, bo tej dyabeł nie chce,
I żadną serca żądzą już nie łechce.

Ambicya serce z pod żeber wykradła,
Sejm się nie kocha już, ani też gminy;
Zbiorowa ta osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuletyny,
Gwiazdy się każdej spyta, co upadła:
Jakie pryncypia ma?... A księżyc za miny
Arystokratą nazwie i dla tego,
Że w smutnej twarzy swej ma coś – srebrnego.

Pryncypia... O pryncypia! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna... Więc przekręślę
Te strofy... Dusza mi zagrała smętnie,
Śmiechu na ustach nie mam, ni w umyśle.
Wszystko prowadzi dziwnie Boża ręka.
Tak dziwnie!... że mi serce wre i pęka.

Więc polityczne moje Falanstery,
Bądźcie mi zdrowe!... I wy, co bez głowy
Upadli z pańskiej jak z niebieskiej sfery,
W arystokratów gracie: smętne sowy!
Co w grze myślicie bić jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy;
Was także żegnam, bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka – śmiech mnie bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca, lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! – Ha! to mnie przestrasza –
Kościuszeko przeczuł was, krzyżąc: skończona!
Z krzyża swojego krzyknął tak – a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka... śmiech mnie zbiera.

Co będzie z wami, prosto wam nie powiem,
Nie jestem jako wieszcz wszystkowiedzący.
Krwia do was pitem, moim duchem, zdrowiem;
A teraz ciskam serce, puchar lśniący...
Słyszycie? Pękło. Teraz mi węzłowiem
Jedno kobiece serce – jestem śpiący;
Omdlały jestem, ogniem owionięty,
Piekielne rzeczy rzucający, święty.

Niech się komedia gra. Może mi przyjdzie
Grać inną, wtenczas was wszystkich przerażę.
Ległem jak czarny sfinks przy piramidzie.
Z grobów ojczystych patrzę blade twarze;
Może wieszcz – zechcę jeszcze w jasnowiedzie
Rzec co ciemnego? Może wam pokażę

Pełne piorunów usta, piersi, trzewa:
Może zamilknę jak lew, co poziewa,

Patrząc na małość zielonego węża,
I zasnę, zasnę – ha! lecz przebudzenie?
Niech los i serca szaleństwo zwycięża!
Z mózgu mojego mieliście jedzenie,
Lecz serce moje się jak łuk wypreża,
Zrzuca was głodne sępów pokolenie.
Ugolin odbił piekło. – Ognia fale!
Wyrwijcie resztę sępom. Precz, szakale!

Kto inny teraz jest nademną, nie wy,
Na których patrzył ja, Akteon blady.
Między ciemnymi położył się drzewy,
Słowiki będą moimi sąsiady,
Księżyc, jako mój srebrny anioł lewy,
Ona, jak złoty mój duch dobrej rady,
Odgoni czarne Cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada.

Przez litość tylko nademną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu oblakaną,
Przez moc, co serca wskresza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy,
Będę zbawiony, dumny, bezpokutny,
Ale to wszystko sen – i może smutny!

Na Boga! Muzo! Trochę śmiechu! Tyle,
Ile potrzeba dla zabawy gminu.
Gdy serce moje z pod zasłon odchyłę,
Widzę, że nie jest jak serce z bursztynu;
A jednak miało kiedyś światła chwile,
Dawnej miłości winne, temu winu,
Które upaja na śmierć, potem wskresza.
O! chcę miłości uczyć! Gdzie jest rzesza?

Odbiegła. – Skarży się na moją ciemność.
Poeto, „fiat lux“ zacięcie krzyczą.
I we mnie dziwną znaleźli wzajemność:

Życzę, aby to było, czego życzą!
Tygodnik jakąś wynalazł odjemność
We mnie; lecz niech się dobrze wtajemniczą,
A ujrzą, że jest coś, jak grecki antyk,
Lecz panteista trochę i romantyk.

A teraz prosto i bez epizodów
Śpiewam, jak prawy wieszcz, nie jak amator,
Co mój bohater ma jechać do lodów
Sybirskich i do Chin i pod Equator;
Do innych nagich i dzikich narodów,
Aż mu na grobie wyrzną: sta viator.
Wtenczas ratunku już ze śmiercią nie ma,
Zatrzyma się czytelnik i poema.

Lecz nim nastąpi to, cudne mam rzeczy
W tece! cudowna awantur girlanda!
Rycerz mój rąbie, zabija, kaleczy
Nakszałt Hektora, Ajaksa, Orlanda;
Przybywa zamkom w porę do odsieczy,
Pisze kronikę wierszem, jak Wiganda,
O awanturach własnych geografją,
Po której ludzie na kraj świata trafią.

Na starość także napisał: Pomysły
Do dziejów, które się dzieć kiedyś mogą,
Z czego korzystał dzisiaj jeden ścisły
Krakowczyk, książkę wydawszy niedrogą.
Książka ma polską duszę, a na zmysły
Działa jak Niemiec; mnie zaś szarpie srogo,
Bije po rękę jak rektorska linia;
Jeśliś ciekawy, patrz rozdział: Opinia.

O, autorowie z nudy! O, Feniksy!
Powstali z trupów, z prochów własnych, z łózek.
O, polityczne moje nowe lksy!
Upadam wszystkim pokornie do nóżek,
Lecz życzę, aby nas dzieliły Styksy.
A teraz z waszych korzystam przestrózek,
I już nie ody piszę, ani hymny,
Ale poemat ten – nadzwyczaj zimny.

Bohater w dębie zamknięty z młodziutką

Panną, a jednak stoi o pięć kroków;

Jeśli co mówi, mówi bardzo krótko.

Nie spuszczam żadnych na scenę obłoków,

Bo ani z wód kobietką, z niezabudką,

Rozmawia czyściej lilja, pani stoków,

Gdy je wiatr zdrajca ku sobie pokłoni,

Jako tych dwoje, których ja mam w dłoni.

I mógłbym... mógłym, – lecz nie chcę... a może

Nie mogę, nie mam dosyć serca, żaru,

Próchno świecące księżycowo w korze

Zda mi się pełne widm, pokus i gwaru

Pełne... Zatrzymaj mię, potężny Boże!

Bo gotów jestem dla lepszego czaru

Rzucić na serce mego czytelnika

Trochę awantur własnych z pod równika.

Lecz nie. – Sybirski będę, lodowaty;

Dla tego wchodzę w styl nowych poetów.

Słyszycie, jak się krzą odłudne kwiaty?

Słyszycie głuchy łomot oczeretów?

Ktoś jedzie, śpiesznie mu pewno za katy!

Odtętnia głucho echo jarych grzbietów.

Wiele być musi jadących rycerzy,

Kiedy przed nimi takie echo bieży!

Na pozłoconym kurzawy tumanie,

Która do dębu ze słońcem się wkradła,

Naprzód ksiądz jakiś wleciał niespodzianie,

Za księdzem jakaś złota mara wpadła.

Ksiądz był w habicie, a mara w żupanie,

W szerokich bardzo szarawarach z radła,

Na których złota leżała kurzawa,

Słowem, Ksiądz Marek to był i pan Sawa.

Ku nim więc moja Nimfa srebrnej cery

Pobiegła skocznie i, całując w ręce,

Oddała księdzu Markowi papiery

Schowane bardzo tajemnie w sukience;

Potem zaczęła śpiew o sobie szczery;

Słów jej nie kładnę wszystkich, bo przekreślę,

Albo bym musiał kłaść po kropkach kropki,
Bowiem ta Nimfa mówiła jak chłopki.

Mówiła, jak dwa gołębie siostrzane
Przyprowadziły ze stepów obrońcę...
Mówiąc płakała – na usta różane
Kapiąc, padało kropelkami słońce.
Pan Zbigniew patrzył zaś w stronę, na ścianę,
Ksiądz w ziemię, Sawa łamał ostróg końce.
Widząc, że sądzić są gotowi krzywo,
Rycerz do księdza rzekł dumnie i żywo:

„Z Węgier albowiem moje rodowody
Prowadzę i mam hrabiowskie tytuły,
Ale że jestem bez grosza i młody,
Nie wiele sobie ważę te bibuły
I pergaminy; lecz chcę iść w zawody
Z przodkami, jako człek na sławę czuły
I mocno hańbę ojczyzny czujący;
Niedoświadczony jeszcze, lecz gorący.

Gdy tak przemówił, ksiądz Marek otworzył
Ramiona i jął ściskać postać giętką:
„Ja znałem twego ojca! gdyby dożył,
„Pewnieby twoją chęć pochwalił prędką,
„Bogdajbyś późno się w grobie położył
„Jasnym, jak człowiek wielki – ani wędką
„Sprośnych rozkoszy tu był ułowiony.
„Zlituj się, Matko niebieskiej korony!



„Oto dziecko to oddaję w opiekę
„Tobie, Dziewico czysta, Matko Boża!
„Broń rzuconego w tę nieszczęścia rzekę,
„Która z nas płynie do wieczności morza.
„Pozwól, że z niego tę cielesność zwlekę,
„Która tu krwawi ducha jak obroża,
„A zaś mu w duszę ognistą przeleję
„Rozpacz, co wszystko łamie—i nadzieję.

.....

PIEŚŃ IV-ta.



w ciemnym dębie było tylko dwoje:
Książd z piórem w rękę, ze świeczką dziewczyna;
I tylko świerszcze między drzewne słoje
Wrzały piosenką. Była to godzina,
W której tak miło pójść nad jasne zdroje,
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna,
I na murawie legnąć aksamitnej,
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnej.

Lecz w owe czasy któż jedną godzinę
Marzył, spokojnie przedumał nad wodą?
Któż miał czas marzyć, że tak wszystko minie
Jak kwiat, będący motylom gospodą?
Jak niezabudka drżąca przy leszczynie?
Jak łza? — jak wszystko, co się zowie modą?

A więc niech wszystko mija! Wstańcie burze!
I zwiejdzie mój ślad z tej smętnej pustyni!
I moje myśli, jak łez pełne kruże,
Przechylcie, niech je próżnemi uczyni
Czas. Wszak stawałem na niejednej górze
Bliżej piorunów, niż gadu, co ślini
Pocałunkami nawet twarz człowieka!
Bliżej chmur, co grmią, niż ludu, co szczeka!

I dziś od ogni boskich w dół zepchnięty
Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów,
Cierpię, lecz jeszcze gardzę. I ten święty
Rzym nieraz kąsa was aż do jelitów
I płynie jako szalone okręty,
Z fal odrzucany do niebios błękitów,
Gdzie mu początek był i koniec będzie,
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiedzie.

Tymczasem z szumów żaglowych i waru
Myśli zhukanych jest harmonia dzika,
Którą ja lubię, że tak pełna gwaru,
Że czasem jak wąż pośród ruin syka!
Czasem podobna do Aniołów swaru,
Gdy błyskawicą letnią się odmyka
Niebo, i znów się zasuną płomienie
Na dziwny duchów świat, skąd szło westchnienie.

A jednak, gdyby twoja, o! młodości!
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda;
Gdybym nad sobą miał więcej litości,
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda
Tego, co teraz jest i co w przyszłości
Być może, lutnię szalonego Barda
Skruszyłbym, wzięwszy pod zgięte kolano,
I nową harfę wziął niepokalaną.

Lecz późno, późno już! Gdzie są słuchacze?
Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?
Czy urągają? nie wiem i nie ręcę
Gonić myślami te smętne, stracone
Mary. Lecz nieraz, kiedy mi zakracze
Orzeł, lecący na słońce czerwone,
Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia
Znów odlatuje odemnie – ostatnia!

Lubiłem takie dusze, dzikie, smętne,
Rozokolone na niebie szeroko,
Błyskawicowe trochę, trochę mętne,
Nawet, gdy w ciało się straszne obloką,
I w pioruny się rzucają namiętne,
Lub nad Safony chwieją się opoką.

Lubiłem takie dusze – nie bezkarny!
Wybrednie marząc w różach – kolor czarny.

Dziś uleczony napół, lubię różę
Takie, jakimi je Bóg stworzył, ładne
I wiotkie. Teraz wam powieścią służę
I w żadne więcej ustępy nie wpadnę;
Żadną gawędą pieśni nie przedłużę,
Ale też z faktów wam nic nie ukradnę.
Bo wszystko godne jest pamięci wiecznej,
I wszystko może ująć w kompanii grzecznej.

Stoi więc w dębie moja młodyca
Ze świecą, jasne dwa gołębie burczą;
Ksiądz pieczętuje sygnetem szlachcica
Listy. Posłuszne się papiery kurczą
W kopertę; z lakiem ożeniona świeca,
Mówiąc Delilla stylem – styl tak sturczą
Poeci, że dziś gwałtem trzeba z Francyi
Rozumu – jeszcze więcej elegancyi.

Już więc Ksiądz Marek, tu mnie nie dościgną
Ixy warszawskie, kochanków zaślubił,
I nim oboje w małżeństwie ostygną,
Przypieczętować chciał, już tak naczubił,
Już, już... wtem szable mu po oczach mignął!
Ksiądz wstał, szczęk wielki był, pieczętkę zgubił,
Ujrzał na ścianach boju stereotyp,
Bowiem dąb w środku był jak dagerotyp.

Co się więc działo zewnątrz, to się w łonie
Suchego dębu odbiło tęczowie.
Był bój: naprzeciw siebie szły dwa konie,
A na koniach szli dwaj bohaterowie,
Nad głową niosąc podniesione bronie,
Szablice, każda jako sierp na głowie!
Teraz ksiądz poznał, że ci wojownicy
Byli to z Panem Sawą Pan Maurycy.

Poznawszy, w duchu rzekł: nie pójdę godzić!
Niechajże sobie trochę krwi utoczą,
To może nadto gorących ochłodzić,
Potem z rozwagą większą w ogień skoczą.

Tak mówiąc patrzył, jak chcąc sobie szkodzić,
Na ścianach tęczę tworzyli uroczą.
Światłość ich obu owionęła krwawa,
W ogniu na białym koniu migał Sawa.

Spotkali się raz, złożyli nad głową,
I znów ich konie rozniosły szalone;
Za drugim razem, tnąc sztuką krzyżową,
Beniowski, zgrabnie skoczywszy na stronę,
Dał szacht tak płytki koniowi nad głową,
Że mu z przyciętych uszu, dwie czerwone
Trysły fontanny – jak rubin się żarzą,
W biegu nadjechał na nie Sawa twarzą.

Więc się na białym wydawał rumaku,
Mając zalane oczy krwi wytryskiem,
Jakby Delfina miał w złotym czapraku
Pod siodłem, który krew wyrzucał pyskiem.
Nie dając jednak najmniejszego znaku,
Że był zmieszany tym ostrym dogryzkiem,
Obróciwszy się koniowi do grzbietu,
Strząsł krew i z olster dobył pistoletu.

Straszny był wtenczas! We krwi, co go broczy,
Spokojną miał twarz i spokojnie mierzył
Do bohatera pieśni – między oczy;
I gdyby krzemień był spadł i uderzył
W dekę, co skrami pryskając odskoczy,
Pewnieby więcej mój bohater nie żył.
Bo sam wyznawał, że w szturmaku onym
Widział przybitą kulę czemś czerwoniem.

Więc pewnie by ją był duszy oczyma,
Jak mówi Hamlet, w czasie swej zobaczył,
Gdyby nie dziwne, a dla piso-ryma
Miłe zdarzenie. Bóg zachować raczył
Człowieka, a ja zeń zrobię olbrzymą;
Byle mi tylko czytelnik przebaczył,
Że empirycznie, minawszy przyczynę,
Wdałem się wskutek rzeczy, w rąbaninę.

Lecz wpadłszy, muszę kończyć. Więc Pan Sawa
Lewe przymrużył oko i wycelił,



W. PAWLISZAK.

BENIOWSKI.

A zaś powszechnie o nim niosła sława,
Że nawet pannom, gdy sobie podchmielił,
Wystrelał korki. Była to zabawa,
Którejbym wcale z innymi nie dzielił,
Gdybym był panną gdzieś w szlacheckich dworach,
Pod owe czasy, i chodził na korkach.

Wycelił więc już prosto, w samo czoło,
I palec już giał, gdy nagle, o dziwy!
Jakoby Irys, co rzuciwszy koło,
Z tęczy zlatuje na zamglone niwy,
Lekko jak anioł, jak ptaszek wesoło,
Dzieweczka z dębu dała skok straszliwy,
Skok na dwa łokcie od ziemi wysoki,
W poezji mówiąc, skok aż pod obłoki.

Z obłoków spadła na konia ze śniegu,
Na którym siedział Pan Sawa złowrogi.
Nim się obejrzał, już na siodła brzegu
Stojąca za nim, jak Olimpu bogi,
Prosta i naprzód podana do biegu,
Chwyliła za lejc, i na tylne nogi
Podniósłszy konia z rycerzem do góry,
Tak pomieściła go, że strzelił w chmury.

I nie czekając, aż poprawi strzału,
Lejcem i głosem zagrzawszy rumaka,
Rzuciła w galop taki pełny szalu,
Że galop konia był jako lot ptaka.
A ta dziewczeczka, by duch ideału,
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
Resztą się ciała, strach przechodzi mrowi,
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,
Z rozciągniętymi jako ptak rączęty.
Z włosów, co były na głowie koroną,
Naprzód się złoty zrobił wąż zwinięty
W kłęby, i leciał wraz za tą szaloną,
W połyskujące ją chcąc winąć skręty.
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
Które gonily ją mgłą dyamentów.

Za włosem, i za kwiatami, i za nią
Pędziły równym dwa gołębie lotem.
Nie widzę więcej, jary się tumania,
Dymnej kurzawy przesłonięte złotem;
W kurzawie rycerz znika z moją panią;
Jeszcze raz galop konia runął grzotem,
Jeszcze raz jeździec na wierzchołku góry,
Jak z ametystu, z płomienia i z chmury

Błysnął i zniknął. Teraz, kto wypowie
Uczucia wewnętrzne w moim bohaterze?
Zamiast kul srogich pana Sawy w głowie,
Ujrzał... a tu mu wcale nie ubliżę,
Bo wiem, że wiedział, co są Centaurowie,
Przypomnieć musiał więc o Dejanirze;
I miał na twarzy taki wyraz boski,
Jak ten, co wiersze pisząc, liczy zgłoski!

Oczy utopił w kurzu obłok złoty,
Gdzie zniknął rycerz, koń, panna, jej włosy,
I za włosami, jak dwa papiloty,
Białe gołąbki na dwóch końcach kosy.
I stał i patrzył, gdy z dębowej groty
Wyszedł ku niemu Karmelita bosa,
I przeżegnawszy się Chrystusa znakiem,
Spytał: „Dla czego Waś się bił z Kozakiem?

„Skądże wam przyszło, żeście tu z jaszczura

„Dobylili szabel i na konie wsiedli?”

Na to Pan Zbigniew: „Oto jest rzecz, która

„Zwaśniła obu, gdyśmy tutaj jedli

„I pili; oto złota miniatura,

„O którą srogi bój obaśmy wiedli.

„O taką się rzecz bijemy nie pierwsi;

„Ja mu ją, księżu, sam zerwałem z piersi.

„A zerwawszy ją, chciałem serca dostać

„Z pod żeber jego tą szablą turecką.”

Tak mówiąc, strasznie miał marsową postać.

A ksiądz: „O takąż rzecz chodziło świecką?

„Wartoby obu dyscypliną chłostać!

„Wstydz się, Wielmożny Hrabio! jesteś dziecko:

„Tę miniaturę mi dała dla ciebie
„Córka Starosty dziś, jak Bóg na niebie!

„Ja zaś, nie mając kieszeni w habicie,
„I nie chcąc wieszać tej rzeczy na sobie,
„Dałem ją Sawie, by ją schował skrycie,
„Aż mi ją przyjdzie na myśl oddać tobie.
„A przytem i list skropiony obficie
„Łzami, a w takim pisany sposobie,
„Że choć ksiądz jestem, w miłośkach nie służę,
„Podjąłem się ten list schować w kapturze.

„Oto jest pismo dziś pisane w nocy,
„Czytaj Waść! ja tymczasem na koń siędę;

.
.

Beniowski błądy jak duch o północy
Już nie uważał na księdza gawędę;
Ale otworzył list, czytał i wzdychał,
Bo ten list w niebo rwał i w piekło spychał.

A naprzód w liście było opisanie
Tego, co w drugiej mojej pieśni stoi,
To jest: jak zamek wzięto niespodzianie,
Jak go dostano prędzej niżli Troi;
Jak na śmiertelnym już był karawanie
Pan Dzieduszycki, jak w piwnicach broi
Szlachta, będąca w zamku na załodze;
Jak Ladawiecki pan zdał rządu wodze,

A sam zamyślał jechać do Warszawy
I córkę z walki uprowadzić pola.
„O! mój Zbigniewie! nie miej ty obawy,
Pisała panna, nigdy ojca wola,
„Nigdy ponęta, nigdy przestrasz krwawy,
„Nigdy szalone szczęście lub niedola
„Nie skłonią mego serca do odmiany!
„Bądź sławny! jesteś mój, jesteś kochany!

„Odjeżdżam teraz, ale się otoczę
„Myślami, kwiatów poleskich zapachem,
„Woniami, które były tak urocze,

„Gdy w Anielinkach, pod słomianym dachem
„Ty mię porzuciła, a ja ci warkocze
„Dałam całować, przenikniona strachem,
„Abyś mi u nóg nie padł konający,
„Tak byłeś blady przy gwiazdach i drżący.

„Powiem ci teraz, żem się była zlekła,
„Abyś ty we mnie nie usłyszał głosów,
„Z którymi w sercu jakaś struna pękła,
„Gdy się dotknąłeś usty moich włosów.
„Pomnisz, żem wtenczas tak jak dziecko jękla,
„Chwytałam się szat twoich, drzew i kłosów,
„Myślałam, że już ginę z światłem, z echem,
„I że westchnienie śmierci – jest uśmiechem.

„Kiedy to piszę, słońce wschodzi z wieńcem
„Chmur i tak wstydzi mnie, że nie wiem czemu,
„Cała się zlałam łzami i rumieńcem;
„Ty wiesz, ja zawsze kwiatowi białemu
„Podobna, póki mi był oblubieńcem
„Chrystus. Uśmiechnij się słońcu złotemu,
„Bo mi się przed nim łza gorąca toczy
„I tak rumieni mnie, jak twoje oczy.

„Niespokojności pełne serce moje!
„Smutno mi rzucać te miejsca, te stawy!
„Jeżeli kiedy przywiodą cię boje
„Aż do mojego zamku, do Ładawy,
„Każ sobie Panny otworzyć pokoje;
„Na stole stoi filiżanka z lawy,
„Rzucam dla ciebie w nią maleńki kwiatek,
„Nosilał go dziś całą noc – bławatek.

„Nie trać nadziei nigdy, nigdy! Kto ma
„Wolę, ten wszystko pokona. – Addio!
„Z wyciągniętymi za tobą rękoma
„Jeszcze raz wołam tobie – caro mio!
„Przy tobie zawsze będę, niewidoma,
„I wprzód mi serce, niż ciebie zabiją!
„Nie! ty nie możesz zginać tak jak oni,
„Których nie kocha nikt – i nikt nie broni.

„Pytałam dzisiaj starej wróżki Diwy
„Czy mi Bóg ciebie zachowa i wróci?
„Odpowiedziała: że będziesz szczęśliwy,
„Że się o ciebie wiele duchów kłóci
„Czarnych i złotych z tęczowemi grzywy;
„A czyny twoje ktoś na harfie nuci;
„Że zawrzesz z królem indyjskim przymierze,
„Nie będziesz temu wierzył, lecz ja wierzę.

„Przepowiadając, mówiła mi stara,
„Że widzi ciebie w sankach z wieloryba,
„A zaś przy tobie stoi jakaś mara
„Ubrana w szaty dziewicze; to chyba
„Ja – czy nie prawda? O, gdyby ta szpara,
„Gdyby ta jasna z dyamentu szyba,
„Przez którą Diwa widzi przyszłe rzeczy,
„Mogła zastąpić we mnie wzrok człowieczy!

„Zgodziłabym się nie widzieć na niebie
„Gwiazd ani słońca, nie widzieć błękitu;
„Lecz tylko w każdej chwili widzieć ciebie,
„Na ciebie patrzeć od zmroku do świtu,
„Zda mi się nawet, że w jakiej potrzebie
„Pomagałabym ci okiem – do szczytu
„Szczęścia i sławy – choćby...“ Tu przerwany
Był list i dwoma plamkami zwalany.

Te plamki były do ust podniesione,
Lecz ksiądz podstawił pod usta szkaplerza
„Te całuj! krzyknął, te rany czerwone,
„Które miał Chrystus, godne ust rycerza!
„Nie te kropelki łez gorzkie i słone;
„Z których rdza pada na kryształ puklerza.
„Rzuć ten list – daj go, jak mówią, szatanu!
„A słuchaj! ważną misyą dam Waćpanu.

.....
Młodości! każ się tej ląbędziej marze
Z ognia i złota unosić po świetcie.
Niech szumi wino w twej platońskiej czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie;

A blisko ślubów wysokich ołtarze,
Gdzie Saturnowy wąż się z ogni plecie:
Tam ślubuj przyszłość. Muza mdleć zaczyna!
Dajcie mi bursztyn, i róże, i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę,
Niech o młodości pomarzę pół-senny
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtóruje mi znów szumiąc liść jesienny.
Napróżno serce truciznami poim!
Kochanko pierwszych dni! znów jestem twoim!

Patrzaj, powracam bez serca i sławy,
Jak obłąkany ptak i u nóg leżę.
O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy,
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! głos mój wśród wichru i wrzawy
Słyszałaś w równej zawsze strojny mierze;
U ciebie jednej on się też spodziewał,
Ty wiesz, jak muszę cierpieć, abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina;
Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina,
I w pieśń się patrzaj tę, co jest z opalów,
A więcej kocha ludzi, niż przeklina.
I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?
Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną!

Twój czar nademną trwa. O! ileż razy
Na skałach i nad morzami, bez końca,
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoją miałem nakształt słońca
W pamięci mojej. Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał – a łza gorąca
Nigdy mu jasnym skrzydeł nie splamiła:
Twa dusza znała to – i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blade, jak słońce sumienia,

Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne:
Jedna z marmuru, a druga z promienia;
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne,
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kręśląc,
Staliśmy jak dwa sny, oboje myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory,
My, cośmy ziemię tę widzieli nagą,
Przez piękne niegdyś widzianą kolory.
Cośmy poznali, że nie jest odwagą
Rozpacznym czynem skończyć żywot chory;
Lecz uleczeni przez trucizn użycie,
Sercu zadawszy śmierć, znaleźli życie.

Pierwszy to i raz ostatni, o miła!
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posepną odkryła,
I boleść wyszła z niej, jak nawałnica.
W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
Gdy księżyc pełny, jak srebrna różyca
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje
W te, gdzieśmy niegdyś chodzili, aleje.

Bądź zdrowa! odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mię duchy w inną stronę;
Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołysze
I z czoła mego podnosi zasłonę,



Z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
Wyrok stawiający mnie między stracone;
Ja czekam, krusząc wyroki okrutne –
Twe oczy patrzą na mnie – takie smutne!

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy:
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdiesz, do zbielełej róży
Podobna, zasnąć – Dosyć!... Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży,
Róże uwiędły, czara wychylona,
I pieśń gdzieś leci odemnie echowa –
Już pożegnałem cię – jeszcze bądź zdrowa!

PIEŚŃ V.



Przez ciemne, smutne gościńce kurhanów
Niesie go czarny koń dniami i nocą.
Pod ziemią tętna zakopanych dzbanów
Z prochem rycerzy, na niebie łopocą
Kruki, jak stada posępne szatanów.
W czaharach zbroje rycerzy migocą
I dzidy błyszczą krwawymi płomyki.
Tam, na kurhanach, posępne lirniki
Siedzą i grają dumy dawnych czasów.
Dumy wychodzą na rozległe pola,
Wpadają smutne w szum dębowych lasów;
I stamtąd znowu, jak harfy Eola,
Zmieszane z szumem liścianych hałasów,
Wychodzą na step: a ludzka niedola
Leci, wichrami płaczącymi wiana,
Jakby nie ludzi ustami śpiewana.

Tu siedzą wianki na polu czumaków,
I ogień palą wielki, jasny, chmurny;
Tam dalej wieńce podróżników ptaków,
A drop na straży, albo sęp bezpieczny,
Podobni zdala do rzymskich orszaków
Koło chorągwi, albo koło urny,
Gdzie smętne wodza popioły złożone,
Odprawujące straż i zamyśłone.

Beniowski przebył Dniepr, gdy raz wieczorem,
Kiedy już księżyc powstawał zamglony,
Obaczył ogień pod dębowym borem
W ziemi palący się, wielki, czerwony.
Przy ogniu siedział człek okryty worem,
Dzikiej i strasznej twarzy jak Hurony;
Gotował strawę i pazury czarne
Krwawiąc, odzierał ze skór całą sarnę.

Ta wywrócona, oczyma szklanemi
Zdała się żebrać u ognia liłości.
Dalej siedziało dwóch panów na ziemi:
Na jednym żupan był, skóra i kości...
Drugi otyły i z rubinowymi
Policzki, pełen w sobie wielmożności,
Przepijał głośno do drugiego zdrowiem
Z butla, co miał brzuch obsztyt sitowiem.

Ów pan wspaniałej tuszy, trochę baba
Na twarzy, dziwnej miał zbroję struktury.
Od kołnierza mu szła żelazna sztaba
Malowanemi natykana pióry.
Rzekłbyś, że rodzi go królowa Saba,
Że z dawnych czasów spadł jak żaba z chmury.
Chociaż się zbroja nam wydaje dzika—
Beniowski poznał zaraz pancernika.

Gdźieniegdzie jeszcze snuli się po kraju
Starzy, minionych czasów kochankowie,
Którzy nie pili kawy, ani czaju,
Żelaza kawał nosili na głowie
Jak starej kawał arki na Synaju;
A Bóg im dawał rumieniec i zdrowie,

Zwłaszcza, że słomę wkładali do butów.
Litwin pancernik, jeden z tych mamutów

Siedział, jak mówię – i z oplecionego
Butla pił. Litwin to był starej daty,
Z chudym się na czas połączył kolegą.
A jego sługa, czerwono-kudłaty
Perkunas, który pana znał małego,
I z miłości mu, a nie dla zapłaty
Służył, choć nosił imię dawnych bogów,
Kucharzem teraz był... i u trójnogów

Wieszał – ach! nie już dla Znicza kadzidło,
Lecz kawał sarny... już nie dawne runy
Śpiewał, lecz dyabła żmudzkiego straszyciło
Krzyżem odpędzał, gdy były pioruny,
Wybornie umiał wędzić gęsi skrzydło
I po tatarsku zawijać kołduny.
Król perski, który płacił złota minę
Za każdą nową rzecz... to za boćwinę

Dałby dwie. O boćwino! Hipokreno
Litewska! Ty, co utworzyłaś szkołę!
Waza twa zawsze wytryska Kameną,
Która ma oczki gazeli wesole,
A w ręku białym swym – ni piu ni meno,
W rączkach, które są zakasane, gołe,
Wieniec z barszczowych uszów! O nagrodę!
Że mi go kiedyś dasz... marzyłem młodo –

Lecz teraz tracę nadzieję. – Niestety!
Nie lża, jak mówi Kochanowski, próżno!
Próżno deptałem Parnasowe grzbiety,
I miałem nieraz Dyanę usłużną –
Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,
Muza została mi rymami dłużną:
Z tego więc poszło, że pisałem prozą,
Odejmną – mówi Tygodnik – o zgrozo!

Odejmną!... czy od Tygodnika? Boże!
Kto tam odejmie co, ten będzie mądry.

Tybyś nie odjął sam nic, Pitagorze!
Z twoją tabliczką w rękę — —

.
.
.
.

Po kropkach piszę dalej. Wiatr był chłodny
I ogień palił się wesoło z trzaskiem;
Beniowski — nie był to charakter modny,
Co się księżycy tylko karmi blaskiem —
Przypomnił sobie właśnie, że był głodny...
Więc jak astronom gwiazdy wynalazkiem,
Albo poeta ucieszony nowym
Rymem, nieznanym i błyskawicowym,

Albo dewotka, gdy grzech jaki stary
Przypomni sobie przed samą spowiedzią,
Albo jak trafne litewskie ogary,
Gdy wpadną razem na łapę niedźwiedzią;
Albo... lecz sposób ten porównań stary
Krasickim trąci i złoconą miedzią.
Więc prosto bez gawędy i odwleczeń,
Beniowski ludzi ujrzawszy i pieczeń,

Zsiadł z konia... Teraz, kiedy go prowadzą
Tak materyalne gusta, moja Muza
Opuszcza, z całą swą harfiarki władzą.
Chociaż tam złota leży kukuruza,
Choć kapuściane tam kociołki kadzą,
Choć nerka, nakształt czerwienego tuza
Leży i w maśle na patelni warczy,
Jak serce wroga na Odyna tarczy —

Choć piękny ten las, gdzie o piersi dębów
Ogień czerwony swoje skrzydła łamie,
Chociaż Perkunas ma nakształt trójzębów
Widelec w rękę i Neptuna ramie,
Które do czarnych dymu wchodzi kłębów,
Jak ów wąż, co chce Danta chwycić w bramie
Dytejskiej i w żar łeb żelazny kładzie...
Choć uczył prostszej nie było w Helladzie,

Wolę porzucić dym, płomień, pieczywo,
Rycerza, moją szlachtę – a sam w stepy
Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,
Jak Ariost, nie jak Homer idę ślepy.
Ta różnaitość może być pokrzywą
I pieśń na różne podzieliwszy szczepy,
Może do końca nie trafić i ładu;
Lecz różnaitym będę – dla przykładu.

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędko,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć, zauglić ją tęsknotą;
Potem z niej lyskać błyskawicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą;
Potem nadętą dawnych przodków puchą,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa.

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał: on to by zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszcy, ubrany w dawny rym królewski,
Mową, którą sam przed wiekami umiał.
Potemby, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej – w grobie.

Więc nie mieszajcie mi się tu harfiarze,
Którym dziś klaska tłum! precz! mowo smętna,
Co myślom własne odejmujesz twarze,
Dając im ciągłą łzę, lub ciągłe tętna;
Wolałbym słuchać morza na wiszarze
Jakiej opoki, co wieków pamiętna,

W szumie, jakoby nie w skończonym rymie,
Odrzuca falom jedno – wielkie imię.

Niż – moja Muzo, stój! Od imion własnych
Wara! z tej strony zrobiłabyś cmentarz,
Coś nakształt Danta tercetów niejasnych,
Do których trzeba dodawać komentarz.
Krytykę Dońców i Sławian przekrasnych
Zostawmy drugim. Lepiej ją spamiętasz,
Gdy ich, jak złota strzała Meleagra,
Przeszyje pióro pana Michała Gra...

Ej ty na szybkim koniu!... Dalej wiecie,
Wieszcz wielki sobie zapytanie czyni;
A drugi mu wieszcz w przyległym powiecie
Odparł: Skąd, powiedz, wracają Litwini?
That is the question! Tu pytanie trzecie;
Komu ty jedziesz? jak mówią Żmudzini,
Które ja czynię, naśladowując metra
Galop w połowie pierwszej heksametra.

Komu ty jedziesz? Jadę księżycowi,
Aby się w konia przeglądał kopytach,
Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,
Dziewannom, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny, jasny w skrzydła łowi,
I leci za mną, jak sen po błękitach,
Na koniu stojąc rycerskim jak sława,
I goni mię w kurhany – mówi Sawa.

Tak mówiąc, leciał. A zaś Nimfa ładna
Złożyła złote skrzydełka powoli,
Potem usiadła, ale taka zradna,
Jak wrona, kiedy z wieśniakiem po roli
Chodzi, szykowna i do lotu składna;
Widać, że z chłopca drwi, a z psem swawoli.
Usiadłszy, włosy zrzuciwszy na łono,
Dwie nóżki w jedno włożyła strzemiono.

Kozak ustąpił i nie mówiąc słowa,
Pędził do swego stepowego domu:
Była to grotta podziemna, stepowa,
Mało widziana i wiadoma komu.

Koń się w niej mieści i trzoda się chowa,
Kiedy po niebie leją węże gromu.
Tam młody Sawa żył pośród burzanów,
Z nim koń, pies wierny i kilka baranów.

Pies pod niebytność pana był pastuchem,
Wyganiał trzodę i wilki zagryzał,
Straszny pies czarny z obszarpanem uchem,
Gdzie krew zawrzała, jakby kto poniział
Korale – szyja obtarta łańcuchem;
Bo pies swojego pana tylko liział,
Gości zaś zębem przerażał i biłkiem,
Sądząc się w pana pałacu marszałkiem.

Sawa, wracając raz z nad Styru dolin,
Jeździł albowiem nieraz w ziemię Łucką
Z atentacyami do jednej z podstolin,
Wracając... patrzy, pies z mordą kałmucką
Siedzi przed samą grotą, jak Ugolin
Smutny, nad czaszką ogryzioną ludzką,
I oblizuje się po krwawych chrapach,
Jako egipski bóg – na tylnych łapach.

Lecz czy ta czaszka zjedzonego trupa
Chodziła kiedy nogami szlachcica?
Czy była czaszką Rugieri biskupa?
Nie mogąc się od psa, ni od martwica
Dowiedzieć, przykuł brytana do słupa.
A pies zapatrzył się w oczy księżycy,
Nie jęczał, nie gryzł żelaza, nie skakał;
Ale zapatrzył się w księżyc – i płakał.

Kto widział w Rzymie posąg niewolnika
Germana, który w smutku cicho stoi,
Wie, co twarz, choćby zwierzęca i dzika,
Zawiera bolu, gdy się uspokoji,
I kraj przeszłości myślami odmyka,
I o wolności kiedyś dawnej roi...
Wie, co czuł Sawa, gdy na łańcuch schwytan,
Nie wyrzucał mu nic – mileżący brytan.

Więc go pottrzymał tak, potem zmiękczony
Na wolność puścił znów antropofaga.

Lecz odtąd pies był dziwnie zamyślony,
I smutku wielka w nim była powaga.
Czy to dla tego, że był nakarmiony
Amerykańskim zwyczajem Osaga?
I czuł dziwną czczość, zjadłszy w parowie
Poetę może – z poematem w głowie?

Nie wiem i wolę nie dochodzić wcale.
Więc do powieści. Sawa wszedł do jamy.
Słońce wschodzące przez burzanów fale
Lało się w grootę ognistymi błamy,
Barany białe leżały na skale,
Nad grotą. – Obraz ten oprawić w ramy! –
Za Sawą wszedł koń w jamę wyłaczaną
Słońcem i poszedł do żłobu, po siano.

Za Sawą weszło dziewczę z gołębiani,
Pies lasił, koń rżał, gołębie gruchały,
Brylantowemi jedno źródło skrami
Padało z tętnem, lejąc się ze skały.
Idylę moją pies cokolwiek plami
Przeszłością; ale któż jest doskonały?
Pies więc i grotą, koń, gołębie, trzoda,
Spokojnie słońce wschodzi, mruczy woda.

Sawa na siodle oparł się; dziewczyna
Siadła przy źródle i czesała włosy.
A do niej Sawa: „Oj moja Swentyna!
Latasz po stepie, jak cygańczyk bosi,
A czerwieniejesz teraz, jak kalina.
Oj będzie lycho! Toż to moje losy!
Chciał ja się mieczem wyrąbać na panka,
A siostra wyjdzie na lycho – Cyganka!“

„Na lycho wyjdę, czy na spokojnicę,
„A tobie to co? ty wyjdź na hetmana!
„Znajdź sobie jaką piękną krasawicę,
„Córkę starosty, albo kasztelana,
„Taj się żeń. Ja ci ubiorę w brusznicę
„Korowaj, sama pójdę w step Bojana,
„Gdzie mi śpiewają kwiaty i żórawie,
„A spać nie będę na wproszonej ławie.

„Mnie świat szeroki! Jak złotego gila
„Przedała kiedyś Włochom Guślarycha,
„Ty na kurhanie dumał Czaromyła,
„Gdzie tobie dumy piała Janczarycha.
„A mnie Włoch bił! bił! Oj! Iza mi rozchyła
„Palce, gdy myślę, jak ja była licha!
„Jaka ja biedna była niewolnica!
„A dziś co ze mnie? wiatr! i gołębica!

„Nie łaj mnie, ale na stepy wyprowadź,
„Pocałuj, zapłacz, świśnij, taj polecę!
„Gołębie moje umieją tańcować,
„Na chleb zarobią, na cerkiewne świece.
„Będzie mnie za co ubrać i pochować.
„Albo ja martwa pójdę wplaw po rzece,
„A gdzieś Rusalki srebrne wezmą sobie
„I pochowają w śpiewającym grobie.

„Taj będzie koniec z żalną Swentyną!
„Oj! nalatała się ja po kurhanach!
„Oj! nakarmiła się gorzką kaliną!
„Jak jemiołuszka! Była ja przy panach!
„I była między chłopami caryną!
„A wszystko smutno! Chodzę jak w kajdanach,
„Ni ojca, ani matki na tym świecie!
„Groszów zebrała co? taj wiatr rozmiecie!”

Sawa jak szatan zmarszczył się: „Poganko!
„A co! straciłaś już twój srebrny wianek?
„Przydybał ciebie ja, moja kraszanko!
„Przy tobie jakiś złoty marcypanek,
„Szlachcic. Co robisz ty z nim? mów, cyganko!
„Co ty robiła z nim przez cały ranek?
„Cóż? oszukana, ha? kwiatku kaliny,
„A kiedyż prosisz na ślub i na chrzciny?”

Nie rzekła na to nic; lecz zamyślona
Wstała, cmoknęła i ptaki srebrnymi
Ubrawszy swoje wysmukłe ramiona,
Pokłoniła się bratu aż do ziemi;
I chwilę stojąc przed nim pokłoniona,
Jak brzoza listki wiejąca złotymi,

Wstała i nogą jakiś zygzak chiński
Kreśląc na piasku, rzekła: „Słysz, Caliński!

„Pomiędzy nami stoją te hramoty!
„Aż przyjdzie rzeka i ten piasek zmyje,
„Aż przyjdzie zjeść ten piasek piorun złoty,
„Aż przyjdzie wąż skrzydlaty i wypije:
„Ani mnie ujrzyć! Ani ja wiem, kto ty?
„Ani ty wiedzieć będziesz, gdzie ja żyję?
„Łzami kupiła ja ten świat podniebny,
„I komu zechcę, dam pierścionek srebrny.“

Tu Sawa wściekły wrzasnął: „Ty wyrodna!
„Z pierwszym szlachcicem cyganisz na jarze!“

Na to jak róża, która nie jest do dna
Białą, lecz w liści kryształowej czarze
Kryje rumieniec, a kiedy swobodna,
Słońcu odemknie łono i pokaże
Swój rubinowy wstyd i tę konieczną
Białego kwiatu rumianość serdeczną,

Podobnie wtenczas się zarumieniła,
I ręką bijąc powietrze przed sobą:
„Nie! nie! ja nigdy!“ Białą twarz zakryła,
„Pierwszy raz jestem sploniona przed tobą;
„Teraz się będę zawsze czerwieniła
„Przed każdym okiem, przed każdą osobą.
„Bogdajbyś ty tak, gdy się będziesz żenił,
„Pierwszy raz twoją miłą zacerwienił!

„Gdy dawniej w rękach i na linie Włocha
„Gięłam się jak wąż, cóż robiły pany,
„Aby mnie słowem zcerwienić choć trochę!
„A byłam jako kwiatek ołowiany.
„Nie czerwieni się serce, aż zakocha;
„Nie zawsze błąd jest, kto nie kochany.
„Bądź zdrów, nie będę nadaremnie szlochać,
„Jeśli, jak mówisz, kocham? – lecę kochać!

„A gdy się dowiesz, że w kurhanie leżę,
„O! przyjdź na kurhan mój z psem i sokołem!
„Położ się chwilę na darniny świeże;

„Niech sokół czarnem krzyż obleci kołem.
„Ja także jestem jak polscy rycerze,
„A ksiądz mnie posłem nazywa, aniołem;
„Ja listy noszę, ja zapalam słupy,
„Ja zbieram, grzebię i obmywam trupy.

„A któż przypomni o mnie, kiedy zginę?
„Jeśli ty mówisz, że miłość tak trudno
„Zyskać, kto w grobie położy Swentynę?
„Kto różę na nim posadzi odludną?
„Kto złoży na krzyż moje ręce sine?
„O! jak tam w grobie niekochanym nudno
„Spać na kamieniu!“ – Tak mówiła śpiewna
Ta czarodziejska, stepowa królowna.

Sawie zabrakło na odpowiedź czasu...
Wybiegł na stepy, nad swój dom gliniany;
A za nim Nimfa mojego Parnasu,
Jako duch ze mgły na słońcu różany.
Stanęli. Burzan podobny do lasu
Purpurowymi podpływał bałwany,
By morze blaskiem piorunów rozbite.
W burzanie wojska brzęczały ukryte.

Czasem chorągiew wybiegła nad morze,
Jak maszt laciński u rybackiej łodzi;
Czasem ujrzałeś, że koń piersią porze
Trawy i z trawy jak Delfin wychodzi.
Lecz cały na wiatr wyskoczyć nie może,
Jak posąg, co się u snycerza rodzi,
I cały w głazie osadzony zadem,
Po piersi koniem jest, a po pas gadem.

I tak się wojsko przez burzany prućło,
Jak prąd ogromny sumów lub łososi;
I tak się jako wąż żelazny snuło,
Co czasem ogon, czasem łeb podnosi.
Ale się pieśni narzędzie popsuło!
O wypoczynek moja Muza prosi;
Ambrozji słodkiej już zabrakło w krużu.
A więc żegnajcie! na stepowym wzgórzcu

Moje posągi dwa od słońca złote!
Me szyki w trawach tonące i ziołach!
Tu Malczewskiego trzeba mieć tęsknotę,
Tęsknotę, co jest w ludziach pół aniołach;
Tu trzeba śpiewać, a ja baśni plotę,
Bo kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,
A potem ręce znów na harfie kładnę,
Wstają mi z grobu mary – takie ładne!

Takie przejrzyste! świeże! żywe! młode!
Że po nich płakać nie umiałbym szczerze;
Lecz z niemi taniec po dolinach wiodę,
A każda, co chce, z mego serca bierze:
Sonet, tragedią, legendę lub odę,
To wszystko, co mam, co kocham, w co wierzę.
W co wierzę... Tu mię spytasz, czytelniku:
W co?... Jeśli powiem... będzie wiele krzyku.

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny!
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, zczzerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawemi oczyma!

Kto Cię nie widział nigdy, Wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywym,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym...
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze:
Mogily głosem wołają straszliwym;
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie.

Kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu
Na wielkim stepie albo na Gulgocie;
Ani wśród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś – ani rwąc stokrocie,

Znalazł w stokrociach i niezapominkach:
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach –

Znajdzie... ja sędzę, że znajdzie... i życzę
Ludziom małego serca: kornej wiary,
Spokojnej śmierci... Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę kości, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety
Leżą... i świadczą o Bogu... szkielety;

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem, i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kielza...
On piórem z ognia jest dumnych szyszków...
Wielki czyn często Go ubłaga, nie łąza
Próżno stracona przed kościoła progiem,
Przed Nim upada na twarz – On jest Bogiem!

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?
Ja go chcę jeszcze – w głowę tnę piorunem,
Tak, jakem wczoraj go w piersi uderzył.
Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta... Lud, co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wie, że m skinął ja – i wieszczą wskrzesił.

Jam zwolna serca mego rwał kawały,
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał;
A wszystkie tak grzmiały jeszcze jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
Boga, a teraz kawałki spadały –
Jam zbił, lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięstwo –
Ludzie nie widzą we mnie... tylko męstwo.

Zaprawdę!... Gdybyś mię widział, narodzie,
Jak ja samotny byłem i ponury,

Wiedząc, że jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury.
Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wolałem ręką Krzemienieckiej góry,
Ażeby weszła rozpedzić tę ciemną
Zgraję... i stanąć za mną... lub podemną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych;
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne –
Ja, co mam także kraj, łąk pełen kwiatnych:

.
.

Jeśli wy bez serc! Wy! – To moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.
Ikwo! Płyni przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
Gadają. – Tyś zmusiła Niemen stary
Wyznać, żem wielki, że w sławę płyniemy –
Lecz rzekł: „Niech idzie tam, gdzie my idziemy.“

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świeci, gdzie, portowa wieża?
Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną Papieża
Piorunem myśli podniesione ślecie...
Gnacie?... Znam wasze myśli i wybrzeża!
Nie pójdę z wami waszą drogą kłamną –
Pójdę gdzieindziej!... i lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał;
Kiedy kłąć zechce... przezemnie kłąć będzie;
Gdy zechce płonąć... ja będę rozgrzewał,
Ja go powiodę gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał.

Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Ha! ha! odkryłeś mi się, mój rycerzu?
Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!
Naprzód ci słońce pokażę w puklerzu.
Przed słońcem ciebie z trwogi wypowiadam,
Falsz ci pokażę w ostatnim pacierzu,
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam!
Patrząc na twoją twarz zieloną w nocy,
Jak księżyc – słońca wyrzekłeś się mocy?

Jam ci powiedział, że jak bóg litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
A w ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.
Tak mówiąc... ja syn pieśni! syn królewski!
Padłem. – A tyś już następował zbliska!
I nogą twoją jak na trupie stawał?
Wstałem... jam tylko strach i śmierć udawał!

Znajdziesz mię zawsze przed twojem obliczem,
Nie powalonym, hardym i strasliwym...
Nie jestem tobą... ty nie jesteś zniczem.
Lecz choćbyś bogiem był... ja jestem żywym!
Gotów wężowym bałwan smagać biczem,
Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym.
Kocham lud więcej niż umarłych kości...
Kocham... lecz jestem bez łez, bez litości

Dla zwyciężonych... Taka moja zbroja,
I takie moich myśli czarnoksiężstwo;
Choć mi się oprzesz dzisiaj? – przyszłość moja!
I moje będzie za grobem zwycięstwo!...
Legnie przedemną twych poetów Troja,
Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo.
Bóg mi obronę przyszłości poruczył: –
Zabiję – trupa twego będę włóczył!

A sąd zostawię wiekom... Bądź zdrów, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny boże.

Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu,
I pokazałem, że na twojej korze
Pęknięcie serca znać... a w liści dreszczu
Widać, że ci coś próchno duszy porze...
Bądź zdrow!—A tak się żegnają—nie wrogі,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych—bogi.

1841.





W. PAWLISZAK.

BENIOWSKI.

PIEŚŃ VI-ta.



I.

Widzieliście Pana Sawę
Pośród Stepów ze Swentyną..
Burzanami szyki płyną
Jak brąz czarne, słońcem krwawe,
I proporce wieją złote
I czerwone z Archaniołem..
Przyjechali po przed grotę,
Wyszli z tłumu dwaj lirnicy,
Uderzyli Sawie czołem,
Uśmiechnęli do dziewicy...

— „Bóg nam ciebie bohatera
Niechaj chowa po wsze czasy!
Przysłał tobie pan Kozyra,
Hetman Siczy... pułk kozacki,

Szczob ty z Rusią szedł w zapasy,
Hulał jak syn hajdamacki...“

.....
.....

II.

Przybył więc Sawie gdzieś z po nad Limanów,
Kureń kozacki, i wnet się przed grota
Rozłożył; sotkę zawiesił saganów.
Ogień zapłonął piramidą złotą.
Tysiąc spis, tysiąc szabel, jataganów,
Łyska na słońcu; lecz jakąś tęsknotą
Zafarbowane niebiosa nad niemi,
I także jakaś tęsknota na ziemi.

Lirnicy siedli na wyższym kamieniu,
Bajda i Znachor—lecz nie dzwonią w liry;
Konie się włóczą i szukają cieniu,
Wysokich orłów dolatują skwiry.
Swentyna stoi przy jednym płomieniu,
Rzęsami oczu nakryła szafiry—
Duma... jak kwiaty wpół zwiędłe jesienne;
Na jej ramionach dwa gołębie senne.

Wszystko ponure; choć blizka wyprawa,
Choć pójda bić się—snią, nie wiedzą sami
O czem... Na szabli oparty pan Sawa
Rozmawia cicho, ważnie—ze starcami.
„Gdzież nas powiedziesz?—mówią—to rzecz krwawa
Bić się z naszymi braćmi rzeźniami!
Co za nagroda? co za przyszłość nasza?
Wiszniowieckiego pomnij Jeremiasza!

„Oj! ta mogiła kiedyś się otworzy,
Gdzie zasnął stary kat, i miecz wykinie;
Na naszych głowach ten się miecz położy
I naszą znowu krwią gorącą spłynie.
Gdy wychodziły pułki, to na zorzy
Cztery świeciły słońca w Ukrainie
Pozadnieprzańskiej!—wojna będzie krwawa,
A tobie w głowie co?—grób, czy buława?

„Jeśli mogła... to dobrze!—pójdziemy,
Z janczarek hukniem Lachom i z moździerz;
My chcemy ginać z tobą – i bić chcemy,
Każdemu serce w pałaszu uderzy!
Mieczami tobie kurhan wykopiemy,
Jeśli chcesz spać, jak wódz, co we krwi leży.
Lecz może lepiej krwawej czekać doby,
A tobie przyjdzie kłaść... na ziemi groby.

„Z mohyły na mohylu, taj zalecisz
Aż na hetmaństwo!—Ej, podumaj Sawa,
Komu ty szablą pod okiem zaświecisz,
Ten na trybunał nie pójdzie do prawa;
Rozkaż—a pożar ty taki zaniecisz,
Że go zobaczy z okien aż Warszawa!
Stepowy ty król!“ Tutaj na kolano
Klęknął, i z ognia dobywszy polano,

Podał je Sawie; gdy z żarzącej głowni
Szły iskry, mruknął: „Weź, niech Lachy gina
Słyszac, jak byli kozacy wymowni,
Sawa z samotną poszeptał Swentyną;
Ta szła do grotty zaraz, i z lodowni,
W której Calińskich było stare wino,
Dawny zabytek szlacheckiego mienia,
Dostała spoić czem głowy Kurenia—

To jest poetów i starszyznę. Potem
Poszła osiodłać rumaka Sawynie.
Grzywę mu białą przeplatała złotem
Oraz kwiatkami, co na eglantynie
Kwitną.—Pod żadnym Araba namiotem
Żaden koń taką lotnością nie sływie,
Jak ów koń srebrny Sawy, koń jedyny,
Zmyślny jak człowiek, drugi brat Swentyny.

Z grzywy mu polne róże pełne rosy
Spadają, parska jak płomień czerwono;
Zna różne dźwięki i rozumie głosy,
Wie, kiedy głowę spuścić zamyśloną.
Teraz wargami wziął Swentyny włosy

I niby gryzie, lecz gryzienie ono
W kolory usta ubrało dziewicze
I przeszedł przez nią dreszcz. Są tajemnicze

Błyski, szmery krwi, nieznane szelesty
W głębi dziewiczych ciał, i te się budzą
Bóg wie jak—są to anielskie incesty
Dusz bratnich.—Ale rymy znów marudzą
I znów się ze strof tych robią Oresty
Szalone z włosem rozczochranym, z cudzą
Krwią na obliczu, znów jestem gotowy...
Lecz wróćmy lepiej nad kureń stepowy.

Potem na konia wskoczył Sawa rzesko,
Rycerskie bardzo zamyślając czyny...
A był pod nieba otchłanią niebieską
Jako archanioł Michał, Ukrainy
Patron—choć młody—z powagą królewską
Przemówił do tej kozackiej starszyny
Tak dobrze, że miał echo w setnych głosach
I widział w szablach step—jak w złotych kłosach...

.

PIEŚŃ VII-ma.

.....

Nie wy, Cheruby, co miecze z luczyna
Macie, z papieru złotego przyłbice,
Których nie Pan Bóg, lecz człowiek używa,
I wami sławy wysokiej kaplice
Oszyldwachuje... przed tym, co się wrywa
Jak wiatr, i w oczach niesie błyskawice,
Nie wy, brytany, wejście mi bronicie!
Ja jestem gwiazdą życia—co o świecie

Skąpana w krwawej jutrzence wychodzi
Różana—a dzień będzie wtenczas biały,
Gdy ja zagasnę.—Duch w cierpieniach rodzi
I w gniewie—ale w gniewie tak wspaniały,
Jako Bóg chmurny, gdy piorunem godzi
W najwyższe czoła alpejskie i skały.
Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie
I śnić to, o czym śnię—niech przy mnie stanie!

Na tych wyżynach ducha jest ponura
Dla serc stroskanych cisza; tu ja czerpię
Ogień i maczam w ogniu orle pióra;
Tu na księżycu rumianego sierpie
Piękności dawnych nieśmiertelna córka
Rozwidnia oczy me, a kiedy cierpię,
Przeszłości dawnej cień na szczycie skalnym
Stawia i czyni przedemną widzialnym.



Tak widzieliście próchnem wysrebrzone
Dębów umarłych wnętrza – i kaplice,
Rumaki białe w polach wystrzelone –
Kozaków – księży – szlachtę i dziewice.
Ariost by patrzył sam na te szalone
Miłostki, boje, szturmy, nawałnice,
Rycerzy przy kielichu i w podróży,
Którym za cały czar – fantazyja służy.

Zaczarowanych palm tu nie ma wcale;
Dęby i sosny i brzozy rodzime
Odbite w stawów podolskich kryształe
Reprezentują mi nową Solimę.
Z krzyżami złotych miast i wież nie walę,
Dla prawdy nagiej wielką mam estymę,
Do rymu nigdy sensu nie naginam,
Nie tworzę prawie nic, lecz przypominam.

Więc Mnemozyno, pomóż... niech przypomnę,
Gdzie mój bohater został? – Rzecz nielada!
Człowiek, co takie podróże ogromne
Odbył, ten musi jeździć jak ballada

Na upiornym koniu: siodło skromne,
Dwie kości na krzyż, a tam gdzie się siada,
Mała czaszeczka ludzka, co wyszczerza
Oczy błyszczące, jak żar, z pod rycerza.

Siodła dziś takie w modzie, oraz z czaszek
Robione w modzie są dzisiaj puhary;
Ja sam się złowić raz dałem jak ptaszek
I piłem z trupiej głowy tokaj stary;
O czym tak wiele już było baraszek,
Że... dalej, pani Muzo—okulary
Tęczowe włóż mi na nos; niech wypatrzę
Znów bohatera mego na teatrze

Wypadków.—Szekspir mówi, że to życie
Scenicznym bardzo jest podobne zmianom;
Bóg, jako wielki widz, siedzi w błękitcie;
Suflerstwo dawnym zostawił kurhanom.
Mimo to jednak jest bardzo obficie
Złych dram... a pierwsze role, dane panom,
Najgorsze!—smętną uderzeni stałą,
Bez żadnej rzymskiej gracyi z nóg się wałą.

I gdyby u nóg kochanek, wpatrzeni
W oczy błękitne albo w czarne oczy,
Rzucali duszę swą pełną płomieni
Z harfy westchnieniem.— Lecz nie... czerw ich toczy!
Śmierć ich zastaje w szambelańskiej sieni
W zielonym fraku!... czasem ich przeskoczy
W biegu tańcząca królowa szkieletów,
Takie zrobili niskie progi z grzbietów!

Ale czas wrócić już i do porządku
Przywołać rymy, chodzące samopas;
Poemat mój szedł tak dobrze z początku,
Kiedy był głodny—teraz, kiedy popas
Zdaje się, że mu znów zabrakło wątku.
Każda z tych moich strof jak bładny topaz
Oszlifowany w różne kostki rymu...
Lecz muszę z panem Beniowskim do Krymu.

Gdzieżem zostawił go?—Tak! przy księżycu
Ujrzał rycerzy błędnych koczowisko;

Zbroja błyszcząca na jednym szlachcicu –
Zbyt rzadkie na ten już wiek widowisko.
Beniowski z miłym uśmiechem na licu,
Widząc, że kuchnia była bardzo blisko,
Zsiadł z konia i rzekł: – Czy wolno zapytać
Kogo mam honor i przyjemność witać?

Na to pancernik gruby, lecz ostrożny
Jak Litwin: A Wać kto sam, Mości Panie?
– Jestem Beniowski, rzekł, patrząc na różny
Rycerz. – Tu drugi rozpoczął śpiewanie
Opowiadając, że się zwie Wielmożny
Borejsza, że ma wielkie zachowanie
U Radziwiłła i wieś do przeżycia
I bardzo grzmiącą w Litwie sławę – z picia.

Dodał, że posłem jest, do Krymu jedzie
Zaprosić Khana w całe sto tysięcy
Tatarów, wrzкомо tylko na niedźwiedzie,
Tylko na białe niedźwiedzie, nic więcej
W tym sensie książę Karol po obiedzie
Ręki swej własnej mordując książęcej,
Napisał list do Khana, w najdziwniejsze
Esy... i z listem wyprawił Borejszę.

Przydał mu także Tatara z pod Waki,
Syna jednego Mułły, na tłumacza.
Są to oddawna zagnieżdżone ptaki
W Litwie: lud prosty, lecz jeszcze oracza
Pozłota wschodnia trzyma się – i znaki,
Które na twarzach rycerstwo wytłacza,
Widome dotąd z wieśniaczego lica
Błysną, jak krzywych mieczów błyskawica.

Gdy ostrzy kosę taki Tatar stary,
To nieraz stanie i w dźwięk się zastucha;
Sosny mu wtenczas szumią, jak sztandary,
A chmury w oczach, jakby skrzydłem ducha
Mahometańskich wojsk pędzone mary,
Idą na północ; a gdy kosa krucha,
Oselką tarta, na puszcę zabrzączy –
Allah! il Allah! z puszczy, jak echo jęczy.



W Tatarze wtenczas jak w ognistym ptaku
Pałą się oczy – stepy przypomina
I słone jakieś jeziora Kipczaku,
O których tylko wieść z ojca do syna
Przeszła po mglistym i tęczowym szlaku,
Który nad głową ludu już zaczyna
Gasnąć i zorzę zdejmować różaną –
Aż w ciemnej nocy – bez pamiętek wstana.

To wtenczas próżno już śród mogił pola
Głupim poetom budzić lutnię smętną;
Zostawić lepiej ją skrzydłom Eola,
Nieprzewidziane z niej dobędzie tętno;
Lub skowronkowa ją przyszłości rola
Zaśpiewa pieśnią dziwną, nienamiętną
I tak spokojną, jak wiośniane szmery,
I tak wysoką, jak grające sfery.

Taką pieśń dziwnej do smutku podniety
Śpiewają czarny modrzew z czarnym cisem,
Tuląc skrzydłami wygnańce. Meczety
I groby z dawnym koranu napisem,
Kamienie z ziemi tak podniosły grzbiety,
Jakby wstawaly na sąd przed Eblisem,
Wszystkie na słońce obrócone wschodnie,
O wschodzie błyszczą z trawy, jak pochodnie.

W powietrzu smętny półksiężyc blaszany
Do nieba zda się wznosić srebrne ręce,
Za grobowcami prosząc, co z pod ściany
Meczetu, jako pochodnie jarzące
Palą się ogniem do Pana nad Pany,
O jego życiu i ranach i męce
I o tem, jako z ludzi był najkrwawszy,
Pierwszy raz głucho w ziemi usłyszawszy.

Każda tych liter nieznanomych zgłoska
Zda się w ten kamień coraz głębiej wrywać.
Jeśli to prawda, Rodzicielko Boska,
Że umiem serca zranione odkrywać:
Ty na ten księżyc, który się tak troska
O groby swoje, musisz przylatywać
I w ogniu zorzy, jak róża Jerycho,
Na tym meczecie smętnym kwitnąć cicho

Z twarzą do nieba wzniesioną, śród lasu,
Nad muzułmańskim cmentarzem ty stoisz
I słuchasz sosen smętnego hałasu,
A złotą z twych rąk rosą kwiaty poisz,
Aż groby życia płaczące i czasu
Ty spokojnością swoją uspokoisz,
Jak smutny obóz kamiennych namiotów,
Ten smutny cmentarz bez bram i bez plotów.

Przy jednym z takich cmentarzy syn mully,
Pan Abdulewicz Hamet się wychował.
Potem go ojciec dał, by pańskie stoły
Nakrywał, pańskie kolana całował.
Młodzieniec wyszedł z Radziwiłła szkoły
Jak flet przedęty; dzikie serce schował
Głęboko w piersi przed szlacheckim gminem;
Piers – Radziwiłła nakrył karmazynem.

I myślał, że już jako kuropatwa,
Gdy głowę w śniegu pochowa i oczy,
Myśli, że już ją pies ani też dziatwa,
Idąc z podjazdem, nie dojrzy, przeskoczy;
Tymczasem w śniegu skryć się rzecz niełatwa,
Ani też rybce w lodowej przezroczy

Znaleźć schronienie przed rybaka ością,
Ni wśród pijaków ukryć się — z miłością.

Łatwiej wulkanom wybuchnąć na morzu
I znowu cicho stać pod falną skałą;
Łatwiej kwitnącym różom na bezdrożu
Niebiosom liście i woń oddać całą,
Niżli na pańskim pijackim przydworzu
Przed ludźmi miłość jasną i nieśmiałą
Ukryć! Tem bardziej tę strofę zaostrzę,
Mówiąc, że w księcia się zakochał siostrze...

.....

O! ileż razy, ognisty proroku
Boga, wśród twoich wielbłądów kłęzących,
Z księżycem srebrnym w rozgorzałem oku,
Musiałeś dumać tak, gdy z fal gorących
Wychodził krwawy par nakształt obłoku
I szedł po stepie... Królu konających,
Wiara twa odlatuje i zostawi
Hymn taki smutny, jak echo zórawi!

Wkrótce Słowianin z twoich wież postrąca
Śpiewaki, Boga śpiewające imię;
Z wież twoich zrzuci białe półmiesiące,
Na piersiach twoich odalisk zdrzémie.
Na falach twoich twoja flota drżąca
Stoi, jak wojsko upiorów olbrzymie;
Chciałaby zakryć twoje piersi całe
Spróchniałym żaglem — królestwo spróchniałe.

Próżno — o próżno! rany tajemnicze
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało;
Twoje mi śmiercią już blade oblicze
Umarłych moich ojców przypomniało
I tę godzinę, gdy byli pod biczem
Dani, jak Chrystus... i gdy w nich konało
Serce... i gorszą jeszcze, niż skonanie,
Tę — gdy przestali wierzyć w zmartwychwstanie.

Przez podobieństwo śmierci, przez tę ciszę,
Co się nad tobą teraz rozpostarła,

Zabłądzonemu w twoich palm zaciszę
Serceś mi wzięła, moje lzy wydarła!
Meczetów twoich płacz wieczorny słyszę,
I po tym śpiewie wiem, żeś nie umarła,
Ani się podłem ulęknieniem spodlisz,
Bo patrzysz w słońce i o śmierć się modlisz!

Niech ci zgon będzie słodki – a w pustyni
Pod namiotami kiedyś Arab stary
Powieścią swoją wielki płacz uczyni,
Twe księżycowe śpiewając sztandary,
Gdy z wiatrem nieśli je Salahedyni
Przeciwko złotym krzyżom innej wiary.
Araby ogień obsiedą stepowy
I będą słuchać, smutne chyląc głowy;

Lub zapatrzeni w jasnych gwiazd orszaki,
Które od wieków nie zmieniły chodu
I są dla ludów rodzonych, jak znaki,
I takie same po zgonie narodu.
Tymczasem płorzą i płaczą
Palcami gasi olbrzymi król lodu –
I gaśnie państwo białego księżycy,
Jak w poemacie „Dziadów“ druga świeca.

Pieśń moja gaśnie także, z tej posepnej
Barwy nie mogąc wyjść na blaski świtu;
Smutek ma w sobie tyle siły wstępnej,
Że coraz wyżej w krainy błękitu
Prowadzi – a więc do pieśni następnej
Odsyłam wszystkich ciekawych pobytu
Ambasadorów moich wśród meczetów
I gór, co mają wszystkie kształt sonetów.

Więc tu, kochany czytelniku, chciej się
Zatrzymać nieco, odpocząć wraz ze mną.
Jeśli wesoly jesteś – z ludzi śmiej się;
Jeżeliś smutny, wiedz, że się daremno
Smucisz. Gotuj się być na Kikinejsie
I Czatyrdachu; w noc zupełnie ciemną
Samego z moją Muzą cię zostawię,
Jeśli przyrzeczysz, że... (żałuję prawie,

Żem wyrzekł) jeśli przyrzeczesz na cienie
Ojców, że... zresztą, jako chcesz: dość stara,
I panna!... zaraz mówi o hymenie,
Za gorsem kontrakt ma ślubny; Ikara
Złowiłaby za skrzydła i sumienie;
Zaraz się pyta, jaki twój ród, wiara,
Majątek... i wnet łączy się akordem;
Mówią, że już raz była za milordem.

Tak mówi „Dziennik Narodowy“; – przeczę!
Ostrzegam wszystkich was, że jest dziewicą!
Nawet zaręczam... Lecz oczyma pieczę,
A głowę nosi swą pod błyskawicą.
Dlatego, chociaż mnie przed ołtarz wlecze,
Wolę w ciemności żyć, niż z taką świecą
Usque ad mortem... kirielejson kirie!
Nie żonę mieć przy sobie – lecz Walkiryę.

PIEŚŃ VIII-ma.

Jak zajechali me ambasadorzy
Do Krymu, nie wiem; ale pan Borejsza
Mówił, że spotkał na stepie upiory,
Dropie, limany, a rzecz najdziwniejsza,
Z bodiaków wielkich i kolących bory,
Od których puszcza białowiejska mniejsza;
W tej puszczy wielkie skrzydlate połosy
I ludzie, którzy mają płaskie nosy.

Później to w Litwie o swojej podróży
Mówiąc, jak Ariost jaki nierymowy,
Mówił, jak okręt pośród wielkiej burzy
Płynąc podpierał i dopłynął zdrowy.
Jak spotkał rybę, co łeb miała kurzy,
A zresztą była kobietą prócz głowy,
A ogon wielki gdyby u Sylena –
Szlachta krzyknęła wnet, że to Syrena!



Na co Borejsza zgodził się – u stoła:
To było – wtenczas wszystko prawdą zda się;
Mówił, jak chciano go chmurą popiołu
Zduścić na wieży, a on się po pasie
Spuszczał, tnąc w górze ten pas, a u dołu
Sztukując; potem napomknął w nawiasie
I od niechcenia, że tej sztuki sztucznej
Przyczyną był – mąż jeden trzy-buńczuczny

I rogał; bowiem o jedną godzinę
Spóźnił się ze swą popiołową wieżą.
Tak mówiąc, wino połykał i ślinę,
Mrugał oczyma: Niechaj mnie uderzą
Pioruny, jeśli kłamię! – niechaj zginę!
Zakłęcia, którym dziś nie wszyscy wierzą...
Lecz w onym czasie dobre i bezpieczne
Śród ludzi, którym już dziś światło wieczne

Przyświeca. – Mówi wszakże pan Trentowski,
Że nie należy kłamać... ja tak sądzę;
I ten poemat drukując bez troski
O duszę moją, nigdy w nim nie błądzę;
Wszystko jest albo prawda, lub sen boski,
Przez odemknięte słoniowe wrzeciądze,
Jak mara z tęczy, z niebios wychodząca
O cichej porze, przy blasku miesiąca.

Zamykam oczy i widzę i piszę,
Co widzę. W jednym zrujnowanym khanie,
Przy którym smutna palma się kołysze,
I źródło szmerem swym radzi na spanie...
– Wszystko na wschodzie ma ogromną ciszę,
Wszystko ze światła złotego ubranie,
Mury ze złota zdają się, choć gliną
Są oblepione i grożą ruiną.

Na murach dziwne desenie lekkości
Przydają wieżom i ruinom wdzięku;
Wszystko się zdaje ze słoniowej kości,
Że od nimf było niesione na rękę
I postawione śród palm zieleności

Cudownie, wśród harf aniołowych dźwięku,
Jak ta w Lorecie Matki Boskiej skała,
Która na skrzydłach złotych przyleciała.

W khanie więc, który dawniej był moskitą,
Dziś khanem (tak się zwie karczma na wschodzie)
Pod jedną wielką framugą rozbitą,
Gdzie wierzchem niebo w słonecznej pogodzie,
Jak turkusowy szlak, albo koryto
Szkłane, zrobiony wodociągów wodzie,
Spokojnie płynie nad głową podróżnych;
Ambasadorzy w kształtach bardzo różnych

Ci leżą, inni siedzą – trzech ich było,
I czas spędzali swój nienajzabawniej;
Serce w nich troską, utrapieniem biło,
I chleb swój własny jedli najniestrawniej,
Polskę czuć było już wtenczas mogiłą,
Nie przyjmowano już posłów jak dawniej,
Lecz jak żebraka albo jak natręta.
Witały małe w ruinach ptaszęta:

Wróbel wesołem witał świergotaniem,
Może dlatego, że jadł kiedyś zboże
Polskie; jaskółka, że pod stalowaniem
Polskiem rodziła się przy jakim dworze;
Jeżeli zóraw – to z powinszowaniem
Przyleciał, spytać na cudzym ugorze
Posłów w podartym chodaku i szacie,
I smutnym śpiewem wrzasnął: – jak się macie!

.....

Nie budźcie, niech śpi! – Mówiłem więc w rymie,
Jak moje posły w starym siedzą khanie;
Borejsza w upał południowy drzémie.
Hamet się w ptaszków zasłuchał śpiewanie;
Beniowski wielkie zamiary, olbrzymie
Buduje w myśli: – dziś ma posłuchanie
U Khana Krymu, u Kierym Gireja;
Gotuje się więc z mową i zaczaja.

Przypomnił sobie wszystkie z retoryki
Figury: Khana chce podejść wymową –
Przypominając, wyszedł na brzeg dziki,
Gdzie słońce było mu nad samą głową.
Z dała szum morza i żórawiów krzyki
I Bakczysaraj z koroną palmową,
Z minaretowym lasem, stał pod górą,
Lekką gołębi migocących chmurą

Owiany. – Smutno! o smutno samemu
Na morskim brzegu, gdzie się fale kładą,
Śpiewając ciągły hymn nieśmiertelnemu,
Który pustynię roześwieca bladą
Gorącym słońcem! smutno tam jednemu
Z europejskich pamiątek gromadą
Śród gorącego pustyni kobierca
Błądzić z strzaskanem sercem, lub bez serca...

Jednak jest jakaś дума, co podnosi
Czoło północnych ludzi, gdy po świecie
Wicher nieszczęścia ich jak liście nosi –
Zniszczyć nie może. Pan Zbigniew był przecie
Kochany; wiedział, że ktoś Boga prosi
Za nim, że go wiatr pustyni nie zmiecie
Bez śladu, wzięwszy pod swych skrzydeł loty,
Jak zwiewa błędne w pustyni namioty.

Wiedział, że w Polsce ktoś pamiętać będzie,
Błądząc nad stawem, gdzie srebrna topola
Oslania groble; że zawsze i wszędzie
Dusze kochanków, jak harfy Eola
Albo pod niebem gdzieś, jak dwa łabędzie,
Latają razem, choć je smutna dola
Rozłącza tu na ziemi i rozgania;
Wiedział to, i te wszystkie porównania.

Pełny więc melancholii szedł po brzegu;
Wtem ujrzał dziwną rzecz i zbladł na twarzy
Patrząc... I mój rym także stanął w biegu,
A nim opiszę tę rzecz, słowa waży.
Niech mi żórawie zabrzmiały hymn noclegu,

Niech pełny księżyc krwawo się rozżarzy
I stanie jedną czerwoną pochodnią
Nad widzmy temi z piekła i tą zbrodnią!

Arabki dwie, w koszulach czarnych, z pod zastony
Patrzące na świat dziko i jaszczurczo,
Siedzą na ziemi, jak dwie czarne wrony
Albo jak żaby w ogniu, gdy się skurczą,
Śpiewają dziwnie i dziwnymi tony
Albo zakłęcia jakieś ciemne burczą,
I palą dzikie bladym ogniem zielska.
Pomiędzy niemi główeczka anielska.

Główeczka tylko leży, ale żywa;
Oczki błękitne w niej ciągle latają,
Czasem się z ziemi jak gołąbek zrywa,
Złote jej włoski już powietrze krają
Jak dwa skrzydela; ale rzecz straszliwa,
Złęknione złote piórka opadają,
Nie mogły podnieść z ziemi białej róży,
Która zasypia – i znów oczka mruży.

Anioł lub jakaś nieszczęsna istota
Leżała w mocy czarownicy zakłęta;
Rzuciły ciągle na nią garści błota,
Mogła z piasku, jak bąbel wydepta
Wstawała... z ogni piramida złota
Lub jak kręcony miecz, z płomieni kręta
Stała z ogromną powagą ogniową
Nad Arabkami dwiema i tą głową.

Pan Zbigniew dobył szabli – brzęk żelaza
Spłoszył dwa widma czarne, i z wybrzeża
Odlatywały żółte jak zaraza,
Jakby na skrzydłach czarnych nietoperza;
Na piasku żadna nie została zmaza,
Tylko ten ogień, jak piekielna wieża,
Tylko ta główka leżąca na ziemi
Z oczkiem niebieskiem i z koralowemi

Ustami... Oczki otworzyła, żywa
Na Beniowskiego głos; ten leciał z krzykiem

Jak rycerz, który do szańca się wrywa,
Wołając... polskim wołając językiem:
Stójcie! to zemsta jest jakaś straszliwa!
To pewnie jaki Basza z sercem dzikiem
Syrjczyk, lub Cyljczyk, lub Natolak!...
Na to krzyknęła główka: — Ach! Pan Polak?

Beniowski stanął i otworzył usta.
Gdyby weń piorun uderzył, nie więcej
Zląkły się; ale trwoga była pusta,
Poznał to zaraz rycerz najgoręcej
Zagrzany; wnet mu stanęła Prokusta
W myśli — Medea — Cyrce, jeszcze więcej
Kobiet z historii dawnej, starożytnej,
I na szabli się oparłszy błękitnej,

Rzekł: Polak jestem... tak, i Podolanin,
A ty kto, biedna? — Ja także z Podola,
Rzekła; targuje mnie teraz poganin,
W haremie ciężka czeka mnie niewola!

.....

Jestem szlachecką córką, dom nasz cały --
Może słyszałeś o Gruszczyńskich dworze?
Hajdamaki nas wdzień napadli biały,
Ojca nie było, my same w komorze
Kobiety, kiedy rznąli, my krzyczały,
Matkę i babkę i maleńkich — Boże!
Nie mogę o tem ja oświecić Pana,
Ja patrząc, byłam sparaliżowana.

.....

A jednak biedna lękam się ozdrowieć,
Udaję zawsze martwą i kamienną.
Oto jest cała moja, Panie, spowiedź.
W tem błocie skwarnem leżąc, jestem senną;
Od słońca tego lękam się osowieć,
Taką ma dla mnie straszną twarz płomienną,
A jeszcze gorzej, gdy noc, chociaż zdrowa,
Nie śpię

Stary turecki jakiś domek trupa
Na górach stoi z okrągłą kopułką,
Tam jest nademną nietoperzów kupa
I gniazda z ciągle piszczącą jaskółką;
Na drzewie także coś ciągle kołupa,
A okno jedno nad glinianą półką,
Gdzie mnie położą, a drzwi zawsze strzegą,
Świeci księżycem, jak twarz umarłego.

O Panie, ratuj mnie! choćby potrzeba
Samej się bronić, w noc uciekać ciemną...
Beniowski przerwał: niech ogniste nieba!
Wstawaj Acanna z ziemi i chodź ze mną,
Znajdziesz schronienie i kawałek chleba,
A ja przybyłem tutaj nie daremno,
Jeśli Bóg przez mię sierotę wspomaga...
Wstawaj! A ona rzekła: jestem naga. —

To rzekła cicho i głosem dzieciny;
A rzekłszy, cała się ogniem zażęgła,
I krew, jak jeden za drugim rubiny,
Po ustkach wstydem rozpalonych biegła;
Szyja się także stała u dziewczyny
Różaną — ale ziemia reszty strzegła,
Ziemia ognista, i nie pokazała,
Czy była cała różana, czy biała.

Beniowski także spłonął, potem zbiegał —
Widać, że szukał w głowie prędkiej rady;
Oczyrna smętny w różne strony strzelał,
Czuł, że rycerzem był dziwnej ballady.
Czy grób rozkopać?... Jakby się ośmielał,
Postąpił naprzód, wdaje się w układy
Z młodzieńczym wstydem, rozważą człowieka;
Wtem główka wrzasła: Aj! niech Pan ucieka!

Na ten wrzask rycerz obrócił się, patrzy —
Z pospólstwa chmurą leci ktoś na czele;
Rycerz za pasem miał naboju na trzy
Głowy; pomyślał sobie, że nie wiele.
Obejrzał szablę, jak człowiek, co patrzy

Pierwej na siebie, niż nieprzyjaciele;
I stanął, patrząc srogo na pohańce –
Była to chmura kobiet i rzezańce.

Turecki jeden święty, cały nagi
I krzywy, oczów pokazywał białka,
A w rękę jego była wielkiej wagi
Sękata z drzewa Darfurskiego palka;
Tłum cały sobie dodawał odwagi
Wrzaskiem; lecz w tłumie tym nie było śmiałka:
Beniowski więc stał z rycerskim wyrazem
Na twarzy, gotów siec po grzbietach płazem.

Wtem niespodziana rzecz! Gdzie indziej błoto
Rzucają, albo kamień, lub kartofel
Chmury – w krainie, gdzie między hołotą
Zjawi się jaki szary Mefistofel;
Na wschodzie biała pleć, która jest złotą,
Babusz (tak się zwie czerwony pantofel)
Zdejmując z pięknej nóżki, i zwycięża
Pantoflem gacha, lub wroga, lub męża.

Coby powiedział pan Trentowski, który
W swych Aforyzmach ostrzega małżonka,
Że każda piękność nowa tej struktury,
Jakiej Klorynda była Amazonka,
Chociażby piękną była jak Ahury,
A miała tyle cnót, co Jagiellonka,
Dla tego właśnie, że jest taka chrobra,
Nie jest na żonę zdatna ani dobra.

Coby powiedział – widząc tę gromadę
Z bocianią czarną na nosie kitajką,
Z którejby każdą wziąć mógł za Palladę,
Zwłaszcza, że dzida jest u Niemców fajką!
Niech mówi, co chce – a ja dalej jadę
Z tym poematem, powieścią czy bajką
I w miniaturze ten bój, jak Izabej,
Dam – lecz z szacunkiem zawsze dla płci słabej.

Więc, jak mówiłem, już chmura babuszów
Czerwonych nagle zaćmiła powietrze;

Swistać zaczęły smutnie koło uszów
Jak afrykański tuman, gdy się zetrze
Z tumanem. Nakształt pierwszych karteluszków
Pantofle naprzód przyleciały leksze,
Potem ze starych nóg, ciężkie, schodzone,
Podbite ćwiekiem, żółte i czerwone.

Jak bomby w ogniu rozgrzane, lub w burzy,
Z wulkanów głązy, lub aerolity.
Gdyby z kochanek nóg – listkami róży
Takimi chciałbym być nawet zabity;
Jeden mi taki teraz trzewik służy
Za lampę; płomień wspomnień w nim ukryty
Gore... w różowym ujęty atlasie,
A tak maleńki jest, jak oko w asie.

O! gdyby takie, z listków róż robione
Sylfów trzewiczki padały mu w oczy...
Pewnie by krzyknął: niech w różach utonę,
Niech mnie nakryją, niech mnie blask zamroczy!
Ale ogromne babusze czerwone,
Jak ogień albo grad, co żyto łożczy,
Albo pioruny z alpejskich obłoków,
Albo też chmura latających smoków,

Z dołu i z góry krzyżują się, lecą –
Świata nie widać, słońce nawet ćmi się.
Próżno w nim gniewy się gorące niecą,
Zęby o zęby zgrzytają tygrysie;
Zamyka oczy – one ciągle miecą
Ten grad, za którym wszystko w oczach mgli się:
Zrazu się wahał – potem się ośmielił
I z pistoletu na wiatr w górę strzelił.

.....

„Jaki wstyd będzie, krzeczy, gdy Giaurowi,
Co widział Khana małżonkę w kąpielu,
Zostaną oczy we łbie! Co Khan powie?
Jak się z was będą małżonkowie śmieli!
Ranioną babę święty wnet uzdrowi;
Ja dam na tytoń.“ – Tu blask karabeli

Mignął mu w oczach; uderzony płazem
Padł okręcony jak wężem — żelazem.

Taka w niej była giętkość, w owej szabli
Którą Beniowski przypasał do boku
Więc naksztalt korabli,
Łamał się rycerz wśród szarego tłoku;
Aż uczył coś we włosach naksztalt grabli
I coś kociego razem uczył w oku,
I coś cięższego obciążęło łokcie —
Były to ręce kobiet — i paznokcie...

Reszta tej walki i rycerza wzięcie
Nie opisane jest w mojej kronice;
Sądzę, że gdyby nie miał być na wstręcie
Rąbać pałaszem takie czarownice,
Byłby zwyciężył. Więc na dyamencie
Rycę tę szlachetność lwia! Jeśli krytyce
Jaki bok słaby tu w tych rymach podam,
To odwołuję się wnet zaraz do dam.

Niech sądzą, niech się litują, niech płaczą,
Niech utyskują na los, piszą treny;
Niech ten kawałek paznokciem naznaczą
I odczytują w dzień słoty, migreny.
A pewnie same sobie wytłómaczą,
Dla czego dał się wziąć przez te Syreny;
I rzekną: ach nieszczęsny — to go broni,
Że na tę biedną pleć nie podniósł dłoni!

Tak, to go broni — bo ja mam ważniejsze
Rzeczy i muszę rzucić bez obrony;
A sam do Khana prowadzę Borejszę,
Lutnię na wyższe nastroiwszy tony.

.

Rycerza mego wzięciem... kropki kładę,
A sam Borejszy śpiewam ambasadę.

Khan krymski Kierym Giraj, jak cytryna
Żółty... wąsy miał długie jak sum, kare,



W. PAWLISZAK.

BENIOWSKI.

Ciało na szyi jak czerwona glina,
A oczu kocich, jasnych, takich parę,
Jak u tygrysa – dobry starowina,
Ale o buńczuk bardzo dbał i wiare;
Ministra także miał przy swoim boku,
Oba siedzieli jak duchy – w obłoku.

Rzekłbyś, że Pluton z brodatym Charonem
Siedzą i palą tytoń – w środku sali
Rozkwitła fajka wywróconym dzwonem,
Jak kocioł, gdzie się dusz tysiące pali.
Dwa węże w kocioł wetknięte ogonem
Do ust im lazły, a oni je ssali,
Smakując bardzo to, co bursztynową
Szyją wziął z kotła gad i oddał głową.

Oba siedzieli niby na przydworzu,
Choć nad głowami wisiała framuga;
Widać im było i błękit na morzu,
Gdzie lekkie skiby szły od wiatru pługa;
Widać meczety, w których to dwurożu
Dyjamentowe światło wiecznie mruga,
Jak wiersz Bohdana, gdzie w ciągłym przymusie
Pała różowy brylant – na turkusie.

Jak turkus bowiem było niebo wschodnie,
A turkus nawet taki bardzo rzadki.
Tatary moje siedzą więc wygodnie,
Nie ściany mając w koło, ale kratki
Z drzewa, przez które czasem jak pochodnie
Łysnęły... oczy panny lub mężatki,
Oczy gruzyjskie, pełne, skrzące, duże –
I usta, czasem nie usta, lecz róże.

Ciekawość taka żonom pozwolona
Na wschodzie, byle twarz zakryły samę,
Pokazać czasem wolno trochę łona
Przez rozciętego wskroś gorsetu bramę –
Ale twarz zawsze ściśle zasłonią,
Jak miesiąc, gdy nań ziemia rzuci plamę.
Szczęściem, że teraz nawet już na Wschodzie
Ten obskurantyzm twarzy nie jest w modzie.

U nas trwa jeszcze... nie w kobiecym stroju,
Lecz w poetycznych szkołach; ale szkoda
Na świergocące te wróble naboju,
Niech katolicka płynie sobie woda!
Niechaj używa wiersz dawnego kroju!
Niech epopeję nam piszą z Heroda,
Z biblii całej porobią obrazki
I o potopie też napiszą... skazki!

Co do mnie – wołę Rafaela łożę
I te sufity, gdzie nad ludzką głową
Wisi w tęczy blaskach dzieło Boże,
A taką sztuką odświeżone nową,
Tak nieśmiertelną, że umrzeć nie może,
Lecz o Jehowie będąc – jest Jehową
Iskierką Jego treści dotykálną,
Ludzkiem filarem wspartą i widzialną.

I kiedym w górę spojrział, to przestraczem
Zdjęty, myślałem, że z braku sufitów
Niebiosą wiszą otwarte nad gmachem
I te kolumny są bez żadnych szczytów.
I chciałem myśli tytańskiej zamachem
Zbić to zwierciadło czynów i błękitów,
Gdzie powtórzone wisi boskie dzieło
I trwa... a nasze co chwila – zginęło.

O tymto cudnie malowanym gipsie
Mówił Jan święty, że będzie zwinięte –
Mówiąc o kartach ksiąg w Apokalipsie.
Gdy trąby zagrzmią, fale wstaną wzdęte,
A Bóg światowi powie: w gruzy syp się!
A grobom powie: stójcie odemknięte!
A tym sufitem: skrzydłami się nieście
W niebo, bo z myśli i z nieba jesteście!

O biedny Rzymie, jak ty w Słowianina
Pieśni wyglądasz niemyślący, karny!
Na tożto przysłał Bóg Atyli syna,
Aby gitary tam dźwięk taki marny
Rzucił na wiatry?... a tam jednak glina

Z Grachów... i z duchów stoi obłok czarny
Na Koloseum; księżyc je upiększa,
Lecz jest jak tylko jedna z tarcz, nie większa

Od Brutusowej. Z taką to koroną
Stoją ruiny, czarne i zębate.
O! prawda, że tam ptaszków pełne łono,
Że im powoje stanęły za szatę;
Że tam krzyż duma – i gromnice płoną;
Że tam, kędy lwom odmykano kratę,
Dzisiaj (widziałem sam biedny wygnaniec)
Wypada jakiś ksiądz, mnich, obłąkaniec –

Rzuca się, pieni, klnie: i Carbonari
Krzyczy, la gente d'inferno! i zgrzyta –
Sam jak hyena jest albo wilk szary,
Na żar położy więźnia i wypyta;
Do domu naksztalt dymu albo pary
Wciśnie się, zyzem tygrysim powita,
Pieczenie zawsze nadybie gorącą,
Spowiada panią... uwodzi służącą.

I taki brudny czart czasem się chyli
I z pyłu lice odsłoni pomnika,
Z pyłu, co leciał przed wojskiem Atyli,
Przed kopytami Hunnów, Alaryka
I nakrył dawne miasto, nim przybyli;
I jako ten grób, co się sam zamyka,
Zniknęło, cudzej uchodzące włości
I utonęło przed mieczem – w przepaści.

Dzisiaj dobyta kolumna niecała
Pyta się biedna cicho: a co w Rzymie?
Czy mi czas było, abym zmartwychwstała?
Czy macie jakie na grobowcu imię,
Abym go strzegła ja i nad nim stała,
Ja, co widziałam mogiły olbrzymie
I wiem, co dola ludzi niepowrótna,
I jeszcze po nich jestem dzisiaj – smutna...

Tak pyta, gdy ją podnoszą na drągi
I stawia znowu czołem na gwiazd wianek.

O mój Bohdanie—ja ci tam posągi
Pokażę smutne piękniejszych poganek;
Ja ci pokażę dawne wodociągi,
Co idą, jako tłum Samarytanek,
Niosąc na głowie dzbany, korowody
Dzbanów! lecz wszystkie na głowach bez wody...

Choćbyś był jako Chrystus upragniony,
Pić ci nie dadzą, zostawią u studni;
Ja ci pokażę od Tybrowej strony
Rzym, co się myciem swej bielizny trudni,
A nie trudni się obmyciem korony,
A syczy, kiedy się dzień rozpołudni
I gdy nań blaskiem przeraźliwym pała,
Jak wąż, co głowę ma na kłębku ciała.

O miserere! jam go widział z góry
Et de profundis—wiem, jak widać z grobu!
Zielony on jest, a w płaszczu z purpury,
A w ręku uschły kwiat—z świętego żłobu;
Nad nim z ognistych smoków lecą chmury,
A z Dantejskiego nosi płaszcz wyrobu,
Dominikańskim mieniący się jadem,
A każda w nim nić—czartem albo gadem.

O mój Bohdanie! pod ten, co się skłębia
Płaszcz, i sam przez się jest wiecznie ruchawy,
Ty lecisz z dziwną prostotą gołębia,
Chciwy napoju—i blasku i strawy...
I myśli się twój koń trwogą nie zdębiał!
Żeś jest niewinne dziecko—znać z postawy;
Dlatego piecza i strach mi o ciebie,
Bo ten okropny duch żegnaniem—grzebie...

I byłem mędrszy z żórawi łańcucha,
Kiedym się zerwał sam i poszedł przodem;
A byłem, gdzie dwie srebrnych fontan bucha,
Przed gmachem wielkim i kolumn ogrodem;
Ja wtenczas silną różdżką mego ducha,
Co w środku ma kwiat—choć okryta lodem,
Zakląłem źródła, tak, że w tej potrzebie
Anioły złote mi dwa dały z siebie.

Z tęczy, co wiecznie swoją wstążką pęta
Skrzydła fontanom i włos im ubiała,
Wyszły anioły przewodne, bliźnięta,
Wyszły i wiodły w kościół Zbawiciela;
I tę kopułę, która już pęknięta
Jak czaszka w grobie ludzka się rozdziela,
Wzięły na skrzydła złote, nad tułaczem,
Abym nie zwałił jej echem i płaczem.

Więc póki stałem pod ogromną banią,
To ją trzymała para jasnolica;
Wysokość – z niebios równałem otchłanią,
Bo ta kopuła – to Alp rówieśnica!
Chmury stukają w okna, idąc na nią,
I do kościoła wchodzi błyskawica,
Za nią pioruny, te nawałnic wodze,
Spotkawszy kościół powietrzny – na drodze.

Potem bóg Perun, wróciwszy w Łotysze,
Puszczom i sosnom blady opowiada:
Na chmurach się tam las krzyżów kołysze,
I kościół w chmurach stoi i nie spada –
Choć ja i wichry, – moi towarzysze,
Ja i me dzieci, piorunów gromada,
Bierzem go w ręce, w skrzydła, z kolumn rwiemy,
I tu na puszcze litewskie niesiemy.

Ale zwycięstwo kiedyś przy nas będzie,
Tu na piorunach czerwonych przyleci;
Marzanny w nim się zagnieżdżą łabędzie
I orły będą w czerepie mieć dzieci...
– Tak mówi Perun – ja wiem, że zdobędzie
Błyskawicami to, co próchnem świeci;
Dłatego broniał gmach od zaginienia
I aniołami ubrałem sklepienia.

A teraz wybac, Cezarów mogiło,
I wy, Piotrowych fontan Świtezianki,
I ty, wisząca na powietrzu bryło,
I wy, kolumny, jak Pelejad wianki
Stojące w chmurach... i ty, świata siło,

Krzyżu pokorny! i wy, dawne szranki,
Gdzie lew z Chrystusa walczył apostołem,
Wybaczcie, żem się na was oparł czołem...

Strudzony byłem i smętny – lecz znowu
Wielkim popiołem posypawszy ciemię,
Znów do mojego powrócę narowu,
Do pieśni, ludzi malować i ziemię;
Znów do krymskiego pójdę półostrowu,
Rycerzy moich posadzić na strzemię
I nieść w pożarne Ukrainy łuny
Tych, którzy na mój głos powstali z truny.



PIEŚŃ IX-ta.



Więc gdy Borejsza przed czerwonym Khanem
Stanął, przeżegnał się naprzód dwa razy
I stanął prosty jak drag przed Dywanem
Z tłómaczem, który czekał na rozkazy.
Potem się ze swą godnością i mianem
Zaprodukował i rzekł te wyrazy,
Które w lot muza nieśmiertelna chwytą:
„Daj temu psu list księcia – niech przeczyta!“

To mówiąc, papier wydobył z cholewy,
I podał ów list dziwny przez tłómacza;
Minister, który stał jak anioł lewy,
Wziął list i wejrzał weń okiem puhacza.
Litery były w nim rajskimi drzewy;
Pomałowany był, jak pasmo tkacza,

Gdy na członka różnych blasków bierze
I nicią złotą przerabia szkaplerze.

Dyabełki miasto liter, dziwołagi,
Floresy, różnym świecą atramentem;
Z tych arabesków były różne ciągi,
A list fantazyi był dziwnym odmětem.
Książę się Karol pisząc kłął, że ongi
Sam u Sultana z młodu był skrybentem;
Na słowo szlachta zaręczyła dziarska,
Że po turecku pisze—lecz z tatarska.

Ale minister Khana na kulasy
Spojrzawszy i te dziwne malowidła
Ujęte w różne klucze i nawiasy,
Gdzie A chwyciło wielkie B za skrzydła:
Skręcił na palec wasy dwa jak pasy,
I twarz mu dziwnie pomarszczona zbrzydła,
I ząb mu koci zaczął o ząb zgrzytać;
Na co pan poseł rzekł:—nie umie czytać!

Ani przypuścił, by Pan na Nieświeżu
Nie umiał pisać; czekał więc responsy.
Wtem przyniesiono wielki pilan ryżu;
Minister kręcił papier—a Khan wasy.
W Krymie nie spieszą się tak, jak w Paryżu;
Gardzą tam słowy prędkiem i płąsy;
Wypadkom bożym otworzona brama,
Rzecz każda robi się... aż zrobi sama.

Tymczasem ludzie jedzą ryż, sorbety
Piją, i palą czarny tytoń dżebel;
U pasa noszą złote amulety,
Świat uważają ten za smutny szczebel
Do nieba. W myślach nie grzebią jak krety,
Pod katolicki też nie biorą hebel
Mądrości; lubią wiersze pełne słońca
I poematy trwające bez końca.

Wniesiono więc ryż i przyszły śpiewaki;
A pan Borejsza do Abdulewicza:
To polityki wielkie te sobaki!
Nie chcą od razu nam trzasnąć, jak z biczą;

Co odpowiedzieć, myślą, na list taki.
Ja zaś z mojego pokażę oblicza,
Że niedbam o nich; lecz proszę Acana,
Wyzwij odemnie ich na próbę dzbana.

Jeśli nie szelmy i nie knują zdrady,
Niech w wino zajrzy ta wąsata morda!
Zwycięzonemu ja podam układy,
Do mnie należeć będzie złota Orda:
Ochrzczę psów, będę chrcił całe gromady,
A potem wprawię do polskiego korda,
Potem i haracz na tych psów nałożę.
Wyzwij – bo gotów jestem wypić morze.

A że, jak sądzę, ten pies niepozorny
Nie ma u siebie takiego kielicha,
Jakim jest sławny kielich mój klasztorny,
Który raz tylko był przez skórę mnicha
Wypit aż do dna... łajdak był pokorny,
Ale to była tylko skryta pycha,
Bo zadrwił ze mnie, a z jego obrotów
Widać, że wypić piwnicę był gotów –

Jeśli więc taki kielich nie istnieje
W państwie, które zjeść można jak piernika,
Niechaj w ten kocioł węgryzna naleje
(Wskazał na lulkę) – sądzę, że zamyka
Trzy garnce... nie upoi... lecz rozgrzeje...
Cóż Waćpan czekasz? czy mnie masz za éwika?
Wyzwij! – że niosę mu bój, już zobaczył,
A Waćpan jesteś na to, byś tłómaczył.

Jak to wyzwanie w tatarskim języku
Brzmiało, ja nie wiem; musiało nieść trwozę.
Khan chwilę siedział jak na wężowniku,
Gryzł wąsy – nogę założył na nogę;
Potem na Galiun spojrział, jak do krzyku
Otworzył usta i rzekł: – Pić nie mogę.
Samby Saladyn, Omar ni Hilderim
Nie wypił takiej becзки – Allah Kerim!

W Koranie także stoi, że człek spity
Jest jak na ludzi wałca się wieża,

Albo wieprz skórą Adama przykryty,
Lub miecz, co w oczy ojcowskie uderza.

Więc ten pies wartby zostać wnet ubity
Na miążgę w głębi wielkiego moździerza,
Który w Stambule stoi – gdzie Salamon
Nasz Sultan, tłucze Muftych jak cynamon.

Ale ja Giaurów, psów min belud, Lachy
Oszczędzam jeszcze z wielkiej wspaniałości
I wziąłem nawet ich pod moje pachy,
By nie zginęli: – więc nawet z litości
Zagram z tym starym mopsem w święte szachy;
Albo niechaj się tu jak pies umości
I z jednej lulki piersi poi własne,
A tak się spije, jak pies... nim ja zasnę. –

Tu klasnął; czarny zaraz wszedł rzezaniec
I galiun szarym nasypał haszyszem
Litwin wyzwany rzekł: – Tylko pohaniec
Pies dymem poi – musi być hołyszem!
Niechno przyjedzie do mnie ten za.....
Ja go z ministrem jego towarzyszem
Tak spoję kiedyś, krupników gorących
Dawszy, że nawet tych psów ochrzczę śpiących,

A teraz będę palić, co on pali,
Choćby piekielny tytoń był, nie spoi.
To mówiąc, usiadł; cybuch mu podali –
W środku już szysze zapalone stoi.
Tymczasem Hamet wzrok wodzi po sali,
Coś mu się w oczach miga, coś się roi,
Jakieś wspomnienia, których się sam wstydzi;
To, o czym w Litwie roił – teraz widzi.

Przez złote kratki zajrzał do ogrodu,
Stamtąd go miła, cicha woń zawiewa;
Kwietnego na twarz coś zachwyił chłodu,
Usłyszał – coś mu jak w dzieciństwie śpiewa,
Coś szumi, jak pieśń własnego narodu.
Ujrzał fontanny, jak trzy srebrne drzewa
Stojące cicho między zielonemi,
Zda mu się, że on kiedyś spał pod niemi.

Może złudzenie duszy, którą zdala
Piękność ojczyzny czarodziejstwem wabi,
W czar zaprowadzi i wyjść nie pozwala,
Jak gąsienicę całą ojedwabi
Tęczami. — Spojrzał: księżyc się zapala
Na Czatyrdachu, i źrenicę słabi
Ogromnym kręgiem, w którym nieco róży...
Jakby zjawisko nowe, taki duży.

Witaj mi, gwiazdo! właśnie w tej altanie,
Którą buduję z duchów i rycerzy,
Twoje mi srebrne potrzebne błyskanie;
Czasem twój promień jako miecz uderzy
I przez zieloność do nimf się dostanie
Alabastrowych; nawet do tej wieży,
Gdzie śpi Danae, oczki mrużąc ładne,
Nawet tam deszczem strof lunę i wpadnę.

O! świeć, księżycu! bo mi czas z rycerzem
Do Polski wrócić, do rycerskich szyków,
I moje orle piskłę odziać pierzem,
Więc wam opowiem z dawnych pamiętników,
Jak mu cud przyszedł w pomoc nad wybrzeżem
Euksynu, i z rąk wydobył Krymczyków.
O uwolnieniu jego z rąk Tatarek
Z ambony ludziom powiedział ksiądz Marek.

.

Ut videbitis. — Jak pięknie owiewa
Woń cudów młodość mego bohatera!
Anieli patrzą przez palmowe drzewa,
Jego więzienie w blaski się ubiera,
Hymn Betlejemski nad głowami śpiewa,
Z duchów się złotych wiąże jakaś lira
Pod sklepieniami i blask bursztynowy,
W tym blasku różę, światełka i głowy.

Był to sen tylko — ale nie zepsuta,
Wrąca młodości krew sny takie daje.
Pan Zbigniew leżał w jednym Marabuta
Grobowcu. — Wschodnie przebiegając kraje,

Kiedy mnie noga wielbłądów niekuta
Niosła w piekielne stepy albo raje,
Stałem na noc raz w grobie, i dobrze
Spałem na martwych pościeli i ziobrze.

Była to wielka w żywocie pociecha
Zasnąć, a jeszcze większa, wstać o wschodzie
I otrząść włosy senne z prochu Szecha
I zostawić go w mogiłnej gospodzie,
Nie dawszy mu za nocleg nic – prócz echa
Z tej pieśni, w obcym dalekim narodzie
Śpiewanej. – Ludzie z księżycową twarzą
W mogiłach swoich wschodnich gospodarzą.

Przyjmują na noc smętne wędrowniki,
Czasem przez wieczne nakażą zapisy
Karmić ptaszęta – skąd są ciągle krzyki
Wróblów, i ciągle pełne ziarna misy
I ciągle różom miłosne słowiki
Na cmentarzowe latają cyprysy,
I ciągle szpaki po grobach gawędzą
O trupach, którzy karmią i nie spędzą.

Lubiłem widzieć takie gospodarstwa
Umarłych, szpaków podsłuchać rozmowy,
I słyszeć różne ich o zmarłych łgarstwa,
Bo pochlebiają, a posępne sowy,
Grobów latarnie, senatory carstwa,
Z grobów posępne pokazują głowy
I zegarowe, wielkie, krągłe lice
I oczy, co się palą, jak dwie świece.

W mogiłce Szecha – był to grób osobny
Na górach, z białą kopułą glinianą –
Leżał mój rycerz, nadzwyczaj podobny
Do męczennika, bowiem go związano;
A nad nim śpiewał nocy ptak żalobny,
Smutniejszy jeszcze, bo śpiewał za ścianą,
Zrobiwszy wieczną z słowikami ligę,
Oddawszy cyprys im, a czarną figę

Wziąwszy za pałac. Jej ogromne liście
Ciągle po głowie grobowca łopocą;

Ptak umiłował ją sercem ogniście
I nie opuszczał nigdy, nawet nocą.
W grobie podwójne także było wniście
I dwie izdebki; w jednej się szamocą
Owe Tatarki strzegące dziewczyny,
W drugiej Beniowski skrepowany, siny,

Sam jeden leży na glinie i wzdycha,
Któż mu w nieszczęściu srogiem dopomoże?
Nad nim okropna zemsta, zemsta mnicha!
Pod nim umarły! Wspomniał o upiorze,
Potem (weselszą myślą myśl odpycha)
O tej dziewczynie, co w drugiej komorze
Leży i rączki może białe poda,
Lecz ma reumatyzm w rękach – jaka szkoda!

W kamień członeczki białe Bóg zastudził;
Chociażby chciała wstać i przyjść – nie wstanie.
Chociażby wstała, toby się obudził
Pop, lub Tatarki wiedźmy. Chryste Panie!
Także Cię rycerz mej powieści znudził,
Żeś mu dał rozpacz, grobowe posłanie,
Więzy na rękach, lę, co się nie leje,
I odebrałeś w grobowcu nadzieję?

A jeszcze gorzej: jakiś gorączkowy
Sen przyszedł, zamknął gorące źrenice;
Czarne Arabki postawił u głowy,
Ubrał je w brody jako czarownice,
Zamiast warkocza z włosów, dał węzowy,
Zamiast paznokci, ubrał tygrysice
W ohydne i krwią kapiące pazury,
Zęby przemienił w kły, zawoje w chmury.

Stały nad nim, pierś mu obnażyły;
Chce krzyknąć... głos mu stanął w gardle kołem;
Chciał westchnąć – w sercu pękły wszystkie żyły,
Chciał zgrzytnąć – usta zawiane popiołem;
Wszystkie uczucia ludzkie ma – prócz siły...
Leży, z widmami strasznymi nad czołem,
Gdyby już uczuł wreszcie ból serdeczny –
Lecz że strach tylko ma, i zda się wieczny,

Do omdłałości przychodzi. A owe
Wiedzmy do siebie szeptają: On słyszy...
Odrąbmy jemu, rzekły, mieczem głowę
I posłuchajmy, jak krew pluska w ciszy,
A druga rzekła: Mam krupy perłowe
I dorzucimy nieco szarych myszy,
I masła nam da jaki kat przekupnik
I da nam sadła z psów – zrobimy krupnik...

Beniowski słyszał, czarne gospodynie
Jak naradzały się, i uczył zimno
W kościach. Wtem jedna rzekła: Mam naczynie,
Ale jak zrobię tę rzecz... mury hrymną!
Czekaj; czoło mu językiem poślinię
I zrobię nasz znak nad nim samym i mną...
W Beniowskim serce aż przez sen zakrzepło,
Uczuł przy twarzy bowiem twarz i ciepło,

Nareszcie usta – ale o! dziwaczne
Sny... usta były świeże, miłe, młode,
Jako dwie wiśnie, co się zdają smaczne,
Choć okiem tylko rubinową wodę
Pijesz. – O ustach więc tych śpiewać zaczęę
I wejść z nimi poeta w ugodę,
Aby za wiersz mój lotny bezrozumnie
Tak obudziły mnie tu – albo w trumnie.

Panny Gruszczyńskiej to były usteczka!...
Ona w grobowcu leżąc z drugiej strony
Biedna, w Tatarek rękach jak owieczka,
Która na welnie ma już krzyż czerwony,
A często jednak zachodziła sprzeczka
Między leśnemi Idyll Korydony,
Na której owcy były śmierci krzyże –
Bo matka często je całując zliże,

I sama nie wie, że swym pocałunkiem
Od śmierci małe dziecko obroniła.
Tak właśnie dziwnym to było trafunkiem,
A pewnie temu winna ta mogiła,
Że się przed Matki Boskiej wizerunkiem
Przed tęczą swojej myśli pomodliła

Panna Gruszczyńska, idąc na spoczynek;
Wtem ją obudził wiatr z niezapominek,

Z róż, z tulipanów, z lilii i z bratków,
I otworzyła na pół senne oczy
I ujrzała się w zawierusze z kwiatków,
Które latały w błękitnej przezroczy.
Środek powietrza tego był z bławatków,
W bławatkach był blask od czarnych warkoczy,
Które przechodząc z jaśni do ciemnoty,
Brały blask dziwny, rubinowo-złoty.

Twarz także była tej precudnej bieli,
Co od błękitu także coś pożyczca;
Pod pachą byli skrzydlaci anieli,
A co dziwniejsza, szata tajemnicza
Z aniołów tkana – a na karabeli
Trzymała stopy ta postać dziewicza –
Stopki tak małe, że z tamtego świata
Idąc, zapewne nie chodzi – lecz lata.

Przed nią na ziemi niemocą złożona
Panna Gruszczyńska smętne oczki mruży,
Jak alabaster, w którym zapalona
Lampa rzuciła coś blasku, coś róży;
Wtem święta rzekła do niej: wstań! – a ona
Uczuła, że jej ruch i życie służy,
I wnet rączkami, które już nie słabną,
Zebrała na pierś koszulę jedwabną.

Potem usiadła, a potem uklękła,
A potem płakać zaczęła w tym grobie.
I wnet ta jasność precudowna pękła
I znikła – senniej podobna osobie.
Ciemność dziewczeczkę klęczącą przełękła,
Nie prędko światło ujrzała przy sobie –
Był to kagańczyk, który tam szczęśliwie
Płonął w żelaznej czarce – knot w oliwie.

Wziąwszy więc lampę, wyszła; księżyc w górze
Świecił, lecz zdało się małej dziewczynce,
Że księżyc ćmiły fijołki i róże,

Rzucając nań blask i pył albo sińce;
W powietrzu czuła dziwną kwiatów burzę,
Widziała różne tęczowe gościńce,
Po których odszedł pewnie anioł biały;
Potem ujrzała dwie Arabki – spały!

Ohydna ich twarz – bowiem te upiorki
Miały zasłonę na czole i brodzie,
A po nosach szły z koralów paciorki
I dwie zasłony te trzymały w zgodzie.
Musiały pływać po wierzchu jak korki
Te czarownice, pławione na wodzie;
Musiały latać jako nietoperze,
Wziąwszy pod siodło łopaty lub krzyże.

Lecz teraz spały, chrapiąc głośno obie,
A tak ohydnie chrapiąc i śmiertelnie,
Tak się pazurem jedna w udo skrobie,
A druga przez sen tak szczeka piekielnie,
Że panna, światło trzymając przy sobie,
Paluszkami je osłoniła szczerlnie
I stała – srebrna dziewczyna w lazurze,
Już nie kaganiec niosąc, ale różę.

Nagle ją strach wziął, obróciła twarzy
I do grobowca szła nazad powoli,
Jak smętna dusza, co się na to skarży,
Że wrócić musi do smętnej topoli
I grobowcowi chciała być na straży,
Aż ją pokuta albo czas wyzwoli
I znów odeśle w światy przedstworzenia,
Gdzie wyrastają znów dusze z płomienia.

Szła więc pod swoje sklezione framugi
I schyliwszy się weszła. Już mówiłem,
Że w tym grobowcu był katakomb drugi,
Gdzie krwią okryty i potem i pyłem
Mój rycerz leżał na ziemi, jak długi.
Szczęściem, że lampy mojej nie zgasiłem,
Prowadząc moje biedne dziewczę ciche
Do tego grobu po nocy, jak Psychę.

Od lampy płomyk tak się nad nią schyla,
Tak się od knota w powietrzu odrywa
Jak duch miłości na skrzydłach motyla,
Piękniejszy wtenczas, kiedy dogorywa,
Kiedy ostatnia w nim zachwytu chwila
Płomieniem buchnie – piękna i straszliwa
I nad kochanki czołem się rozwinie
Jak płomyk, potem uleci – i zginie...

Tak weszła, światło w zmierzch ulatujące
Niosąc nad głową – potem go spostrzegła...
O! jakie wtenczas jej modły gorące!
Jak krew po żyłach szafirowych biegła!
Chciała go zbudzić, więc usta płonące
Na czole jemu kładąc, sama legła
I jąła więzy rozwiązywać duszkiem,
Ustami mówiąc mu: cyt – i paluszkiem.

On też obudził się – lecz patrzcie chłopca!
Zaraz zrozumiał, że to nie z jasełek
Jaki aniołek, ani z mogił kopca
Duch, chociaż stała z koroną światełek,
Twarz ta i postać nie była mu obca;
Leżał więc cicho, a ona perelek
Ząbków bielutkich jak szczurek używa
I przegryzione na pół więzy zrywa.

Już wolny!... wstaje, otrząsa się z prochu,
Ona z kagańcem złotym naprzód leci;
Oboje wyszli z grobowego lochu.
Tatarki chrapią, księżyc srebrny świeci...
O! pomóż ty mi, Dante, i ty, Włochu
Z Sorentu... dwoje tych różanych dzieci
Przez te parowy wieść okropne, sine,
Tam, na błękitną jak niebo dolinę...

Olbrzymie skały zastępują drogę,
Tam nagle potok jęknie i zaszczeka;
Świat taki dziki naprzód wziął pod nogę
Jehowa, wprzód nim postawił człowieka,
Dawszy stworzonym skałom na załogę
Wężę, co lały się ze skał, jak rzeka,

I po dolinach, gdzie szła noga boża,
Ze swych błękitnych ciał czyniły morza.

Wystawcie sobie w tym świecie połosów
Duszki dwie, które czekały na ciało,
A jeszcze słońca się trzymały włosów,
Aby nie upaść na świat, co był skałą,
Węży królestwem i bezładem ciosów,
Gdzie od świstania wielkich gadzin grzmiało,
Wystawcie sobie, że nad tym odłogiem
Te duszki drżące dwie idą za Bogiem.

A obaczycie moją smętną parę
Po skałach wianą wietrznymi poloty.
Wszystko lub białe jak kość, albo szare,
Zdaleka wiszą czarne wielkie grotty,
Gdzie pastuch Tatar śpiewa pieśni stare
I trzody bęcza, i na księżyc złoty
Szczekają głucho psy, – potoków fale
Huczają – i płaczą w dolinach szakale.

Jak zarzynane dzieci przez Heroda,
Szakale płaczą – psom jakby na sprzeczkę,
Beniowski zbiega z gór, jak srebrna woda,
Na ręce już wziął zmęczoną dziewczeczkę;
Czasem mu powój kwietny ręce poda,
Czasem i ona pomoże troszeczkę,
Oczkami skalne przesywszy obłądy
I mówiąc jemu cicho: idź Pan tędy.

Tę skałę się Pan, mówi, obejść staraj; –
Tu mnie puść – sama ten potok przeskoczę –
Ostrożnie, mówi, tu mi nie rozparaj
Koszulki o cierń (było to przezrocze
Jedwabne). Nagle wrzasła: Balczysaraj!
Puść mię! – Zwinęła na czole warkocze,
Koszulę także poprawiła z letka –
Jeszcze dziewczyna mała, już kokietka!

Do miasta wchodząc, myślała o stroju;
Przyszły jej na myśl jakieś myśli grzeczne,
Miejskie – a miasto było w światel roju,

I różne wieńce nad niem jak słoneczne
Wisały—różne z tatarskiego łożu
Ramazanowe lampy i świąteczne,
Z różnych szkieł różnie na niebie świecące,
Jak wieńce z kwiatów na szafiru łące.

Bo Minarety, co je w niebo niosły,
Tak były lekkie, jakby owe kwiaty
Bez żadnych łodyg i pni same rosły
Albo latały; a tak był bogaty
Niemi horyzont, że oczy nie zniosły,
I odwracały się na bledsze światy,
Na morze, co swój włos jak owca welni
I srebrem błyska, lub na księżyc w pełni.

Czasem piękniejszy tem, że stał na stronie,
Minaret, jakby jaki anioł smętny,
Stał w swej ognistej z różnych gwiazd koronie,
Tem miłszy oczom, że nie był natrętny.
Beniowski widząc, jak powietrze płonie,
Jak miasto gwary różnymi i tętny
Spokojność nocy lazuruwej miesza,
Jak motyl nocny w blask i brzęk pośpiesza.

Wpada w ulice gliną i rogożą
Sklepione. Pełno świecących sklepików;
Osiołki gości po ulicach wożą,
Radosnych pełno tłumów i okrzyków.
Strzeż się! bo zdepcą i w błocie położą,
Gdzie pełno leży zgubionych trzewików...
Rzekłbyś, że pod tą żydowską hołotą
Drogim krwawnikiem brukowane błoto.

Rycerz z dziewczką ani się ogląda,
Leci a dziewczę swe zaślania młode;
Niekiedy spotka wielkiego wielbłąda,
Wschodnich ubogich krajów woziwodę,
Okręć pustyni—jako struś wygląda,
Skrzydła ma z worków, a gdy przed gospodę
Przyjdzie i stanie, to skórzane boki
Leją fontanny dwie i dwa ryszutki.

Czasami wielkim robrontem skrzydlata
(Bowieм kobiety wschodnie chcą być grube)
Leci ogromna czarna trumna, chata,
Jak okręt, co ma parę albo śrubę
Ukrytą wewnątrz i blisko przelata;
Ujrzałeś tylko widmo, czarną szubę,
Oczy świecące przez dwa białe kołka,
Na dole głowę i ogon—osiolka.

Z jedwabnym ciebie minęła szelestem,
Oczyrna tylko łysnęła—lecz okiem
Już myślisz, że cię spytała: kto jestem?
Już myślisz, że to Wenus pod obłokiem,
Że to jest ogień, który pod azbestem,
Pod niespaloną szubą i szlafrokiem
Płonie—i z drogi cię cnoty oddali,
A jeśli dotkniesz go, na popiół spali...

Jednak... częstokroć tak nie jest! Rendez-vous
Gdzieś na cmentarzu dane—dyable myli.
Cyprysowemu ją zostawiasz drzewu
Cieszyć—i klniesz wiatr, co szubę odchyli,
Lecz wtenczas tyle jest wschodniego gniewu,
Taki jest wybuch, że dla krotochwili
Wrócisz i ogień hamujesz powoli.
Dalibóg, Muza moja znów swawoli!

Gawędzi—a wiem, żeście już ciekawi,
Dlaczego miasto illuminowane
I co mój rycerz, lecąc gniewny, sprawi?
Więc tu, ponieważ ta pieśń długa, stanę.
A gdy Apollo mi pobłogosławi,
Znów nowe laury zasadzę różane,
Których mi powieść dostarczy szlachetna.
Dosyć—bo strofa to już blisko setna.





PIEŚŃ X-ta.

to widział tylko swój dach i swój kurnik
I swoje grzędy i swoją parafią,
Ten nie wie, co czuć może awanturnik,
Kiedy go różne losu gromy trafiają;
Kiedy poduszką czasem ma jaszczurnik –
Dziś wodę pije, a jutro ratafią.
Ta strofa bardzo szanowna i prosta
Przetłómaczona dosłownie z Ariosta.

Dant także, drugi poeta epiczny,
Mówi: O! szczęśny, szczęśny co się rodzi
I nigdy w życiu za obręb graniczny
Swoich zegarów miejskich nie wychodzi!
W tym wierszu słyhać dźwięk melancholiczny
Rodzinnej wieży, który starce wodzi
W około domu... piastunki sposobem
I nie pozwala oddalić się – grobem.

Ale kto zawsze chodził tak, zda mi się
Na starca dobry, lecz na czytelnika
Zły bardzo; w oczach mu książeczka ćmi się,
Nie doczytawszy strof, często zamyka.
O różach jemu mówisz i cyprysie –
Woli w drużbarta zagrać albo w ćwika,
Patrz, jaki los był biednego Torkwata:
Ledwo gdzie o nim wie dom albo chata.

Dziś jeszcze jego głos harmonią szklaną
Ślizga się, jako Syrena tęczowa,
Po złotym płacząc kanale Orfano
W ciemnym szpitalu wyjęczane słowa.
Lecz moje... i tych dźwięków nie dostaną,
I czas je w długim grobowcu pochowa...
Więc – a więc piszmy, niech rym będzie świeży!
Reszta od Boga i ludzi zależy.

Beniowski więc mój, przebiwszy się w tłumie,
Dopadł pałacu, drzwi stały otworem;
Wschód się w pałacach zamykać nie umie,
Lecz dwór jest karczmą, a karczma jest dworem,
Więc obłąkany trochę na rozumie
Nocną przeprawą, i sennym upiorem
Zmęczony, pełny rozpachy i troski –
Wpadł do pałacu Khana pan Beniowski.

Za rękę trzymał dziewczynę obłąną
Wstydu rumieńcem, lecz nadzwyczaj ładną;
Spojrzał – Khan siedział na sofie pod ścianą,
Przy nim ministry, co lud drą i kradną,
A czasem z brody gęstej coś dostaną
I wcale tego na paznokć nie kładną,
Ale puszczają wolno i z uśmiechem,
Bowiem zabijać rzecz żywą – jest grzechem.

Ministry stali w kaftanach z czerwieni,
Na wszystkich twarzach była dziwna radość;
Świateł tysiące, woń drogich korzeni,
I wszystkim ludzkim zmysłom było zadość.
Almeje także, te córki płomieni,
W szat przezroczystych ostonięte błądź,
Tańczą przy fontan lazuruowych chłodzie
Blizko, a drugie daleko w ogrodzie.

Zda się, że ciągle się roją i rodzą
Z krzewów, z jaśminów, z róż, i znowu nowe
Przez rozwidnione aleje przechodzą,
Lecąc przez słońca różnokolorowe.
W tych słońcach giną smętne, z tych się płodzą

I szybkim tańcem zawracają głowę;
Królowa tańca, młodziutka dziewczyna,
Pleć miała żółto-ciemną, jak cytryna.

Włosy jak węgiel czarne, Indyjanka!
Oczy jak dwoje czarnej kawy ziarek,
Na głowie naksztalt kręconego wianka
Koronę, z chińskich jajek i latarek;
Zmęczona, tańca szybkiego sułtanka,
Siadła na czarnym Khanie, jak kanarek,
A Khan maleńkie złote brał khiryje,
Na twarz przylepiał spotniałą i szyję.

Muzyka także grała; muzykanty
Na różnokwietnej siedzieli rogoży
U drzwi, i grali okropne drabanty,
Zachowując się z taktem jak najgorzej –
Piekielne jakieś muzykalne Danty,
Na których ucho się dziś moje sroży...
Pomiędzy nimi siedział muzyk dworu,
Który w urzędzie był – turbator choru.

Więc śpiewał – przy nim siedział cymbalista
Przy cymbaliście siedział bardzo blisko
Skrzypak, a raczej Orfeusz lutnista
Z wielką glinianą ostrunioną miską,
Na której szczypał struny naksztalt Lista,
Wysoko biorąc ton, a potem nisko;
Trzeci – co bardzo mały efekt czyni
Na smyczku, smyczkiem grał, jak Paganini...

Wszyscy z ogromną artystów powagą,
Jak gdyby czuli, że świat dzisiaj cały
Myzykami jest jak Mojżesza piagą
Skarany – Włochy od rulad zgłupiały,
Europa także z polityczną wagą
Rusza się na głos lutni, naksztalt skały –
Po bizantyńsku swoje ciało kruszy
I serca wędną w niej, a kwitną uszy.

Ten wzięwszy opium zapału – dopóki
Włoch kastrat krzyczy: o patria! w ruladach –

Czuje się w sercu bohaterem sztuki,
Radby w podziemnych być zaraz naradach
I wnet jak wulkan rzucić w górę bruki
I z mieczem jasnym w ręce iść po gadach,
Strawiony takim serdecznym pożarem,
Jutro znów głupcem jest, nie karbonarem.

Zwłaszcza jeżeli na świecie pochmurno,
Klnie świat... i nerwy! O! o! z krakowiaka
Zróbcie mi jakie posepne notturno,
Z notturna zróbcie coś alla poła cca,
Bo mi na świecie tym nadzwyczaj durno!
Przyszła mi także z poczty cała paka
Lirycznych wierszy

Chciałbym coś pisać tym niby zachwytem,
Co niby z Boga jest; lecz nie pozwala
Ta pieśń, która jest koroną i szczytem
Awantur krymskich. Potem przyjdzie fala
Nowym czerwonym ozłocona świtem,
.
Lecz teraz wiersze są śmiechem przesute,
Albowiem śpiewam tatarską redutę.

Mimo całego blasku na tym dworze,
Gdzie wlatywały tancerki motyle,
Czuć było jakąś dzikość straszną; może
Mleko i świeże kotlety kobyle...
Mleko to stało w ogromnej amforze,
Gdzie ametysty, szmaragdy, beryle
Migały w różne ogniste kolory,
Ale kwas było gorzki czuć z amfory.

Dym także z lulek w kłęby się olbrzymie
Mieszał; Beniowski więc wpadłszy do sali,
Jak olimpijski bóg, w błękitnym dymie
Krył się. Wtem ujrzał w rogu kawał stali...
O bogi! poznał, pan Borejsza drżemie!
Jak dąb litewski, kiedy się powali,
Leżał i w tłumie małych charcic krył się,
Które lizaly mu twarz – poseł spił się.



W. PAWLISZAK.

BENIOWSKI.

Charciczki małe Khana stoją wkoło,
Każda ma pyszczek długi jak gadzinka;
Ta liże uszy pośła, druga czoło –
W mrowisku się zda, uwędzon jak szynka
W dymie. W rękę ma jeszcze szablę gołą,
Postrzegł się widać, że to była drwinka
Ów haszysz; nie chciał więc odwlekać,
Wydobył krzywą szablę i chciał siekać.

Ale sen, śmierci brat, kochanek maku,
Ujął go w swoje ramiona. Charcice
Uczuły także coś na twarzy smaku,
Więc mu lizaly, jak mówiłem, lice.
Beniowski, widząc go w takim orszaku,
Wziął go i wstrząsnął, jak siana kopiecę,
Potem o ziemię nim jak beczką trzasnął,
Lecz pan Borejsza chrapnął – i znów zasnął.

Wtenczas Beniowski do Khana – po włosku:
Jakże to posłów przyjmujesz, Giraju?
Krzyknął, nad nami śmierć jest jak na włosku!
Przylatujemy tu z krwawego kraju!
A ty... Khan siedział z cybuchem, jak z wosku,
I pół spity był w zachwycenia raju;
Więc beknął tylko, zawróciwszy białka
W oczach: Il Allah! stłuc w mózdzierzu śmiałka!

.....
.....
.....
Beniowski szablę chwycił, z rąk Borejszy
Wydarł ją, potem zaczął taniec w sali
Od kozackiego tancerza skoczniejszy;
Rąbie na osłep i po karkach wali –
Podłoga już krwią gorącą spluskana,
Wszyscy go czują i słyszą – prócz Khana.

Ten, ciągle małym kozaczkiem zajęty,
Oczy zamruża i takt ręką bije;
Kozaczek czasem mu pokaże pięty,
A czasem nogi zarzuci na szyję;

Khan myśli, że to ruski derwizh święty,
Który tym tańcem swoje grzechy myje,
Tańcem, co z serca idąc, zda się szczerym;
Po raz więc setny krzyknął: Allah kerim!

Jest to tatarskie brawo. Pan Beniowski
Myślał, że jemu należy wykrzyknik.
Z Tatarów robił już makaron włoski,
Tak, że rozchodził się już bal lub piknik
Przez drzwi i okna; miecz się zdawał boski,
A gdzie uderzył skrami, cały szyk nił.
Ten wiersz ostatni zły, lecz go podeprze
To, że w następnej strofie będą lepsze.

Śród gorącego po komnatach boju
Beniowski mieczem robi peryferyum,
Tego po plecach, tego po zawoju
Siecze, a naprzód wpadł na ministeryum
I tego, co miał departament loju,
Ministra oświecenia, Achmet Derium,
Po garbie mieczem siekł, tak że minister
Utracił cały swój garb, jak tornister.

Lecz guz strącony zmienił tylko pana,
Bo wziął go zaraz na czoło koniuszy,
Wielki statystyk także Giraj Khana,
Który obliczał ścięte giaurom uszy,
Potem na sznurki nizał – dla Sultana,
Który je marynuje albo suszy,
Właśnie jak w Litwie grzyby borowiki –
A czasem żonom daje na koleczyki.

Po takiej sprawie ministeryum całe
Cofaniem się podało do dymisii.
Wymowie szabli przypisać tę chwałę,
Że z rządu ludzie ustąpili łysi:
A łatwiej zmusić do odwrotu skałę,
Kaskadzie kazać – niech stanie i wisi!
Powstanie całe kraju przysposobić,
Nawet wybuchnąć łatwiej – niż to zrobić.

Ministeryum więc całe już w odwrocie
I muzykanci wszyscy, pole czyste!

Mój rycerz chwilę stanął cały w pocie,
Wtem ujrzał szabel girlandę—O Chryste!
Już na jednego człeka idą krocie,
Po nad głowami niosą szable szkliste
W rząd ułożone, razem w tył zagięte,
Jak fale upaść gotowe i wzdęte.

Rząd jeden żółtych twarzy, płaskich nosów,
Rząd jeden szabel; idą kragłe koła,
Jakby rząd jeden wielkich srebrnych włosów,
Które lwom żółtym wyrastają z czoła.
W tej błyskawicy podniesionych ciosów
Beniowski śmierci zobaczył aniola,
Który się zdawał straszny i wspaniałym,—
I stał w tych mieczach, jak w zwierciadle białem.

Już idą! rycerz w poprzek się nad głową
Mieczem zasłonił i czekał z powagą;
Już idą—prędzej, niż wymówisz słowo,
Śmierć spadnie; jednak i tu jest odwaga
Mieć podniesione czoło, twarz surową,
Błyszczące oczy i pierś wzdętą, naga.
Beniowski takim był pod tą framugą:
Gdy ktoś mu nakrył głowę—szablą drugą.

Spojrzał, lecz nie mógł widzieć dobrze twarzy,
Bo ten, co zakrył go, stał odwrócony;
Na turbanie się drogim kita waży,
Którą wziął brzytant wielki wschodni w szpony;
Kaftan miał drogi—i rzekł coś do straży,
A nad Beniowskim trzymał miecz obrony,
Tak, że dwie szable razem miały włosy
I klingi dwie samotne, jak dwa kłosy.

Wahała się straż—wtem ów rycerz nowy
Do Beniowskiego rzekł: potrzeba zdać się!
Po polsku to rzekł, lecz odwracał głowy,
Jak gdyby jego oczów musiał bać się;
A potem dodał cicho: będziesz zdrowy
I wolny—teraz to nie może stać się;
Wyrok na ciebie jest srogi wydany
I nie odwoła go wnet Giraj pijany;

Ale się poddaj! – Tu ręką łagodnie
Z rąk mu wyjmował szablę, ale zawsze
Twarz swą zakrywał, a mógł to wygodnie
Zrobić, bo pan Beniowski widział krwawsze
Groźące sobie oczy, wielkie wschodnie –
I damasceńskie i nienajlaskawsze
Szable stojących w około Janczarów,
I do ostatka chciał się bić przez narów.

Ciągle więc groził; gdy mu tamten drugi
Szaleł tureckim nagle nakrył czoło;
Chciał się szamotać rycerz, ale sługi
Pomogły temu panu z szablą gołą.
Wydarto mu miecz; potem leżał jak długi,
I słyszał cichy gwar tatarski w koło,
Potem go niosły z lekka owe straże
Długo przez długie, kręte korytarze.

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się
Samemu sobie bardzo poetycznym:
Na skały igle, na ruin tarasie,
W usposobieniu umysłu wehmicznem:
Gdy wolisz szczęścia, stojąc na Parnasie,
A echo głosem ci melancholicznym
Ze wszystkich skalnych kątów odpowiada
Trzykrotnym głosem: biada! biada! biada!

.

Gdy się zapyta kto – jaka grafini,
Czyś był w Paryżu; gdy patrząc w obłoki,
Kochanka tobie wyznanie uczyni,
Że kocha... albo rzuci się w potoki
Jaka dziewczyna, która ciebie wini
O zapomnienie, potem ją w głęboki
Dół kładą, sadzą na grobie kamelie
I pokrywają piaskiem, jak Ofelię.

Gdy w tańcu jesteś pierwszym koryfantem
I kręcisz kołem młode pokolenie;
Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,
To jest, że możesz zgasić oświecenie;

Albo gdy jesteś dział asekurantem
I w Napoliońskie wierząc przeznaczenie,
Słuchasz z powagą kul lejących świstu;
Gdy Comte przeczytasz na kopercie listu...

Z tych i podobnych wrażeń pono żadne
Nie urodziło się w duszy rycerza;
Utracił swoją piękną Aryadnę –
Wzięty, więzieniem jego była wieża,
Co zewnątrz miała desenie tak ładne,
Jak rozkwiecona palma wśród wybrzeża,
Wieża ceglana, o wysokiem piętrze,
Lecz wewnątrz... bardzo miała smutne wnętrze.

Okna okrągłe bez szyb, gdzie czerwone
Lub srebrne światła upadały snopy;
Z jaskółczych gniazdek uwiła koronę,
A w suchym piasku po nad morzem stopy;
Huczał w niej sufit, gdy morze szalone
Rzucało wrące na piasek ukropy.
W takiej to wieży smutnej przebył trzy dni
Czwartego... tu się poemat rozwidni –

Czwartego ranka skrzypaneły zawiasy,
A jeszcze ranna panowała szarza,
Dopiero morskie srebrzyły się pały
Srebrem od wschodu; gdy ktoś z korytarza
Wszedł – cały strojny w tyfityk i atłasy,
Ktoś niepodobny wcale do grabarza
Ani do kata – miał z baraniej skóry
Kołpak, przyłbicę taką, w niej dwie dziury.

Z kołpakiem razem ta maska futrzana
Kryła mu lice i twarz, oprócz oczu.
Beniowski poznał w nim wchodniego pana,
Choć ze snu oczy odemknął w przymroczu;
Poznał, że ten sam, który go u Khana
Bronił i był mu z szablą na przyboczu,
A potem zdradził, niby wróg ukryty,
A mówił jako Polak rodowity.

Porwawszy się więc z ziemi, głosu grzmotem
Zawołał: zdrajco, czego chcesz? i po co

Przychodzisz do mnie? czy z moskiewskim złotem?

Czy chcesz mnie kupić? czyli wziąć przemocą?

Nie dam ja się krwią zalać ani błotem!

Nim szable twoich katów zamigocą,

Samego ciebie do walki przymuszę;

Chociaż bezbronny, zwałę i uduszę!

To mówiąc, stanął w szermierza postawie;

A drugi... nie rzekł nic, ani się ruszył

I nie wydawał się wcale w obawie,

Choć go Beniowski mową już ogłuszył.

Więc rycerz znowu: strojnyś jest, jak pawie!

Aleś tu próżno w ogon się napuszył.

Jak mi Bóg miły, jak słońce na niebie,

Walcz – bo sam pierwszy porwę się na ciebie!

Na to tatarski rycerz rzekł: przychodzę

Uwolnić ciebie; poznasz za godzinę,

Że jestem tobie bratem i nie szkodzę,

Owszem za ciebie i za kraj nasz zginę.

A teraz zdaj się ty na moją wodzę!

Oto masz ubiór – lubisz barwy sine,

Oto masz kaftan, pistoletów dwoje,

I strzelbę oraz pałasz – wszystko twoje.

Zwrot to jest tylko, a nie podarunek –

Więc weź i za mną chodź, bo jesteś wolny –

Beniowski kaftan wdział i wziął rynsztunek,

Z gniewnego stał się jak owca powolny,

Gniew mu wywietrzył wnet, jak lekki trunek,

Dziw tylko został. Wię jak młokos szkolny,

Ciesząc się w kaftan błękitny ubierał,

Potem próbował broni i obierał.

Broń była cudna: rubinów płomienie

Po pistoletach szły jak iskier sznurek;

Rura u strzelby z drutów, a w desenie

Kuta, i bardzo fantastyczny kurek;

Nie było Lepaź, lecz taką na ścianie

Wolałbym wieszać dziś, niż sto dwururek

Paryskich. Szabla także była krzywa,

A tak się zdała żądać krwi, jak żywa.

Pod wieżą stały dwa piękne rumaki;
Do Beniowskiego znowu rzekł przewodnik:
– Wybierz! obydwa latają jak ptaki,
Obydwa z Nezdów, i mają swój rodnik
W złotym woreczku na przodzie kulbaki;
Jeden drugiemu jest jak współzawodnik
Równy: więc wybór zostawuję Waści –
Weź, który lepiej się podoba z maści.

Czarnego wybrał Beniowski i skoczył
Na siodło drogim sadzone kamieniem;
Potem na piasku koło nim zatoczył –
Koń szedł jak fala lekko pod siedzeniem
I piasku wcale morskiego nie tłoczył,
Dumny szlachetnem swoim urodzeniem
I tą metryką, co go z Nezdów wiodła,
W złotym woreczku wiszącą u siodła.

Tatarzyn – zawsze pod szarą przyłbicą,
Szary był bowiem na masce baranek –
Pośpieszył przodem; za nim błyskawicą
Jechał pan Kaźmierz wesół, a już ranek
Palił się w ogniach nad krymską stolicą,
Którą mijali. Cmentarz i palm wianek
Minęli także – oba stepem lecą

.....
O Dante! czy ty marzyłeś te kregi,
Gdzie człowiek dobry chciałby ludzkich twarzy,
A wkoło takie figury, ciemięgi,
Taka gromada szara gospodarzy?...
Tak w sznury wzięta dobrze i w popregi,
Na takie głupstwa się wierszami skarży,
Tak porobiła gdzieś w niebie otwory
I takie do nich mosty ma – z pokory:

Że człowiek, choćby chciał... by nie być z nimi,
Musi się oddać dyabłu – eheu, smutno!
Ale już słońce włosami złotymi
Rzuca na białe mych namiotów płótno.
Beniowski ujrzał siedzący na ziemi

Obóz. – Tu muza nie chce być okrutną
I zaraz (bowiem już do końca dążę)
Wschodni poemat mój cały rozwiązę.

Na złotym stepie – był to niby parów
Pomiędzy dwiema piaszczystymi góry –
Ujrzał Beniowski dwa sotka Tatarów
Nie bardzo pięknej tuszy i struktury;
Przypominali coś dawnych Khazarów
Lub Hunnów: kość im przyrosła do skóry,
Mięsa nie mieli wcale, tylko żyły –
Namioty z czarnej skóry, jak mogiły.

Kociołki mieli czarne przy ognisku,
Wielbłądów chudych i czarnych z dziesiątek;
Chudzi rycerze, w oczach pełni błysku –
Poszliby nawet na rzeź niewiniątek.
Stanąwszy przy tem dziwnem koczowisku,
Rzekł nieznamy rycerz: Na początek,
Panie Beniowski, oczu nie otwieraj!...
Daje ci dwieście Tatarów Khan Giraj.

Weź ich! Ten obóz zaraz z tobą ruszy!
Wódz jego El Dżin, patrz – ten Tatar stary
To wąż; do jego ciała, kości, duszy
Masz prawo. Końskie im zostaw sztandary,
Pozwól obcinać wszystkim trupom uszy,
A służyć będą lepiej niż huzary;
Kosztu ci także wiele nie przyczynią,
Zdechliną ich karm wszystkich, lecz nie świnia.

Potem arabskim coś mówił językiem;
Allah! wrzasnęli mu, gdy skończył mowę.
Beniowski wielkim ogłuszony krzykiem
Stał, a zaś wojsko stanęło w podkowę
I ogłosiło go wraz pułkownikiem;
A El Dżin, sam wódz, pokazał na głowę
I szyję, mówiąc mu jak najszlachetniej;
– Jeśli nie będę słuchał, to mnie zetnij!

Potem Tatarzyn ów i dobroczyńca
Wiódł Beniowskiego, gdzie stał wóz z namiotem,

Wóz, jakby wielka maża Ukraińca
Wokoło wielkim ogrodzona płotem –
I rzekł: – Khan Giraj daje ci gościńca,
Ten wóz; a nie sądź, że napelnił złotem
Skórzane łono owego namiotu,
Jestto wóz pełny trudu – i kłopotu.

Podnieś to skrzydło wielbłądowej skóry,
A sam hojności Khana będziesz skarżył. –
Radością pan Beniowski aż ponury –
Wahał się chwilę, potem się odważył
I podniósł skrzydło namiotu do góry;
Potem się cały w ciemny namiot wtwarzył,
I powtórzyło łono tajemnicze
Namiotu – dwoje ach!... jedno dziewicze...

I długo głowa mojego młokosa
W namiocie owym była na gościnie
Ani z gardełka uczonego kosa
Taki dźwięk słychać po ciemnej kalinie,
Choć kos – to lutnia ptaszków różnogłosa,
A w przedrzeźnianiu żadnego nie minie,
Lecz wszystkie tony w swym głosie zamyka,
Wszystkie, i nawet śpiewanie słowika;

Ani więc w drzewie, kędy on zasiądzie,
Tak wszystkie listki świszczą i szczebiocą,
Jako te skóry wydęte wielbłądzie,
Na których gałki się mosiężne złocą.
Lecz co w nich było... to chyba na sądzie
Wydam i wielką przymuszony mocą;
Bo mnie obchodzi los dawnych pamiątek,
Aniela... oraz dalszych pieśni wątek.

Gdy więc Beniowski stał jak kuropatwa,
Co głowę swoją pochowała w śniegu...
Jak widzę, rzecz się znowu trochę gmatwa,
A pisząc, stanąć znów nie mogę w biegu.
Sztuka rozwiązań jest bardzo nie łatwa,
Przedemną nie ma ubitego ściegu,
Bo nikt nie śpiewał u nas na taki temat,
Ażeby musiał rozwiązać poemat.

Gdy więc Beniowski, pogwarzywszy długo
Z namiotem, oczy wydobyl nareszcie,
Spotkał się nagle ze starą koczującą
Pana Borejszy: ten był widać w mieście
I teraz przybył z Perkunasem sługą.

.....
.....
.....
Zabrawszy więc manatki, pełen troski,
Że nic u Khana nie sprawił, Krym rzucił.
— Jako?! więc to jest, krzyknął, pan Beniowski,
Którego mnie los smętny tak zasmucał?
A to prawdziwy, widzę, wyrok boski!
A! dajże mi twarz, dajże, niechaj ucał...
Zamiast sylaby ustami go w usta
Cmoknął, aż jętko, tak jak beczka pusta,

Gdy z niej wystrzeli czop. A potem w koło
Obejrawszy się: Cóż to za wędzonki?
Spytał— ubrani wszyscy prawie goło,
Którychby można wszystkich na postronki;
Złodzieje jacyś? — Na to mu wesoło
Rzekł rycerz: Są to rycerze

.....
.....
Poprowadzimy ich w ogień, Mospanie! —
El Dżin, każ, niechaj wskakują na juki! —
Kazał, i wnet się surm ozwało granie,
Namioty nikły—błysły szable, łuki,
Wielbłądy wstały na panów chrapanie:
Krz! krz!—za starym ojcem idą wnuki;
Obdarty, stary jakiś Abdel-Kader
Prowadzi, wielbłąd dziś, dawniej dromader.

Beniowski widząc, że już w pogotowiu,
Rzekł, obróciwszy się do Tatarzyna,
Który go był przywiódł i był w złotogłowiu
Strojny jako gil, a wiotki jak trzcina:
—Bądźże mi, jasny panie, w dobrem zdrowiu!
Szlachetna dusza łask nie zapomina;

Tyś mi tak serce swą dobrocią spętał,
Że póki będę żył, będę pamiętał. —

Nic nie rzekł Tatar; z głową pochyloną

Stał

Widać pod szatą, że pracuje łono,

Że się płacz w sercu zatrzymany zbierał.

Więc Pan Borejsza:—Cóż to jest za ono

Stworzenie? cóż to za krymski jeneral?

Jam go nie widział wprzód, czy z niebios spada?

Czy nasz przyjaciel? czy po polsku gada?

Jeżeli gada, powiedz mu, że w Krymie

Został się jeden Tatarzyn z pod Waki,

Pan Abdulewicz; niech się o to imię

Rozpyta; poszedł gdzieś, jak zając w krzaki;

Może gdzie spity od haszyszu drzémie,

Może nas sprzedał za szczyptę tabaki,

.
.

Porzucać tak się wcale nie godziło

Braci w nieszczęściu, zostawiać ich w trosce;

Z jednej się razem szklanki nieraz piło,

W jednej się prawie wychowało wiosce...

Myślałem, że mój grób z jego mogiłą

Będą się widzieć, choć on miał dwurożce

Postawić sobie w straż u śpiącej głowy,

A ja oblany krwią—krzyż Chrystusowy.

Ale tak nie jest! odbiegł nas jak trądem

Rażonych, widząc, że Khan patrzy krzywo.

Sumienie własne niech mu będzie sądem;

Nie będę o nim gadał—bo to dziwo,

Że Tatar zdradził. Niechże się z wielbłądem

Błąka po stepach, i ma starość siwą.

Lecz kiedyś, kiedyś... oj! westchnie on z cicha

Do litewskiego stołu i kielicha!.....

Podczas tej mowy nieraz na rumaku

Wzdrygnął się Tatar. Raz już podniósł dłoni

I miał ją prawie na swoim kołpaku;

Myślał Borejsza, że mu się ukloni,

Lecz nie zdjął czapki. Potem, jak na ptaku,
Na koniu swoim, który rżał do koni,
Na blizkie piasku odleciał pogórze
I stanął w pyłu złocistego chmurze.

Tak uleciawszy od rycerzy kawał,
Pyłem omglony słonecznego blasku,
Znak pożegnania, wzniołszy rękę, dawał;
Kiedy się wojsko już grzebało w piasku,
Widział, jak z wału wychodzili na wał;
Słuchał dzikiego hord nękających wrzasku —
Znikli, on słyszał jeszcze, jak anieli
Niebios, gdy w stepach Alla hu! krzyknęli.

Alla hu! miłej krzyknęli ojczyźnie,
Idą na boje, gdzie los pędzi ślepy;
Może niejedna głowa się rozbryźnie
I koń powróci sam na złote stepy,
Gdzie go żrebięta powitają bliźnie
I palmy, niebios trzymające sklepy,
A pan zostanie pod brzozą wieśniaczką,
Która umarłych jest nimfą i płaczką.

Tymczasem Kaźmierz za wojskiem ostatni
Gonił, obzierał się często za siebie
I często patrzył, gdzie ów rycerz bratni
Stał, jako mara tęczowa na niebie,
A potem mniejszy, jak sztandar bławatni;
I słyhać było pod nim rżące żrebię...
Spojrzał ostatni raz pod słońca blaski,
A już ów rycerz jasny stał bez maski.

Lecz taka była czerwień i płomyki
W powietrzu, które z ziemi idąc parzy,
A tak daleko ze swymi łuczniaki
Już był Beniowski, że nie dojrzał twarzy;
Więc dogoniwszy swoje tylne szyki,
Spytał jednego z namiotowej straży
Kto był ów rycerz pożegnany z rana?
Ten odpowiedział: Syn Gireja-Khana.



PIEŚŃ XII-ta.



G

dy więc zabrano podstępem Ladawę,
Zamek się ten stał jak główna kwatery;
Obaczono tam orła pana Sawę,
Pułaskich obu i Dumuriera,
Wiele szlachcianek, które przez obawę
Kozaków, jako w powieści Homera
Strwożone nimfy przed młotem Cyklopów,
Zbiegły się, wołąc tę szlachtę, niż chłopów...

Była tam księżna Elżbieta, co ongi
Z księżciem saskim w wiejskim pałacyku
Widywała się... i przez swe pociągi,
Perły łez, tęcze uśmiechów — bez liku
Serc zdobywała. Inne dziwołagi
W kornetach, z kwiatem nawet na trzewiku,
Jako w Noego zeszły się korabie
W tym zamku — wojny zaczynając babie.

Jedna żądała Sasa... i fontazie
Robiła z, wstążek żółtych saskiej maści

I przypinała je, żółtej zarazie
Podobna. Druga miała do napaści
Szkaplerze tarte przy świętym obrazie
Lojoli. Trzecia, podobna przepaści,
Robiła vacuum wielkie, jako sfera,
Sama rządzona przez słońce Woltera.

Przy niej Wybicki pisał pamiętniki,
Nauce baby dziwiąc się... w rozpaczy,
Że się nie uczył w szkołach botaniki...
Nie takiej, która mówi, co kwiat znaczy,
Ale tej, która każdy listek dziki
Zwie po łacinie. Przez co się tłumaczy
Cała ówczesna Polska za nauką
Lecząca, jak dziś pan Hugo – za sztuką;

Jak Wagner, sługa Fausta, gap uczony
Któremu zda się, że już wiele umie,
A jeszcze słów są ogromne szwadrony,
Których rozumem swoim nie rozumie...
Słowem, zamek był szlachtą przepełniony.
Potrzeba było jak przy morskim szumie
Używać trąby akustycznej – aby
Powiedzieć jedną prawdę: że kraj słaby.

Szlachta uczona była na Alwarze
Przypadkowania i strachu herezy –
Przez ludzi, którzy nie patrzeli w twarze,
Ale na nogi; a zaś dla poezyi
Pisali złote i srebrne ołtarze,
Podobne pięknym balladom „Świtezi“
Lub „Dziadów...“ w których spotykał wyrostka
Nie Gustaw – lecz Jan Kapistran, lub Kostka;

Z kobiet zaś święta Tima lub Agnieszka
Z kleszczami, które rwą zęby. – Do róży
Poezji trudna bardzo była ścieżka;
Dla tego nikt nie przedsiębrał podróży.
Szlachcic, co w domku pod lipami mieszka
I Panu Bogu czasem szablą służy,
A czasem rąbał łeb przy trybunale –
Że poetycznym był... nie wiedział wcale.

Pułaski, który w szarej się czamarce
Po salach włóczył — a czasem przez wonny
Klomb lip wyprawiał na swym koniu harce,
Jakoby młody srebrny anioł konny,
Gdy pod lipami stały chłopcy starce
Kiwając łbami — że był jednotonny
W rozmowie, wśród bab stał zawsze zdaleka
I nie uchodził za orla człowieka.

Za to był pewien ksiązę Lubor młody,
Rumiany, pięknej postaci topolnej,
Który z Warszawy właśnie przywiózł mody,
Z Warszawy wówczas jeszcze bardzo wolnej.
Ten był brylantem najpiękniejszej wody
U pań, w dowcipie nakształt żupy solnej
Niewyczerpany, pełny zawsze szeptów;
Bo tyle miał par butów — co conceptów.

Z nim zwykle pani Dafnicka Sybilla,
Która umiała już język francuski,
Gadając piekła raka albo gila;
Choć mówią, że ją król szanował pruski
Z dowcipu. Jakoż raz (o! krotochwila)
Ksiązę dowodził jej, że polskie kluski
Zowią się wszędzie z drugiej Renu strony
Po towarzystwach wyższych: pedenony.

Z czego ją wtrącił w taki gniew, że z miny
Piorunem była, a ze wzroku furją;
Bo też już wzięła za wyraźne drwiny —
Nie za dowcipu różę, lecz nasturę.
Kluski nazwała larmami z faryny,
A księcia błaznem... bo sprowadził z gór ją
Wyższego tonu, i tonem Polaka
Przymusił zawsze bladą — upiec raka.

Tę panią zawsze wielkie myśli pasły
I książkowe ją napelniały strawy.
Książd ją spowiadał chudy, mąż ospały
Nie miał z nią bardzo dawno żadnej sprawy;
Zwykle chodziła jak wulkan zagasty,

Mając na głowie wielkie sople z lawy,
Których dostarczał ognisty Wezuwiusz;
Synka jednego mając, zwała... Fulwiusz.

Wystawcie sobie więc moją Aniele
W takim żalosem gronie ze swym tatkiem,
W którym się nagle, jak w starym kościele
Duch jakiś rzymski pokazał przypadkiem;
Mowy miał od tych słów: — Obywatele!
Upadających mocarstw byłem świadkiem;
Nie siarka niszczy je, ani saletra,
Ale niezgoda... pijaństwo... et cetra

.

Czasem nim buchnie wiatr, a czasem kłosa,
A czasem pies go usłyszy i stanie,
Naszoży uszy i najeży włosy
I warczy głucho. Czasem to śpiewanie
Usłyszy w stepach idąc żebrak bosy
I myśli, że to zebrana na łanie
Wróbli gromada śpiewa, harfa szara
Ptaszków — albo szum gruszy — albo mara...

Owiana takim śpiewem, słuchająca,
Patrz, bieży panna Aniela ogrodem,
A każdy z głosów ją aż w serce trąca,
Choć gorset, stanik złoty ma pod spodem,
Gorset ze złotej lany, w pół miesiąca
Pod samą szyją cięty; rannym chłodem
Mrozi ją nieco wiatr, ale jej nie czuć
Zimna, bo pełna pamiątek i przecuć.

Oh! te pamiątki! smutkiem, łzami wiszą
Na rzesach, i są ciężarem i cieniem,
I są na twarzy jakąś wielką ciszą,
I są jakoby jej czoła uśpieniem:
Gdy usta niby przeczuciami dyszą
I oświecają koralem, płomieniem
Jej twarz, i czasem zbiegają po licach,
Czyniąc widniejszy smutek — w błyskawicach.

Za nią na zamku wszystkie okna gorą,
Jak rząd płonących jasno meteorów.
Tam klomby, brzozy z osrebrzoną korą
Różane teraz słońcem; tam z kolorów
Małw — niby tęcz się zapala siedmioro
Okolo różnych posągów, upiorów
Dawnego świata; tam pomiędzy róże
Stoją rzezane marmurowe kruże.

Dalej staw; i tam zaczyna się miła
Zieleń drzew, głębsze wilgotniejsze cienie,
I Anielinek chatka, jak mogiła
Pamiętek, i to pod chatką siedzenie,
I ta gołębi chmura, w którą biła
Jutrzenka jak w mgłę białą; i wspomnienie
Siedziało nad tą chatką, jak Noemi
Lub Rut, spuściwszy włosy aż do ziemi...

Dziwnie, że czasem cały duch obrazu
Wymaluje się nam jako cherubin
I stanie w myśli widzącej od razu,
W oczach szmaragdy mając, w ustach rubin
I gwiazdę naksztalt białego topazu
Po nad warkoczem! jestto duch zaślubin
Z naturą, który nad Dźwiną i Preglem
Chodzi w surducie i zowie się Heglem.

Ale Aniela — do Heglistki wcale
Nie dorośnięta, bliższa Afrodyty
Pięknością — taka lekka, że na fale
Stawu wejść mogła, i staw nie rozbity
Nosiłby nóżki jej... Jestem w zapale!
I oto mówię, że piękność kobiety
Nie jest, jak mówi ksiądz, czartów ułuda,
Lecz może — w duchu będąc, robić cuda!

Lub sama przez się robić, lub się w drugą
Duszę przelawszy, być w niej siłą, mocą.
Zaczepną bronią w rękę i koleczuga
Sercu, i słońcem, które świeci nocą,
I panią razem i razem być sługą,

I nawet w świecie aniołów – pomocą;
Wdzięczność to cudna ducha nie obarczyć,
A świat dać, za świat stanąć i wystarczyć.

Aniela była taką duszą; ona
Z Beniowskim tworzy jednego rycerza
I bohatera





PIEŚŃ XIII-ta.

Kiedy panna Aniela wbiegła do Anielinek,
Wszystkie kwiatki ją młode owionęły zapachem,
Pszczołki zaczęły brzęczeć, źródła ją na spoczynek
Zapraszały i brzozy – a gołębie pod dachem
Turkać głośniej zaczęły – z jej przybycia radosne
.....

I zdawało się jakieś śpiewanie aniołowe
Nad chatą – może to brzóz rozczesane warkocze
Bijąc o ściany białe, lekko wschodem różowe,
Sprawowały te szmery bolesne i prorocze...
A chata świeciła się nakształt złotej pochodni,
Właśnie jak gdyby zleciał jakiś anioł przedwschodni,

I stanął na zieleni. A dalej mgłami siny
Gaik, który otaczał szmaragdową lewadę;
A około gaika malwy i georginy,
Jakbyś gwiazd aniołowych zapaloną gromadę
Widział w cieniu – tęczkami gaj opasywały,
Ptactwo dzwoniło w lutnie – i kaskady grały.

Panna Aniela widać, że listownie wezwana,
Biegła i otworzyła chatę swoją zamkniętą.
Ta była cała cicha, także wschodem rumiana,
A pachnącą rezedą wskrósł obsiana i mięta,
I ściany z cedrowiny dyszały mocną wonią,
A cichość była taka, że słyhać jak ronią

Za oknami Najady swe lzy, perła po perle,
I po skalach rzucają przezczyste dyamenty

Beniowski stanął przed panną Anielą;
Lecz jak zmieniony – ach, w jakim żupanie!
Jak żebrak – łokcie podarte się biela,
Guziki wiszą, buty... Boże Panie,
Jak wieloryby, kiedy się ośmiela
Wyrzeć nad morza błękitne otchłanie
I westchnąć – Taki... ach! czy moje usta
Wymówią? stanął nakształt drapichrusta.

Aniela zlekła się; bo nigdy w życiu
Nie wystawiała sobie bohatera,
Kochanka w takim okropnem rozbićciu
Majątku. A on, żaloszny kostera,
Stał przed nią... w straszmem bardzo nieutyćciu –
Pół Don-Kichota, a pół króla Lira;
Bowiem zupełnie był bez przytomności,
Jak Lir, a skórę miał tylko i kości,

Jak Don-Kichote. O! jeśli myślicie
Z Heglem, że czysta idea na świecie
Zjawiona, wszędy w swoim innobyćcie
Żyje, to w całym Ładawy powiećcie
Nigdzie w smutniejszym ona wołokicie,
Nigdzie na gorszej nie była dyjecie,
Jak w tym człowieku, ta idea czysta,
Z którą on cały wyglądał – jak glista.

I może nawet skutkiem tej idei
Czystej wychudł tak nieszczęśny nieborak,
Jako poeta, który wiersze klei,
A nie jest ani sekciarz, ani dworak.
A może też był w krainach nadziei,
Gdzie go zaniósła chuda klacz Elborak,
Mahometanka, którą dla igraszki
Borejko Litwin wprzął do kałamaszki,

Spotkawszy ją gdzieś koło Bałty?—nie wiem...

Ale to tylko wiem, że pan Beniowski,
Nie goniąc wcale pod żadnym modrzewiem
Za Świtezianką, miał butów podnoski
Podarte, albo spalone zarzewiem,
Jako u Danta, gdy ten śpiewak boski,
Emigrant jak ja, wpadł między straszdyła,
Co z kości miały pierś, a z ognia skrzydła.

Beniowski w krótkiej nadzwyczaj włóczędze
Poznał tajemnych rzeczy bardzo wiele,
Mówią, że spotkał jak Makbet trzy jędze
Na pustym stepie; że w starym kościele
Wszystko znalazłem w jednej dawnej księdze,
Którą na półkach (am oprawną w cieję),
Że w starym, mówię, kościele raz zasnął,
A w kościół lunął deszcz i piorun trzasnął

I bohatera mego jasne oczy,
Błękitne, wielkiem swoim płomieniskiem
Oćmił; ślepego chwycił duch prorocy
I zrobił widzeń złocistych igrzyskiem.
Khan Giraj chciał mu dać dziesiątek koczy
I zrobić wodzem nad tem koczowiskiem;
Ale odłożył to na czasy drugie,
Krótki w nim widząc wzrok, a myśli długie.

Borejsza Litwin potem go kaptował
Dla Radziwiłła; lecz mój Węgro-Słowak
Proroczym duchem Litwina zgruntował
I odpowiedział ni tak, ani owak.
Litwin jak ślimak zaraz rogi schował
I tak za... Coopera Pothowak
Utonął w gęste traw stepowych wniki
I ponurtował w swój las—w mateczniki.

Lecz pierwaj ostrzegł Khana, a prywatnie,
Po przyjacielsku, usta w samo ucho
Włożywszy; że się Beniowski w ostatnie
Zgrał i przed sądów ludzkich zawieruchą
Uciekł; dla tego na strzały harmatnie

Szedł tak odważnie i z taką otuchą,
Jak Achil; bo też z pod prawa wyjęty,
Nie mógł być ranny nigdzie, tylko w pięty.

Dodał, że to jest duch francuski, z duchów
W Polsce najgorzej uważany... nawet
Wyklęty; że jest takich wiele zuchów,
Więcej niż harmat w Nieświeżu bez lawet,
Więcej niż w Khana wojsku jest kozuchów,
Więcej niż w kłótni gorzkich słów wet za wet
(Przedrabowawszy wprzód Lindego słownik)
„Tygodnikowi“ oddał „Orędownik.“

Dodał, że każdy taki duch francuski
Jest pod klątwami wielkimi kościoła;
Że jeden się udławił, jedząc kluski,
A inni, chociaż wesołego czola,
Schną wewnątrz, jakby je kwas palił pruski
Albo Cyrcejskie zaraziły ziola
Świniną. – Nie mógł dociąć niczem lepszem,
Bo Khan Beniowskim wnet zbrzydził, jak wieprzem.

I gdy mój rycerz po spaleniu Bałty,
Na co Khan patrzył z wieży, klaszcząc w dłonie,
Myślał i roił – (o jak piękne kształty
Imaginacya ma, kiedy rozplonie
I rozumowi zadająca gwałty
Gmachy buduje na tęczy ognie!)
Gdy rycerz, mówię, mój już roi bosko
Z Tatarów – legią niby jakąś włoską,

Po jasnych polskich polach latającą,
Dębowych ciemnych lasów oboźnicę,
Chmurę, w której się blaski mieczów mącą,
Tak, że ją bierze chłop za błyskawicę,
A w nocy widząc, za chmurę idącą,
Co wszystkie niebios zabrała księżycę,
Zwinęła w jeden kłęb i mgławo płonie,
Miesiące w srebrne zamieniając konie...

Gdy marzył, mówię, że taką wiatrówkę
Z szarych złodziei i cichą harmatę

Będzie miał wkrótce na komenderówkę,
Gdzie zechce, całą narazi na stratę,
Zgubi w stepowym tańcu jak podkówkę,
Razem z nią legie burlaków brodate
Zgubiwszy tak, że (przechodzi mnie mrowie)
Ruski historyk, o niej... nic nie powie!

Gdy marzył, mówię, tak i rósł w niebiosa
Nadzieją przyszłej sławy: – aniołowie
Ugwiążdżonego nad nim stali włosy
I owej myślą stawianej budowie
Runąć kazali, strzelisz z ukosa
Słońcem po kolumn fantastycznych głowie,
Tak, że z rubinów wzięły blask niezwykle
I szmaragdami stały się – nim znikły.

Spyta mię teraz kto: czyliż nie lepiej,
Aby ci zacni aniołowie bozi
Pomogli byli ręce, która szczepi
Strach i śmierć – szabli, która wroga mrozi
I często krzyżem płomiennym oślepi,
Zrobiwszy z siebie krzyż i wiatr?... ambrozii
Gdyby nalali byli w życia czarę,
Nim usta stracą smak i w ten smak wiarę?

Czyliż nie lepiej, aby w trochę ciała
Oblekli byli marzenia młodości?...
O Trojo! jeszczebyś aż dotąd stała
Pełna cnót dziwnych, starych, – i miłości...
Jak dawny kościół cedrowy – spróchniała,
Gdzie jednak boża woń aż dotąd gości,
A często belka stara w oczach ludu
Rozkwitnie różą lub narcyzem cudu.

Bo i z tych starych łbów szablą naciętych
Mogłaby jeszcze wykwitnąć myśl duża,
Piękniej niż dzisiaj; bo jak z ducha świętych,
Większyby wyszedł kwiat, pełniejsza róża!
I na turkusie skrzydeł rozciągniętych
Mogliby swój duch za anioła stróża
Postawić światu, gdybyś ty był, Panie,
Aniołom twoim kazał mieć staranie

O tych dzieciątkach starych! A to oni
Nie pożegnawszy nas nawet, i woli
Nie zostawiwszy względem starej broni
I względem swojej puścizny i roli,
Odeszli... Ucho jeszcze nasze dzwoni
Brzękiem ich szabel, serce jeszcze boli
Bolem ich serca; lecz pełna zamętu
Myśl, bo odeszli nas – bez testamentu.

Któż słyszał jakie tajemnicze słowo,
Na którym stanąć mogliby synowie?
Wszystko śpi głucho pod deską grobową!
Kto co od trumien zasłyszał – niech powie,
A odbuduję całą Polskę nową
Na tem jedynem, tajemniczem słowie!...
Na tę myśl anioł się we mnie uśmiecha
A razem pełny łez... Cóż? nigdzie echa?

Nigdzie!! Tylko ten rym tętniący bieży,
Jakoby w rzymskiej ruinie kaskada,
Co skrzy i błyska i dymi i śnieży,
I płacze i grzmi i jęczy i gada –
I swój nimfowy włos tęczami jeży,
A spodem głązy powoli wyjada
I tak przy słońcu i tak w blask miesiąca,
Jak Chrystus... ciągle w sobie pracująca.

Więc pod tym grzmiotem, pod tymi kolorami
Jest dziwna, smętna praca; bo to nie to,
Że różne z myśli leją się upiory,
Że z pełną jestem wymyśleń kaletą;
Ale wierzajcie... zem rymu podpory
Podłożył sercem – i to moje veto
Przeciw fałszowi, kiedy duch mój rzuca,
To więcej mnie to kosztuje – niż płuca...

Otóż Beniowski mój powrócił z wschodu
Właśnie jak veto żywe, lecz obdarte
I biedne; doznał pierwszego zawodu,
Przewrócił tego świata pierwszą kartę
I przyszedł jako nędzarz do ogrodu
• Pokazać serce, które więcej warte,

Niż to, co za nie dawali na świecie
Ci, co kupują serca na tandecie.

Mroczny, wstydlivy, z pochyloną głową,
Po przywitaniach pierwszych rzekł: – hrabianko!
Przyszedłem wrócić tobie twoje słowo,
Oddać pierścionek; żadną odtąd wzmianką
Nie będę trzymał twych myśli – grobową
Ziemią zasypię oczy... Podolanko,
O! Podolanko piękna, bądź mi zdrowa!
Daruj, że w takim stroju, takie słowa...

Tu zaczął jąkać się, bo kawalerstwo
Żywo lękało się w nim jakiej wzgardy;
Daruj, rzekł dawne z twem sercem braterstwo,
Dawne twe łaski – a teraz los twardy
I moje, patrzaj, żebrackie żołnierstwo
I różne życia mojego hazardy,
Szczęście wczorajsze i ta, co mnie pędza
Po czarnym świecie, ta dzisiejsza nędza,

Gdy porównane w twojej myśli staną,
Może wycisną łzę, o moja pani!
Bądź mi na wieki teraz pożegnaną,
A nie idź za mną, bo ja do otchłani
Idę. – To mówiąc, twarz swą obłąkaną
Obracał wszędy, jakby go szatani
Ścigali, nawet nie dając pokoju
U stóp kochanki, przy brzęczącym zdroju

W pasiece leśnej. A do niego ona,
Z oczu zdziwionych czyniąc słoneczniki,
Bo słońcem była żrenica zatłona,
A rzęsy pełne pereł jak promyki
Świeciły w koło; a głos z głębi łona
Wychodził cichy, lecz straszny i dziki –
Co? rzekła, po toś przybył i mnie z domu
Kazał dziś witać siebie pokryjomu,

Abym słyszała, ja, która tak wiszę
W powietrzu, jako ta smętna kaskada,
Abym słyszała to, co teraz słyszę,

Że skała, z której ja lecę – upada?
Ty, coś mi sercem Czarnego Zawiszę
Przypomniał – ty wódz tego ludzi stada,
Ty, przez tę szlachtę z wszystkiego odarty,
Sam drzesz ostatek szczęścia? Cóż ty warty?

Powiedz! Więc i ty na sercu kaleka?
Nie mogłeś wiary zrodzić w serce moje?
O trup ty! stójże odemnie zdaleka,
Bo ja się próchna i robaków boję.
Cóż ja kochałam, kochając człowieka?
W cóż ja wierzyłam, wierząc w serce? Stoję
Jak nad przepaścią jaką – sama jedna
I opuszczona wiecznie – o ja biedna!

Gdy patrzę w oczy twoje, widzę jasno,
Że ty naprawdę żegnasz... Wieki miną,
Te gwiazdy, które dziś świecą, zagasną,
A nie odmieni się sercom, co giną,
Nic a nic! Lecz ty nie przez duszę własną
Tak postępujesz ze mną, z tą jedyną
Duszą, co tobie spadła jak z miesiąca –
Siostra i matka razem – i służąca.

Musi być jakaś okropna przyczyna
Tego rozdziału, tej bolesnej rany,
Którą mi dajesz w serce; bo ta sina,
Bo ta wychudła twarz i te łachmany,
Na które patrząc, strach mi głos ucina,
Są przecież ludzkie; a ty jak szatany
Zimny, choć oczy twoje łzą zabiegają,
Masz w skrzyjących oczach coś nieczłowieczego!

Powiedz mi, skąd ten blask i takiej dumy
Rys na twem czole? Co? tyś przeciw Boga
Wstał... Co? nie prawda? Słyszę jakieś szumy
W tym lasku, skąd na step wychodzi droga...
Choćbyś ty wodzem był upiorów dżumy,
Choćby na twoich piersiach była sroga
Śmierć, jako piorun przychodząca boży
Głowie, co na twej piersi się położy;

To kiedy patrzę na świata pustkowie,
Kiedy... a wszystko obejrzałam wzrokiem,
Czuję, że to jest jedyne wezglowie
Ta pierś oblana moich łez potokiem...
Tu na kamieniu tym żalostną głowę
Pozwól położyć – reszta jest obłokiem,
Reszta jest niczem – ten świat, ziemia cała...
Jękla, przegięła się w pół – i omdlała.

Beniowski w trudnej bardzo pozyturze
Stał, bo ją trzymał w pół upadającą,
I razem słyszał, jak się leśne róże
Ruszyły, uczuł i mróz i gorąco –
Usłyszał bowiem szelest, i na wzgórze
Podniósłszy oczy, spojrział – na patrzącą
Parę schowaną w kaskadowym pyłe
I w różach... ujrzał Dafnicką Sybillę

Z księciem Luborem! Wnet poszedł do głowy
Po rozum i choć, zda się, nie wart grosza,
Żebak – postąpił jak hetman niżowy,
Ludzi dobywszy sobie zaraz z kosza;
Wystrzelił, a na strzał pistoletowy
Zbiegła się jakaś okropna wołosza
Różnego stroju, barwy, różnej broni,
Ludzie, od których człek uczciwy stroni.

Ci wszyscy, słuchać nauczeni gościu,
Poszli na wzgórze; i po krótkiej chwili
Brzęku, bo książę bronił się – szelestu,
Bo się trzepała leksza od motyli
Pani Dafnicka: dawszy we czterdziestu
Radę i księciu i pani Sybilli,
Jako rycerskie pozwalały czasy;
Z parą swych jeńców żywych – poszli w lasy.

Za nimi poszedł Beniowski, a krzywa
Zda mi się, bardzo teraz jego ścieżka!
A przy Anieli sennej niańka Diwa
Płakała. – Taka w tym kraju zamieszka

I taka była wówczas nieszczęśliwa
Krwiaż zamięszana różnych żądź lemieszka,
I taki rycerz mój, co po buzdygan
Idąc, zaczynać musiał, jako Cygan.



PIEŚŃ XIV-ta.



I.

W złotej Ladawie dopiero wieczorem
Spostrzegła szlachta, że pani Sybilla
Z księciem, którego nazwano Luborem,
Zniknęła. Oknem patrzano co chwila,
Czy gdzie nie widać ich zajętych sporem
O wiersz Homera, Danta lub Delilla;
Ale nie, nigdzie o nich ani słychnu...
Liście w ogrodzie szeptały po cichu.

Ale w tych szepciach, co się anielskimi
Wydają, kiedy brzoza z brzożą gada,
Żaden szepc głośny dźwięki francuskimi
Nie szepnął. Więc żart powiedział nie lada
Każmierz Pułaski, że ucho do ziemi
Po wojskowemu przyłożyć wypada
I słuchać. Na to księżna rzekła sucho,
Aby przyłożyć do księżycy ucho--

Bo pewnie na nim są. Więc Amfitryjon
Starosta bardzo przytoczył ciekawie
To, co o żonach rzekł filozof Bijon:
Że jeśli piękną weźmiesz, toś w obawie;
A jeśli brzydka, toś unieszczęśliwion...
Dylemma, które w wielkiej było sławie
Za Jezuitów, w filozofii klasach,
Bo myśl w niem chodzi tak, jak na zawiasach.

Jednak zaczęto się lękać, gdy stary
Zegar już dzwonił dwunastą godzinę,
A szlachta wina dolawszy do miary
Była w fantazyi... zdjąć pozłotowinę
Z księżycy, lub wsiąść zaraz na bajdary
I przez Dniepr płynąć albo też przez Dźwinę
Po szóstą świata część, której odkrycie
Przeczuła – łowiąc muchy po suficie.

I nie dziw, bo świat ich już był opalem
I tęczą, i gwiazd pełną i promieni,
Za którą złota stała Jeruzalem
Drzew szmaragdowych pełna i kamieni,
Z których jeden jest męczeńskim koralem
I ciągle od krwi polskiej się czerwieni;
A bramy, co się przed polskimi berły
Odemkną, z lży są jednej, z jednej perły.

Takie się miasto z nich każdemu śniło,
A każdy widział podobnie, jak drugi.
Najbliżej bram był szlachcic Poletyło,
Który pod stołem już leżał jak długi
Od lotu, widać, nazwisko mu było,
I dotąd, widać, pradziada zasługi
Lotne działały w synie, że uderzał
Skrzydłami o strop – gdy pod stołem leżał.

.
.
.
.

II.

A w grotach były światła zapalone,
Tak że się z każdej lala jasność żywa
Wodzie, i słupy rzucała czerwone
Po stawie, co się wahał jak oliwa.
W jednej z grot jako Walkiryje szalone
Stały trzy wiedźmy, i staruszka Diwa
Natkawszy szarej do włosa szalwii,
Z wielkim pieniądzem na czerwonej szyi.

Ta coś wróżyła – a szlachceice starzy,
Siedząc przy dzbanach cynowych, słuchali;
Panna Aniela, widząc tych husarzy,
Ten ogień, wiedźmy – a to wszystko w dali
Jeszcze straszniejszej nabierało twarzy –
W podskalnej, drzewy ocienionej sali
Zlekła się; dziewczęcę drżącą wzięła ręką
I całą grotę obesła z Helenką.

I tak obiedwie strwożone dziewczeczki,
Obiegwszy grotę, zbliżyły się do niej
Przez inne kręte i ciemne ścieżeczki,
Brnąc po pas w różach, lilijach, lewkonii;
I pod most weszły bardzo małej rzeczki,
I tam – w lilijach podobna Dziewonii
Hrabianka rzekła: – Tu nam doskonale,
Ale co dalej robić, nie wiem wcale.

Na to Helenka: – Ja tam, panno droga,
Muszę pod sosną być, gdzie pan nadjedzie.
Wielka to bardzo dla mnie biednej trwoga,
Bo może kogo on z sobą przywiedzie.
Wtenczas nie ujdzie ani jedna noga,
Będą strzelali... a ja tam na przedzie
W mojej jaskrawej zaścierce stojąca
Kulom jaśniejszą będę od miesiąca...

Ot serce mi tak przewidując puka,
Jakby mnie oni mieli trafić kulą.
Myśl we mnie dawnych smętnych piosnek szuka,

Które ja w chacie śpiewała z matulą.
Oj! jeśli mnie ta wróżba nie oszuka,
Każ mnie panienka śmiertelną koszulą
Okryć i grzebać ze świecami jasno,
Jakby ja była ptaszką twoją własną.

Każ mnie tam, panno, pogrzebać pod gajem,
Gdzie my chodziły często po czernicy;
Bo już nie przyjdę więcej z korowajem,
Nie ustrzygą mi włosów młodyce...
Na to Aniela: – Więc tu nad ruczajem
Zostań, ja pójdę tam, zakrywszy lice;
A ty idź, powiedz, niech piastunka Diwa
Wcześniej z tą szlachtą ratować przybywa.

– Nie! tak nie można, rzekła tamta druga.
On pozna pannę po jedwabnym stroju;
Niech już ja na to odważę się, sługa,
W białej koszuli, w malinowym zwoju.
Panienka nie wiesz, jaka męka długa,
Jako nie można twarzy obmyć w zdroju,
Jako wstyd długo rumieńcem maluje,
Gdy pan obejmie stan i pocałuje! –

– Dlaczegoż ty masz...? krzyknęła Aniela,
A potem rzekła: co? czy nie masz noża?
Ja ci przysięgam w imię Zbawiciela,
Że gdybym sama była wśród rozdroża,
A była za mną przepaść i topiela
Pełna gdzieś na dnie ognistego morza,
Skoczyłabym w nią prędkiej, niżby kto mię –
Nie, nie – nie można żyć po takim sromie!

Nie idź tam, ja ci zakazuję, proszę,
Helenko moja, nie idź! – Na to ona:
Z konia nie zsiędzie to złote panoszę,
Szabli nie rzuci i szlachtę pokona.
Niech już ja, panno, mój wstyd sama noszę,
Złoto ja wzięła – ot mi z pokołona
Brzęczą pieniądze jego; ja bogata,
Złotem i wstydem wykupiła brata...



W. PAWLISZAK.

BENIO WSKI.

Na to Aniela: – W imię Pana Boga,
Ja mu to złoto czarne oddam sama!
Panie Branecki, wykrzyknęła sroga,
Otworzy ci się nasza dworska brama!
Przysięgam, wyjdiesz, i więcej twa noga
Tu nie postanie! to twój ślad, – to plama –
Helenko, razem pójdziem pod sosenkę...
To mówiąc już szła i wlokła Helenkę.

Było maleńkie w Anielinkach wzgórze,
Gdzie jedna sosna między inne drzewka
Złocistsze, między kaliny i róże
Weszła i stała, jak smutna Litewka...
Tam było miejsce pod drzewem nieduże,
Strumień i jego szemrająca śpiewka,
Dobrze obrane miejsce na dziewiczą
Schadzkę, z Egeryą jaką tajemniczą.

Gdy się zbliżyły, ujrzały zdaleka
Dwóch konnych: był to pan Branecki w burce
I przy sobie miał drugiego człowieka,
Z którym rozmawiał o starosty córce.
Ona słyszała, jak on ją wywleka
Z komnat dziewiczych; jak myśli jaszczurce,
Pozwala łaźić po niej; jak ją plami,
Mówiąc o wdziękach brudnymi ustami.

– Co myślisz, mój ty Dzierżanowski? rzecze;
Czy w Indyach, twoje mustrując Cypaje,
Widziałeś jakie oko, co tak piecze
I tyle ognia pod spojrzeniem daje?
Jeśli tu z naszych szponów kto uciecze,
Król powie, żeśmy obydwu mazgaje,
Żeśmy tu poszli szukać tylko sińca,
A nie przywieźli żadnego gościńca.

Na to pan Dzierżanowki, kłamca wielki,
Lecz człowiek tylko zepsuty w połowie:
– Ja trzymam tylko się każdej butelki,
Bom w Indyach stracił tę rzecz, co się zowie
Miłością. Miałem harem i ród wszelki,

I przynieśli mi syrenę Bonzowie,
Co miała ogon rybi i dwie twarze,
A sam uczyłem ją grać na gitarze.

Otóż kiedy mię raz uśpiła śpiewem,
Śpiewając jako maleńkie słowiczki –
Było to, pomnę, pod korkowem drzewem,
A nauczyłem ją jednej kantyczki –
Otóż widząc mnie, że śpię, w rękę lewem
Mając gitarę, a w prawem nożyczki...
Branekki przerwał: – Podcięła jak szczygła!
Czemuż języka tobie nie ustrzygła?

Ja ci o ważnych rzeczach, mój Dzierzasiu,
Gadam, a ty mi znów kłamiesz bezczelnie,
Jak tam się w jakimś kochałeś karasiu;
Gdy strzelasz, strzelajże przynajmniej celnie...
Lecz co to widzisz tam na pozalasiu
Jakieś światełka. Cóż to mojej Elnie,
Że nie przychodzi? Czy bierze z migdałów
Wannę?... słyszałeś? co to? kilka strzałów!...

Zda się, że gdzieś tam we dworze strzelono.
Czy nie słyszałeś nic? Dalibóg, bójka!
Ty jedź do zamku, a ja inną stroną.
Kaź, niechaj w bryczce będzie moja trójka...
Patrz, patrz, patrz! brzozy po za nami płoną!
Dobrze, że drutem podszyta ta czujka!
Jedź! lepiej, że dwie obierzemy drogi –
Strzelają – słyszysz, mój Dzierzasiu? w nogi!

To rzekł i rzucił się na bok w gęstwinię,
Gdzie mu gałęzie od drzew zawadzały.
Wtem... pannę spotkał i białą dziewczynę
I cofnął od nich konia, choć był śmiały.
Myślał, że duchy po księżycu sine
Na drodze jemu zachodzą od skały;
A one obie także, jak łabędzie
Śród brzoź czekały strwożone, co będzie.

.

Panie Branecki! slyszałam i sądzę
Tak, jak są warte, twe brudne obmowy.
Helenko, rzuć mu w oczy te pieniądze!
— Na to on, wcale nie straciwszy głowy:
Gdzież to hrabianka błdzi?—Ja nie błdzę,
Rzekła, lecz przysłałam ci mój próg domowy
Pokazać palcem, byś szedł precz z dziedzińca
Do twego króla pana, bez gościńca!

Branecki zaśmiał się:—Hrabianko moja,
Dalibóg, gdyby spokojniejszą chwilą,
Przyłgnałbym tutaj, jak pasterz u zdroja,
I pasł twe trzody. Teraz wdzięków tyła
Strwożony więcej, niż napadem zbója,
Drzę.—Tutaj ujrzał, że się drzewa chylą,
Że wypadają ludzie... Porwał w rękę
Szablę, a w drugą porwawszy Helenkę,

Bo była bliżej, posadził na siodle
Przed sobą, i z nią cofał się w gęstwiny;
Tak zasłoniwszy się od strzałów podle,
I mając puklerz z krzyczącej dziewczyny,
Jak rycerz, który ma na tarczy w godle
Pannę—w rumiane konia pchał kaliny;
Zawsze ku ludziom zwracając jej łono,
Miał znikać w gęstych krzewach... wtem strzelono!

Kto strzelił pewnie teraz tego dzieła
Żałuje! bo po strasznym, głuchym strzale
Nie on... lecz ona na koniu krzyknęła,
I głos jęczący jej odjęknął w skale...
Potem gąszcz wszystko liściem owinęła:
Rycerz, dziewczyna, koń w kwiatowe fale
I gęstwę wpadli, a księżyc za nimi
Bił w czarne drzewa mieczami srebrnymi.

Nie człowiek, zda się, lecz wielka jaszczurka
W powiewną falę mórz zielonych wpadła.
Wnet dziarska szlachta dała za nią nurka
I krzewy na bok rozdzielając kładła;
A gdy zniknęli—to starosty córka

W ciszy, na mszonym kamieniu usiadła
I przerywała czasem swe koronki
Nabożne, głośno wołając piastunki.

Wtem wyszła z gęstwin tych zabójczych Diwa,
Niosąc na ręku Helenkę bez ducha,
W drugiej garść wielką smolnego łuczywa,
Z której dym czarny i ogień wybucha...

Aniela wstała:—Co? czy jeszcze żywa?

O! niech mię Pan Bóg na niebie wysłucha!
Niech ona żyje!—i dotknęła ręką
Leżącą u nóg—Helenko! Helenko!

Helenko! woła, budząc ją—nie wstała
Dziewczyna na to serdeczne wołanie.
Więc panna widząc, że dziewczeczka spała
I tak anielskie miała ciche spanie,
Ust przybliżyła i pocałowała;
I rzekła potem cicho:—Chryste Panie,
Jakże ją do mnie ta śmierć przybliżyła!
Zda mi się, że to moja siostra miła...

A Diwa:—Tobie ta śmierć przeznaczona
Była! taj dobrze, że ją wzięła sługa.
Od rana ja dziś chodzę, jak szalona,
Taj Siekierycha w chacie jest, i druga;
Izba jałowcem stoi wykadzona,
Mój mąż do trumny deski, kołki struga,
Pogrzeb gotowy od ranku białego,
A Bóg, co dał sen, dał i umarłego...

Idy do zamku, panienko! tam stary
Nie wie, co robić, i pieniądźmi dzwoni...
Oj! miałyby ty w zamku srebrne mary,
Gdyby nie ten duch biały, co cię broní
Idy, panienko, a tu jak świt szary,
Przyjdź, mając kwiaty zaszeptane w dłoni
I przynieś jaką tam starą sukienkę,
Co tobie krótka, zda się na Helenkę.

Rzekła; i wzięła znów z jasnej murawy
Ciało, które się łamało na dwoje.

A panna poszła do dworu Ladawy
I zaraz weszła na wielkie pokoje.
Ojciec jej siedział wśród ciemnej kurzawy
I zaraz do niej: – Miłe dziecko moje,
Prezentuję ci bohaterów młode –
Ci, którzy tu nam wracają swobodę...

Oto jest sławny już dawno z imienia
Pan Kossakowski – podobno, żeś rodem
Z Litwy? – to wcale, wierz mi, nie odmienia
Mojego serca; przyjmę cię miodem
Litewskim. Dojdiesz pewnie do znaczenia,
Świecąc jak słońce Litwie takim wschodem!
Dusza Waćpana moją duszę zgadła –
Córko! każ zmienić w izbach prześcieradła.

DODATKOWE LUŻNE URYWKI

niewiadomo do której pieśni należne.

.....

O! ileż razy mamy takie czucie
Poetyczności przyszłej! o jak cudna
Ta błyskawica, co nas w jednym rzucie
Przenosi za grób, ale jak obłudna!
Trzebaż, ażeby przeszło ciało zepsucie
I kości ziemia rozebrała brudna,
Aż z duszy, z życia i z wypadków ciągu
Uderzy białe światło, jak z posągu?

W tym wietrze rannym, co we włosy wieje,
W tem słońcu złotem, co ci oczy razi,
W tej wodzie Bohu, co się wiecznie leje,
W tem niebie, które żaden dym nie kazi,
W tej róży polnej, co się na świat śmieje,

Jest ziarno nudy, co się przeobrazi
W ziarno tęsknoty, gdy myśl zwiednie młoda
Jak róża, i upłynie – jak ta woda.

Myśl się w ten błękit nieskończony wgryza,
W tę ozłoconą ziemię się zacieka,
Jakby w niej spała uczuć Heloiza;
Która na trupa kochanego czeka
Na łożu z jasnej róży i narcyza...
We śnie, gdy z trumny jej podniosą wieka,
Otworzy ręce ta grobu odźwierna
Spokojna, chłodna, zmarła – ale wierna.

Któż nie ma w ziemi miejsca w jakiej trumnie?
Chyba przekłęty, lub nadto wysoki,
Podobny smutnej na polu kolumnie,
Co tylko głową gwiazdy i obłoki
Kochała, zawsze wyglądając dumnie,
Chociaż jej siostry upadły w potoki
Cefizu, i tam leżą w modrej fali...
Lecz kto tak dumnie żył, czemuż się żali?

Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła; niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu,
I słyhać jęk szatanów w sosen szumie...
Tak żyłem. Teraz widzę pełen sromu,
Że mam łez pełne oczy; lecz je tłumię
I nie chcę wyznać, że mi przed mogiłą
Z aniołem śmierci żyć, tak straszno było...

Lecz to już przeszło; widma poznikały.
Do ciebie, matko moja, twarz obróć;
Do ciebie znowu, tak jak anioł biały,
Z obłądnych krajów położyć się wróć
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,
Lecz bez łzy próżnej. Obojętnie zrzucę
Resztę nadziei, zwiedzionych przez losy,
Jak liść, co we śnie upadł mi na włosy...

Odbiegłem ciebie w szaleństwa godzinie;
Lecz ileż razy z fal i mórz i burzy

Patrzałem na twój cichy dom w dolinie,
Jak człowiek, który myśląc oczy mruży,
Myśląc, że myślisz o mnie, o twym synie,
Który nieszczęścia bogu wiernie służy,
Lecz bez nadziei, łzami twemi żywy,
Jak Chrystusowe w Ogrójcu oliwy

Z błogosławieństwa twego miałem blaski
Gwiazdom podobne i cień w puszczech Gazy...
Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnej laski
Rył imię twoje; tam gdzie same głązy,
I słychać tylko fal libijskich wrzaski
Eschylofskimi budzone wyrazy,
Echa sływały twoje święte imię
I sływał je on laurów las, co drzémie.

I nad potokiem Elektry tyś była
Ze mną! Na każdym miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, o moja miła –
Wszędzie, gdzie w polach bieleją się kości
I woła głosem rycerskim mogiła
O zemstę – wszędzie, gdzie człowiek zazdrości
Umarłym i chęć śmierci duszę pije;
Tyś była ze mną, jam cię czuł – i żyję.

W Romie podobny głos twemu głosowi
Słyszałem; anioł życia zadrżał we mnie!
Aniołowie mi ciebie nadpalmowi
Pokazywali świecącą przyjemnie
W gwiazdach, tam gdzie był żłobek Chrystusowi,
I anioł życia smętny wyszedł ze mnie,
Chcąc ręką dotknąć o twe serce krwawe
I ból swój stłumić pozdrowieniem: Ave!

Wszędzie miłosne twoje oddychanie
Liczyło mi czas, cò upływał w ciszy;
W tych strofach jeszcze – kiedy rym ustanie –
Niechaj czytelnik na końcu usłyszy
Moje twych biednych stóp pocałowanie,
Bo łez nie sływał

.
.

Pieśń tę zostawiam wiekom, które mają
Potężne ręce i potężne głosy.
Niech jej w niebiosach głośniejsz dośpiewają,
Niż ja, kończący tu bolesne losy...
Anioły moje już przybiegły zgrają –
Tłuką mi serce – targają mi włosy
I nazywają już wielką osobą
I szepczą... i już zapraszają z sobą.

Bądźcież mi zdrowi, moi tegocześni
Bracia – tem tylko różni od śpiewaka,
Żeście lub mędrsi, albo mniej bolesni.

.....
.....
.....



PODRÓŻ DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Z NEAPOLU.

POEMAT NIEDOKOŃCZONY.



PIEŚŃ I-sza.

WYJAZD z NEAPOLU.

uzo mdlejąca z romantycznych cierpień,
Przybądź i pomóż! Wzywam ciebie krótko,
Sentymentalna, bo kończy się sierpień,
Bo z końcem sierpnia i koniem i łódką
Puszczam się w drogę przez Putlią, Otranto,
Korfu... Gdzie jadę? powie drugie canto.

Tymczasem pierwsze opowiadzieć musi,
Skąd się wybrałem, po co i dla czego?
Chrystusa dyabeł kusił, i mnie kusi;
Na wieży świata postawił smutnego
Życia nicością, i pokazał wszędzie
Pustynie, mówiąc: „tam ci lepiej będzie.”

A jednak, gdyby mniej pamięci bólu,
Zachceń i marzeń, a więcej rozsądku;
Toby mi dobrze było w Neapolu,
Gdzie przed oknami na prawym przylądku
Widziałem szare więzienie stolicy,
A zaś Wezuwiusz górą, po lewicy.



Błękitne morze pomiędzy więzieniem,
A między górą popiołów i lawy
Czekało ciche, aż góra płomieniem,
A konstytucją buchnie wulkan prawy.
Tak było niegdyś, nim się na Francuzów
Król i Fra-dyabeł ruszyli z Abruzów.

To jest za króla ruszał się kardynał,
Za kardynałem Fra-dyabelska banda,
Ta rozgrzeszała, rak czerwony ścinał
W imieniu Boga, Papy, Ferdynanda;
Gdy zaś wyrąbał do Kyrie Elejson
Litanią świętych, wyręczył go Nelson.

Mówiłbym dalej, ale „Pan Podstoli,“
„Dziady,“ a zwłaszcza tych „Dziadów“ część czwarta,
Uczą porządku w opowiadani roli,
Rysując proste ścieżki. Więc do czarta
Mego pegaza wyskoki, i liczne
Opowiadania semi-historyczne!

Więc do porządku! A jednak mię boli
Dawać odsyłacz do pana Coletty,
Gdzie opowiada, jak trup Caraccioli
Z łańcuchem u nóg na morzu... Niestety,
Przyrzekłem trzymać wędzidło na pysku
Apolinowym. Lecz powiem w przypisku.

A jeśli drukarz znajdzie, że do treści
Z podróży wątkiem zlewa się przypisek,
To go pod strofą poprzednią umieści,
Zmazawszy parę skrzyżowanych kręsek,
I nie dozwoli by za gwiazdek tropem
Czytelnik gonił z Herszla teleskopem.

Przypisek winien być pisany prozą,
Lecz ja nie mogę pisać, tylko wierszem.
Ktoby pomyślał, że mnie rymy wiozą,
Że sobie konno usiadłem na pierwszym,
A za mną drugi jedzie krok za krokiem
Rym z parasolem, z płaszczem i z tłómokiem.

Wierście mi jednak, że lepsza od rymu
(Dla śniegów jechać nie mogłem przez Turyn)
Para mnie gnała z Marsylii do Rzymu;
Do Neapolu zaś przywiózł veturyn.
Carozze jego i cabrioletti
Zalecam wszystkim – zowie się Paretti.

Zalecam nowy hotelik Vittoria,
Który staremu nie ująwszy sławy,
Tak się podzielił famą, jak cykorya
Wmięszana zgrabnie do mokańskiej kawy,
I marmurami, wygodą i lukszem
Ze starym idzie, jak Kastor z Polluxem.

Zalecam także (zostanę Astolfem,
Bo mój hipogryf staje się skrzydlatym),
Zalecam tobie mieszkanie nad golfem
Na świętej Łucyi; a jeśliś bogatym,
Jeśli ci kura złote nosi jaja,
Mieszkaj przy Villa Reale, na Chiaja.

Dosyć już, dosyć! Wyznaję ze wstydem,
Że pohamować nie umięjąc weny,
Z wieszczą zostanę prozaicznym gidem;
Ja, com zamierzał wypłakiwać treny
Nad Caracciolim i kłąć Ferdynanda,
Dziś piszę, jaka gdzie stoi lokanda.

Bo też kto dzisiaj jest na stałym łądzie,
A jutro myśli wędrować po morzu,
A pozajutro jeździć na wielbłądzie,
Nie jędząc mięsa, ani śpiąc na łożu;
Chciałby Europę, co mu z oczu znika,
Unieść jak Jowisz przemieniony w byka.

.....
Gdzieś porównanie podobne w Szekspirze
Na Niderlandach kończy się zamknięte...
Lecz ja wyjeżdżam pod Golgoty krzyże
Po święte myśli i szkaplerze święte,

Więc przed wyjazdem robię ślub niezłomny,
Że będę nieco zabawny – lecz skromny.

A jeśli kiedy mój przyjaciel Szekspir
Na złą myśl zagna rymy buntownicze,
Położę jaki suspir albo expir;
Z muzyki – znaku milczenia pożyczę
I muzę moją w rymowym balecie
Na zakręconym wstrzymam piruecie.

O Neapolu! ty nie pożegnany
Czekasz, aż ciebie pożegnam epicznie.
Jak biała Wenus, urodzona z piany,
Wyszedłeś z morza zapłoniony ślicznie
Skrawami słońca zachodniego łuny,
Cichy, pod górą, co ciska pioruny.

O, Neapolu, gdzie jest twoja dusza?
– Bo duszą twoją nie jest ruch i życie! –
Patrzę na ciebie z grobu Wirgiliusza,
A ty na niebie i na fal błękicie
Tak roztopiony w zorzy malowidła,
Jak upuszczona na brzeg bańka z mydła.

O, Neapolu! wieczorne wyziewy
Twym są rumieńcem, twe dymy są tęczą.
Harmonizujesz się tak, jako śpiewy
Z ciszą powietrza; tve dzwony nie jęczą;
A twój domami okryty pagórek
Ma białość lekkich na błękicie chmurek.

Tylko po Chia i po Margelinie
Idą przeciwne sobie dwa rynsztoki;
Rój mrówek lezie i rząd karet płynie,
Wszystko się rusza. Grób wieszca wysoki
Właśnie tam stoi, dove fa il torso
Ulica; – z grobu patrzałem na Corso.

A choć przejeżdżał w prześwietnej osobie
Królewic mały, choć mu się rój kłaniał,
Jam się nie skłonił; bom siedział na grobie.
Masztalerz jechał i kijem rozganiał

Mrówki idące w przeznaczenia drogę
Z królewicami... gdzie? zgadnąć nie mogę.

Choć bardzo lubię filozofię Kanta,
Gniewam się na nią, że ludzi nie uczy,
Gdzie iść po śmierci. Wołę piekło Danta:
Właśnie je czytam podług nowych kluczy,
Które przyczyną może będą schizmu
Mówiąc, że Dant chciał republikanizmu

I w poemacie używał języka
Sekretnych związków. A gdy tajemnicze
Kładł majuskule, to podług krytyka
Na końcu rymu położone B. I. C. E.
Wcale znaczyło co innego w pieśni
Niż Beatricze. Wam się o tem nie śni!...

A ja dowodzę, że Dant o kochance
Nie śnił, a jeszcze mniej śnił o Vororcie
Albo Konwencyi—i nie topił w szklance
Cesarza Niemców, i w piekła retorcie
Nie smarzył rządu lepszego, co przyjdzie,
Jak niegdyś Platon kiep na Atlantydzie.



Z grobowca wieszczka widzę, jak nad głową
Wulkanu księżyc wysunął się biały
A u stóp góry Castello dell'Ovo,

Zamek podobny do sterczącej skały,
Gmach, co się trzyma przez królewską wolę
W morzu, jak jaje Kolumba na stole—

Zczerniał przy fali migającej złocie;—
A gdy na niebie szafirowem ze dna
Gwiazd zapalonych wychodziły krocie;
I z okien zamku błysła gwiazda jedna
Czerwona, rubin zamglonych błękitów,
Siostra błyszczących gwiazd—u Karmelitów.

O gladyatory, wydarcy ludowi
W godzinie zgonu i mrący na słomie!
Idę powiedzieć o was Chrystusowi
Pod Jego Krzyżem, w Jego męki domie;
Idę zapytać głośno w Oliwecie,
Gdzie się zbudzicie i zmartwychwstaniecie?

I tam gdzie Chrystus zapłakał sam w sobie,
Z oliwy bladej gałązki rwać będę;
A jeśli znajdę, że już śpicie w grobie,
Liściami płaczu posypię tę grzędę,
Pod którą będzie cichy sen grobowy—
Kości bez czaszek i trupy bez głowy.

.....
Żegnam i ciebie, o garsteczko prochów
Leżąca zawsze pod laurem klasycznym;
Turkot powozów z Pauzylipu lochów
Woła pod tobą hymnem romantycznym,
Że sława przejdzie, a bryki nie przejdą,
Że ta bryk droga jest wieku Enejdą...

Most pod Tamizą jest kupców Iliadą—
I wiele będzie do sprzeczki powodów,
Czy jeden Rotszyld, jak wieszcz nad Helladą,
Czy też brzęczących kompania Rapsodów
Autorem mostu, gdzie w oknach przez szyby
Anglikom się w twarz przypatrują ryby.

Lecz niech mię ciemność Erebu ogarnie,
Jeśli okłamię Pauzylipu grotę!

W ciemny korytarz spadają latarnie –
Jedna za drugą, jak gwiazdeczki złote;
A tam, gdzie nikną i gdzie ciemność krucza,
Światło dnia wpada, jak z dziurki od klucza.

I jeszcze wyżej wzniosłszy się na duchu,
Powie ci muza w opisaniach szczytna,
Że na uwitym z latarni łańcuchu
Zawisła mała gwiazda dnia błękitna,
A w tej gwiazdeczki lazuruwem łonie
Rodzą się ludzie, powozy i konie.

Rodzą się, rosną i w latarni błyskach
Idą, większejąc długim korytarzem.
Jeżeliś nie był w romantycznych spiskach,
A jesteś przyszłych wulkanów malarzem,
Tu, nie lękając się dyb i powroza,
Zbieraj modele, jak Salvator Rosa.

Lecz chodźmy w miasto! Już księżyc wysoko,
A golf ubrany latarni przepaską.
Stolico! gdzie nikt nie myśli głęboko,
Gdzie zabroniono nawet myśleć płasko,
Niech twój rząd stworzy jakie słowo święte,
Na niemyślenie, jak na far-niente!

Dyogenesów lud rynku zasiada.
Czego chcesz? pyta wolność Lazarona:
Zejdź z mego stońca – nędzarz odpowiada.
Jeżeli nie ma karlinów, to skona
Z głodu i pójdzie do łódki, gdzie Charon
Dusze przepławia... wolność? czy Lazaron?

Wolność!... Już dla niej uszyto symarę
Z gazet „Giovine Italia...” Lazaron
Będzie żył, póki ma frutti di mare,
Niebo błękitne i żółty makaron,
I koszyk, w którym leży jak ostrzyga.
Pytasz się, co w dzień porabia? – dościga!...

A młodzież lepsza, co ma grosz w kieszeni,
Tytuły contów i w oknach firanki,

W cieniu dopiero się ledwo zieleni...
Kto temu winien? – Neapolitanki!...
One to winne, że się lud nie budzi;
Bo kto z młodzieży umie robić ludzi?...

Ja wiem, że wiele winienem kochance;
Sama po włosku uczyła mnie czytać,
Improwizować (ale nie przy szklance),
Brwi smutnie marszczyć, we śnie płakać, zgrzytać,
Na Archipelag uciekać po laur
I awantury – jak Korsarz i Giaur.

Ona uczyła mię chodzić, jak scenarz,
(Lepsze niż aktor słowo niech zostanie),
Wmówiła we mnie, że zamiast Ojciec nasz
Lepszą modlitwą... księżycy-wzdychanie;
Dziś mię nawraca bez żadnego skutku
Na katolicyzm... mam religię smutku!

I odpisałem... co? już nie pamiętam –
Coś odpisałem, lecz nie tak gorąco
Jak Russo – ani tak sucho, jak Bentham:
„Jako dwie skały, kiedy je roztrąca
Strumienie rzeki, choć je nurt rozdziera,
Patrzą na siebie niebem“ et cetera.

I znowu wspomnień pieśń dzika, echowa,
Zagrała w sercu i lzy moje płyną.
O Ludko! *) dziecka kochanko, bądź zdrowa...
Jeżeli kiedy pod tą jarzębiną,
Co nieraz kładła koralowe grona
Na twoje włosy, siądziesz zamyślona;

Jeżeli książkę położysz przy sobie,
Jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie: –
Kart nie odwracaj!.. bo nim spoczne w grobie,
Będę ci śpiewał, jak mrące łabędzie
Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze
Łez brylantowych osypią cię deszcze.

I lzy się żywe rozbiegną po łonie
I strumień palce różowe otworzy,

*) Ludwika Śniadecka, córka Jędrzeja a później żona Michała Czajkowskiego,
Sadyka Paszy.

Jeśli splakaną twarz ukryjesz w dłonie.
Ja wtenczas będę spokojny, jak w zorzy
Gwiazda niknąca, błądy; lub z obliczem
Pełnem promieni boskich... albo niczem.

Jednak jeżeli Ten, co jest na niebie,
Słyszał o słońca mówione zachodach
Modlitwy moje – wszystkie nie za siebie,
A tak rozlane na świat, jak na wodach
Mórz lazurowych rozlewał się cały
Krań tonącego słońca skrawo biały;

Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć
I nie przeklinać... i drogą bezludną
Iść po tym świecie szalonym, i nikiem,
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Myślą tą modlić się... i nie przeklinać.

Jeśli i Boga nie zwiódła udana
Spokojność moja, ta Chrystusa szata,
Krwia poplamiona i drugi raz wdziana
Na duszę pełną bólu... i ze świata
Uciekająca na chmurach jesiennych
We dnie tak smutne, jak noce bezsennych:—

To mojej duszy, dobytej z popiołów,
Da wiele ciszy – i na jaką błądą
Gwiazdę do smutnych krainy aniołów
Przeniesie senną. Trupi prędko jadą,
Mówi poeta ballad w Leonorze;
Więc na niemieckim chciałbym sięść upiorze

I ruszyć w podróż; bo się pieśń przewlecze
Nie jedną jeszcze przerwana ideą.
Jutro kuryerem wyjeżdżam na Lecce,
Jutro więc zacznę śpiewać Odysseą,
Albo wyprawę o Jazona runach
Na nowej lutni i na złotych strunach.



PIEŚŃ III-cia.

STATEK PAROWY.

a morze statek wyleciał parowy;
Wre para, słyhać dźwięk żelaza szklanny...
A jako z płaskiej wieloryba głowy
W niebo srebrzyste tryskają fontanny,
Tak z pod okrętu młyńskiem bita kołem
Wytryska piana – a dym leci czolem.

Jeszcze nie rzucę porównania, chyba
Słów mi zabraknie. Ogień wre zamknięty
W drewniano-smolnem łonie wieloryba.
A jako niegdyś płynął Jonasz święty,
W łonie okrętu bez desek i miedzi
Wesoło, w liczmem towarzystwie śledzi,

Zapewne nieraz śmiejąc się z kłopotu
Trawionych fląder, ostryg i czefalów;
Tak nasz kapitan i wódz paketbotu
Z pasażerami jak z tłumem wasalów,
Otyły, wesół, dowcipny i mądry
Nas ma za śledzie, ostrygi i flądry.

Tu majtek rudel obraca mosiężny;
Dalej zantejski sędzia i sędzina,
A między nimi synek niedołężny,

Sędziątko z twarzą zwierzęcą kretyna,
Może przekleństwo jakiego klienta,
Ubrane w takie ciało, jak zwierzęta.

Zdziwiony patrzy na okręt i twarzę;
Nie wie, co znaczą łzy na matki licu,
Nie wie, że przezeń Bóg rodziców karze;
A nam widniejsze góry na księżycu,
Morza przy górach i na morzach statki,
Niż temu dziecku łzy na oczach matki...

Kapitan krzyknął Wirgilem: „et tantae,
Tantaene divis coelestibus ira?”
Na to się podniósł graf Solomon z Zante,
Poeta grecki, ucho mu rozdziéra
Zmiana wyrazów i kradzież średniówek;
Więc chciał poprawić—lecz żałował słówek.

Może też słabość; bo prędko rękoma
Wziął się za serce i na dwóch lokai
Głośno zawołał nazwiskami dwoma;
Bo skoro tylko jeden się narał,
Zaraz poeta na drugiego krzyczy,
Aby wiadzano, że dwóch w służbie liczy.

Wielki poeto! Jako między skały
Rzucony Tytan, tak ty w puchowniczkę
Stracon słabością; a twój surdut biały
I glansowane białe rękawiczki
I twój z usługnych lokajów paszalik
Świadczą, że jesteś coxcomb lub migdalik.

„O! znam ja ciebie, której ręka trzyma
Miecz w piorunową uzbrojony jasność;
O! znam ja ciebie, skrawemi oczyma
Na świat patrzącą, jak na przyszlą własność...”
Z takim to niegdyś do Wolności żarem
Przemówił ów graf—i został Pindarem.

Gdy go raz wieńcem uwieńczyła oda,
Mówią, że dzisiaj co napisze, spali;
Mówią, że wierszy popalonych szkoda!

Mówią, że przy nim wszyscy wieszczę mali.
Szkoda, że zamiast wiersze chować w szafę,
Czyni z nich co dzień pan graf auto da fé!

Przy tym poecie, co był tak ognistym
Wewnątrz, a zwierzchu drżał jak galareta,
Siedział na środku w krześle rozłożystém
Senator, starzec z twarzą Epikteta,
Z uśmiechem słodkiej starości na twarzy,
Z podagrą w nogach, z tłumem sekretarzy.

Jeden sekretarz był jak kropla wody
Podobny... Muzo, cyt! niechaj opinia
Żadna i żadnej nie poniesie szkody.
Taki był pokład. Dalej biała linia
Od indywiduów oddzielała masy,
To jest podróżnych, ale drugiej klasy.

Tam pod żelazną kolumną komina
Siedział Grek w czapce czerwonej i Turek,
Wzajemnie dymy rzucając z bursztyna;
A między nimi z tłómków pagórek
Żółtych i czarnych – a koło tej góry
Kuchnia, kuchciki, kucharze i kury.

Przy piersi matek rozplakane dzieci,
Przy bokach starców stoją fiasze z gliny;
Czasem iskierka czerwona wyleci
Z czeluści statku i pomiędzy liny
Błąka się długo, nim zagaśnie smutna,
Nie doleciawszy pod namiotu płótna.

Nad pierwszą klasą cień i lekkie chłody,
Nad drugą klasą cięży jakaś para
I komin sypie deszczem wrącej wody.
Proszę! za czworo nędznego talara
Można uniknąć piekła... ale za to
W Paryżu nazwą cię arystokratą.

Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie
Po morzu cichem, jasno-lazurowém.
Wkrótce choroba z pokładu wymiecie

Tłum pasażerów, i zostawi zdrowym
Odgłos dalekiej po salonach czkawki,
Rozległy pokład i bezludne ławki.

Cicho. Dzień cały po błękitach bije
Okręt kręcony machinami skrzela.
Już zbłękitniało Korfu – już się kryje;
Już się fortece Santa Maura białą;
A z drugiej strony przedzielona żwirem
Forteca Turków, w górach pod Epirem.

Ta ani w buńczuk ustrojona koński,
Ani w błyszczące pióro półksiężycą,
Cicha jak kamień; kiedy zamek Joński,
By ustrojona do ślubu dziewczica,
Ma kwiat na głowie, tysiąc iskier w oku,
Bukiet z latarni portowej u boku.

A niech wie każda poetyczna Laura,
Każda sawantka z twarzą bardzo bladą
I księżycową, że ta Santa Maura
W starożytności zwała się Leukadą
I pod błękitnym unosi obłokiem
Skałę wstawioną biednej Safo skokiem.

Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę, bardzo podobną do greckiej.

.

Ta poszła zabrać na Warneńskim polu
Zwłoki – a uszy w Konstantynopolu.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne,
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama, smutna jak Armida,
I rzekła z płaczem: „oddajcie mi skarby!”
– „Jakie?” rzekł gruby Emir Bej Raszyda.

Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
Zeszły na twarzy płaczącej dziewczynie,
Bo nie znalazła frazesu w Korynie...

„Wróćcie mi, wróćcie!“ i znowu zamilkła,
Patrząc na skarbów znizanych pół-pluton.
Zrozumiał Emir i dał sznurków kilka,
I gładząc brodę śmiał się jak bóg Pluton;
Śmiał się, zważając na prośby szalone –
Orfeuszowskie, co prosił o żonę

I musiał piekłu grać, jak Paganini,
Na jednej strunie cały placzu kwartet.
Ale powróćmy do naszej bogini:
Chciała z rozpacz y umrzeć broken-hearted,
Więc wiodła ciąglą z doktorami sprzeczkę
O krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę...

Skąło Leukady, tykająca nieba!
Śmiej się echami grot tłuczonych falą
Z lancetów, mdłości i pigulek z chleba! –
Noc bezmiesięczna i gwiazdy się palą –
Sam na pokładzie, wichrem bity, blady,
Płynę przy skale nieszczęsnej Leukady.

Piana pod piersi okrętu się garnie,
Stukanie pompy jak dźwięk idzie rymu;
Na maszcie statku błyszczą dwie latarnie
Pod obłokami kirowego dymu;
Zda się, że światła te, zamglone sadzą,
Okręt w krainę piekielną prowadzą.

Te same gwiazdy i ta sama skała,
To samo morze! Lecz gdzież na tej skale
Postać kochanki pogardzonej biała
Jak drugi księżyc? gdzie? tu – o dwa cale,
Pod tą podłogą, gdzie lampa się pali,
Safo śpi jakaś – sama w kobiet sali...

Raz tylko wyszła na pokład i słońce,
Siadła na ławce, spojrzała w błękity

Tak mglistem okiem, że się zeszyły końce
Rzęs długich, czarnych – i wzrok był przykryty
Cyprysem oczu; nie spojrzała w żadną
Twarz na pokładzie. Kiedyś była ładną.

Zniszczył ją smutek. Smutna poszła w ciemność
Na dno okrętu; a zwierzchu mówiono,
Że tę kobietę dręczy niewzajemność,
Że przed miesiącem była mniej żoną,
Więcej niż... dyabła! niech dokończy zycer...
Że ją angielski porzucił oficer.

Mój czytelniku, uderz się ty w piersi!
Bądź na pokładzie okrętu, w noc ciemną,
Przy skoku Safo, a będziemy szerszi,
Ja ci opowiem, jaki cień był ze mną
W ciemnościach nocnych... co za mną tułaczem
Biegło po morzu z przekleństwami i płaczem.

Sumienie moje, niewidome światu,
Jak Nereida wyszło z morza głębi;
Na czole pełne liliowego kwiatu –
I znów, jak Wenus, na wozie gołębi
Leciało między gwiazd sferami śliczne,
Pół chrześcijańskie, pół mitologiczne.

Bo przez noc całą tak ciemną i mglistą
Co robić? – serce własne gryźć i kasać?
Trzeba nareszcie zostać panteistą,
Poznać się z duszą natury i płasnąć
Z czarownicami, co się stają widne,
Podług strawności – piękne lub ohydne.

Ave Maria! Już rosy brylanty
Sypią się z nieba i niebo różowe,
Już przepływamy – i nad czołem Zanty
Widać fortecy uzbrojoną głowę
W niebie, nad miastem. Już wychodzą różni
Na pokład statku zmytego podróżni.

Ten pije kawę, ów rozciąga członki;
Wszyscy się zdają rozrastać jak krzewy.

(Nasze-by damy mówiły koronki).
„Bon jour!“ Tak do mnie akcentem z Genewy
Przemówił młody Zantejczyk, figura
Przez lat dwanaście kształcona na jura.

Przez lat dwanaście uczona w Genewie,
Zdała od ojca, matki i ojczyzny...
Może, czy wszyscy jeszcze żyją – nie wie;
Może nie pozna pod śniegiem siwizny
Zmienionych twarzy. Nim został studentem;
Jechał, dziś wraca tym samym okrętem...

Te same deski, co go dzieckiem niosły,
Dziś odnosiły do domu człowiekiem.
Gdyby tak drzewom przypomnieć, że rosły:
Toby się sęki zasklepione wiekiem
Same otwarły, przez kory szczeliny
Niepowstrzymanych łez lejąc bursztyny.

Ale ten człowiek był, jako Ilios
Pod Atenami, bez fal i bez wody;
I ten sam statek, ten sam Heptanisos*)
Co go odnosił w rodzinne zagrody,
Dla niego prostą był tylko machiną,
Na której ludzie za pieniądze płyną.

Z jakiejże gliny byli ulepieni
Ci, co wracając na ziemię ojczystą,
Padali czołem na czoło kamieni
Całując ziemię chwastami nieczystą,
Zimną... co nieraz, nim usta oddarli,
Na głazach ziemi całowanej marli!...

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!
Śmierć – lub to wszystko, co mi losy rzucą
Na kamienistej drodze życia – płuce
Ogniem pożarte, widziane oczyma
Sny straszne twarzą; wszystko mię zatrzyma!

*) Siedm wysp.

Wszystko mię wstrzyma w obcej ziemi łonie
Umarłym, może jedną chwilę wcześniej
Niż zmartwychwstanie twoje, o Syonie,
Jerozolimie, trapiąca boleśniej,
Niż gród Chrystusa!... A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno, inni powrócą – spać będę!

PIEŚŃ IV-ta.



G R E C Y A.

I zaraz ku nam olbrzym Adamastor
Wyjechał z Zante na barce Trytonów;
Na głowie swojej miał pomięty kastor,
Surdut na plecach, parę pantalonów.
Nie epopeję pisząc, nie idyllią,
Powieм, że to był metr hotelu Giglio.

Stanął i zaczął trwożyć: O! nie płyńcie
Na greckie brzegi—w Patras kwarantana!
Lepiej do mego hotelu zawińcie,
Oberża moja podróżnikom znana!
W Patras musicie dni dziesięć i cztery
Przebyć kwarantan—od osp i cholery.

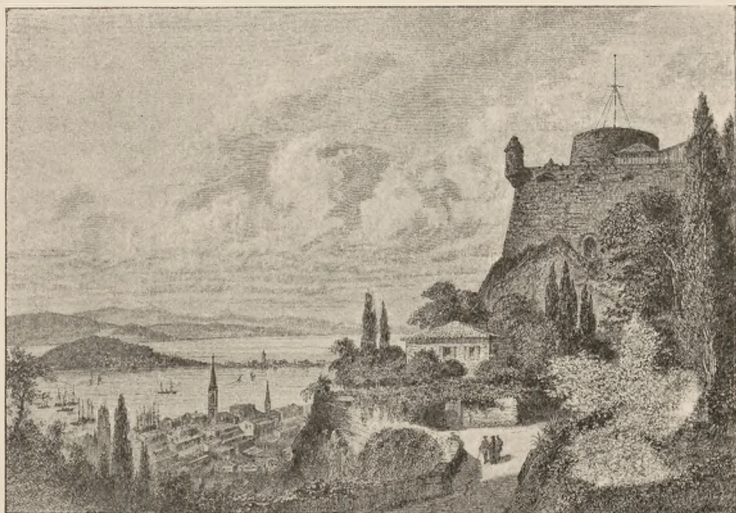
Chociaż poznałem, że to syn Adama,
Nie Adamastor stał przy nas na łodzi,

Zląkłem się bardziej, niż bohater Gama.
Lecz pomyślawszy rzekłem: nic nie szkodzi –
Płynę do Patras, sam ujrzę w Patrasie,
Czy jaką szkodę poniosę na czasie.

A ty, co trwożysz, maleńki Cyklopie,
Zamiast nas pożreć zatrzymanych trwożą,
A może miłych jakiej Penelopie,
Prowadź nas w miasto, – albo lotną nogą
Spiesząc przed nami, na stołach bez Harpii
Postaw nam zrazów, bifsteku i karpi.

Zamiast nas pożreć, my ciebie pożremy,
Jeżeli obiad nie wystarczy głodnym.
Z taką odprawą oberżysta niemy
Odjechał. Ja zaś z czołem niepokodnym
Jako Eneasza modliłem się: „Panie,
Nie daj mi w greckiej siedzibie kwarantanie!”

A potem wszedłszy na fortęcy góry
Spojrzałem: Zante szmaragdami siana,



W szczyrych szafirów oprawna lazury,
Niebem i morzem dokoła oblana,
Tęliła mnóstwo domków w głębi łona
Z domkiem poety, hrabi Solomona.

Szczęśliwy! zastał swój ogród i drzewa
Swoją kanapę i okno na morze,
Swoją miłą stolicę, gdzie pisze i ziewa,
Swoje gazami oskrzydłone łóżce;
Może dziś będzie cieszył się lub szlochał,
Patrząc na domek, gdzie kocha, lub kochał...

Miło powrócić i usiąść na ławach
Przed własnym domkiem, gdy ucichną gwary,
Gdy nocne świerszcze i koniki w trawach
Zaczną piosenkę nocy, a pies stary
Łapą drzwi chaty zawartej otworzy,
Przyjdzie i u nóg pana się położyć;

I myśleć wtenczas: O fale! o fale!
Szumcie wy głucho pod okrętą łonem.
Patrzę na gwiazdy i cygare palę
I nieraz wielkim rozpaczem pokłonem
Biję przed Bogiem, gdy w chmurnych obłokach
Błyska... modłę się... lecz nie proszę o nic.

Miło być także na morzu ozłotnionym,
Błyskawicami i białym ognikiem;
Miło być także dumnym i samotnym,
I niedzielone mieć uczucia z nikim
I nad powietrza ulatujące ciszą,
Słuchać harf takich, jak ludzie nie słyszą.

Chrystus nas woła: Wy, którzyście smutni,
Chodźcie na łono Ojca!... Patrz w błękity:
Oto gwiazd siedem – wszystkie w kształcie lutni –
Wychodzą z fali tam, gdzie zorzy święty
Mają zabłysnąć. Lutnio ogniem sina,
Na tobie dzwoni północna godzina,

Godzina cicha, tajemnicza, senna –
Na wielkim morzu falą wahanemu;

Oto nad lutnią lśni gwiazda promienna –
Dowiąż gwiazd dziesięć ogniowi złotemu
Okiem i myślą, a z niebios wyleci
Koń, który parska gwiazdami i świecei.

Gdy go raz oko z błękitów wyczyta,
Już go nie straci i myślą nie zmaże.
Na strunach lutni położył kopyta;
W nozdrzach, jak w rumu zapalonej czarze,
Płomyk wytryska wielki, błękitnawy,
Czasem, jak w nozdrzach arabczyka krwawy.

Za temi gwiazdy wychodzi Dyanna,
Z gwiazd najświetniejsza, a najmilsza oku,
Gdy ją obleje światłem zorza ranna,
Kiedy w różanym topniejąc obłoku,
Z błękitnej razem staje się zielona
Jak listek, potem czerwieniąc się kona.

Lecz kiedy wyjdzie, nim zorzą pobladła,
Zapowiadając prędkie cieniom końce:
Błyśnie ci w oczy jak kawał zwierciadła,
Z którego dziecko rzuci tobie słońce;
A gdy nad smutnym takie blaski roni,
Przywykasz razem do smutku i do niéj.

Niebo na wschodzie okrywa purpura,
Potem ją skrawa zastępuje białość,
A róż odcięty, jako lekka chmura,
Płynie w błękity... O! klasyczna stałość!
Nieraz widziałem przez ten obłok cienki
Łono sypiącej różami jutrzeńki.

I dzisiaj – pełna jasnego brylantu,
Rosy, róż pełna, wyleciała do mnie
: po nad gór Lepantu;
za nią słońce rozlane ogromnie
Wyszło, jak zegar wieczystego czasu,
Nad błękitnymi górami Patrasu.

Takie olbrzymie twarze Nibelungu
W północnych pieśniach opisują. – Słońce!

Pierwszy twój promień padł na Missolungi,
Gniazdo, gdzie niegdyś wolności obrońce



Sto razy większym oparli się siłom,
Kapitulacyj nie biorąc mogiłom.

Jeżeliś widział rząd domków i fraszek
Poustawianych na dziecinnym stole,
Tak owo miasto. — Cóż to? biedny ptaszek
Leci przez morza lazurowe pole,
I pada przy mnie na ławie, a potem
Kania z ogromnym twardych piór łoskotem

Lecąc, o ławki stuknęła się drewno,
I długo w statku zabłąkana liny
Na morze wyszła z pieśnią płaczu gniewną.
A ja patrzałem na serce ptaszyny,
Jak biło, jak się układały piórka
Do spokojności... była to przepiórka.

O Missolungi! czy pieśń moja zdąży
Za pieśnią wieszczów, co sławili ciebie?
O Missolungi!—Jak ta kania krąży
Żelaznem skrzydłem po morzu i niebie!
Jak oczy iskrzą się nad dziobu hakiem...
—Ten biedny ptaszek jest prawie Polakiem.

.....

Lub niech cię kania zje—boś mi przerwała
Do Missolungi już zaczęta odę.
Ta sobie stoi maleńka i biała
Pod górą—patrzac na błękitną wodę,
Jako nad Styksem zebrane do kupy
Białe umarłych domków kościotrupy.

Stoi nad brzegiem, nie owiana liściem
Żadnego drzewa; lecz na nią upada
Z gór czatujących nad Lepantu wniściami
Ciemność i światło—a każda z gór biała
Mgłą błękitnąwą, a jedna z gór mroczna,
Jak piramida stoi sześcioboczna.

Tak równe ściany pokazuje słońcu,
Tak równe boki ma cieniem pokryte,
Tak ciężka spodem, tak lekka na końcu,
Jako pod niebo ręką ludzką wzbite
Z cegieł pomniki... Nim się ten kraj wslawił,
Bóg wielki przeczuł i pomnik postawił.

Nieuwieńczona śniegowemi srebrzy,
Musi być u stóp śniegiem gości biała.
Gdybyś, Byronie, był nie umarł z febrzy,
Ale od bomby, kul, lub kindżała:—
Dałbym tej górze posępnej nazwisko
Grobu twojego—a Parnas tak blisko!

I mnie dziś łatwiej wleźć na szczyt Parnasu,
Niż ludziom przebyć przed świętym aliansem
Rów wykopany. Trzeba na to czasu!
Na Parnas będą jeździć dyliżansem

Wieszczę Europy – a republikanie
Za lat dwadzieścia... kto wie, co się stanie?

Wierzę w republik ojca jedynego
Robespiera (to Trybuny wina,
Że został Ojcem). Credo w Mochnackiego,
Rzeczpospolitej jedynaka syna,
Co wielkich marzeń nie przestając zaczać,
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować.

Potem zaś wstąpił do arystokracji
I trzy dni bawił; a po tej troszeczek
Przyszedł w obliczu przyszłej generacji,
Sądzić umarłych i żywych – w książeczce!
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych,
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

I w obcowanie ich ducha z narodem
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym
I w zmartwychwstanie sejmu pod Herodem
Obieranego; a gdyby mię śmiesznym
Nie okrzyczano, powiedziałbym grzeczny,
Że w tego sejmu wierzę żywot wieczny.

Zrobiwszy taki sumienia egzamen,
Takie wyznanie, biedny wierszokleta,
Chciałbym dokończyć i dobić... lecz Amen
Uwięzło nagle, jak w gardle Makbeta.
Zacząłem pisać – teraz z wielką biedą
Biję się w głowę, jak zakończyć Credo?

Wierzę, że idą ludy, jako chmura
Pelna błyskawic na trony zachwiane,
Wierzę, że nawet królewska purpura
Próchnieje w trumnach; wierzę w zatrzymane
Lawy żołnierza, tam gdzie stanął Kokles;
Wierzę, że Milcyad żył i Temistokles.

Wierzę, że jeszcze żyje dziś Kanaris,
Bo właśnie teraz wracam z jego domu,
Bo sam widziałem, jak błękitów Farys

Od ogniowego opalony gromu
W Patrasie grecką dowodzi flotylą,
Wierzę, bo sam go widziałem przed chwilą.

On, co żył niegdyś jako salamandra
W ogniu brulotów – dziś spokojny mieszka
W domku glinianym, jak domek Ewandra;
Dzikimi chwasty zaplątana ścieżka
Do progów jego, prowadzi – przed progiem
Odlam marmuru, co był kiedyś bogiem.

Belek się ledwo dotykały heble,
W ścianach obficie powietrza niż gliny;
Sosnowe szczeble i niebieskie szczeble,
To jest deszczulki z sosen i szczeliny,
Wiodą na piętro – wejście, pierwsza próba,
Już było dla mnie, jako sen Jakóba.

Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską
Niezabudkami rzeczułkę – przy zdroju
Miejsce kładkową przeskoczone deską,
Zawsze błękitne i zawsze w pokoju,
Dokoła w kalin ustrojone wianki
Było kąpielą gwiazd i mej kochanki.

Nie wiem, dla czego – lecz nieraz w gorąco,
Gdy się na upał zaczynają skarżyć
Świerszcze piosenką po trawach syczącą,
Szedłem na kładkę – czytać albo marzyć.
I tak czytałem niegdyś walkę Greka
Jak dziecko, które czegoś chce i czeka.

Chce z głębi wody ślad srebrzysty dostać,
(Rankiem kąpała się Ludka w tej wodzie).
Czeka, czy biała i powiewna postać
(Widać aleje i lipy w ogrodzie)
Może z pod wielkiej jarzębiny wstanie
I wyjdzie... Dziwnie uczące czytanie!

I czytam marząc, jako Ipsylanty
Zwycięzył – ginął .. i dał Grecy brata;

A kiedy czytam, to rosy brylanty
Strząsając, zefir po kwiatkach przelata
I fale w złote pomarszczywszy prążki,
Przewraca karty welinowe książki...

Kartki rozwiane przycisnę kamykiem,
I będę czytał. Oto wódz naczelny
Demetrius, licznym dowodzący szykiem,
A za nim... czarny hufiec nieśmiertelny;
Każdy z nich mocny, każdy bez nadziei...
Skąd są – powstałi z mogił Cheronei... *)

Wszyscy – prócz wodza!... ten nie zmartwychwstanie,
Zabity mieczem zgubionej stolicy!
Lecz innych dusze jak w urnowym dzbanie
Chowane w piersiach marmurowej lwicy,
Która im była pomnikiem po śmierci,
Wyszły – i pomnik rozpadł się na ćwierci.

Pień lwa rosnące roztrzaskały dusze!
I dzisiaj leży na samotnem polu,
Jak wielkie prochem rozsądzone kusze;
A głowa pełna przedwiecznego bólu
Padła na ziemię – zda się, że spoczywa,
Wydaną duszą smutna i straszliwa.

.....

Pieniędzy! krzyczą – Grek rzuca na szalę
Dyamentową oprawę pałasza;
Nie dosyć jeszcze – rzucił miecza stule,
Płaci żelazem... Już Ibrahim basza,
Jak Nil, co wszystkie wody na świat wyda,
Lub jak wałęsa się z gór piramida,

Spada na Grecyę. – Gdzie są Termopile,
Po których niegdyś wąż Xerxesa przelazł?
Gdzie są ci ludzie, co żywota chwile
Licząc, nie drżeli – i marli?... Zavellas
W polach Klissowy z ośmiuset człowieka
Zastąpił drogę dwom baszom – i czeka.

*) Ostatnia batalia Greków przeciw Filipowi II macedońskiemu i Aleksandrowi W.

Słyszę, jak serce w moich piersiach bije;
Zda się, że patrząc w trup Leonidasa,
Patrząc głęboko – czekam, aż ożyje: –
A wtenczas ani jasnych kwiatów krasa
Ani lecący aleją gołąbek
Nie obłąkały mych oczu, na rąbek.

Lecz wtem nadzieja odbiegła mię wszystka:
Zerwałem różę, co tam kwitła świeża,
I przywiązawszy do każdego listka
Myśl i życzenie i życie rycerza
I Zavellasa... o szaleństwo młode!
Wszystkie te listki rzuciłem na wodę.

I jeszcze listków zostało mi trocha;
Myśląc, że siane w ziemi nie zakwitną,
Więc jeszcze jeden listek – czy mnie kocha?
Posłałem falą wędrować błękitną;
I nie wiem, jaki los tamte pochłoniął,
Ale ostatni – pamiętam – utonął...

I znowu książkę rozłożyłem białą
I zimne karty zacząłem całować,
Wołając: Greki, niechaj ginę z chwałą!
Wy mnie nauczcie, jak wrogów mordować,
Jak rzucić drogę marzeń księżycową
Z umarłem sercem i z twarzą surową...

I marząc o krwi z uczuciem tygrysa,
Steżałem członki, krew czując na licu...
Słyszycie tętent?... to koń Botzarisa!
W obóz turecki leci po księżycu!
A nim się straże obudzone zwarły,
Botzaris w baszy namiot wpadł – umarły... *)

I odezwały się w górach klasztory;
A nie były to pogrzebowe dzwony,
Które kupuje na śmierć człowiek chory;
Lecz jakieś wielkie pomięszane tony
Płaczu, rozpacz – wyjące po skałach,
I większej zemsty głos – zamknięty w działach.

*) Botzaris, jeden z najdzielniejszych przywódców powstania w Grecji (1820 r.). Osaczony w Missolungi, które się poddać musiało, powziął myśl ocalenia miasta przez wycieczkę. W 200 ludzi napadł w nocy na obóz turecki i wielką w nim rzeź sprawił, ale padł od kuli. Do tego czynu robi tu poeta aluzję.

A wielkie morze, lazuruje morze
Któremu niegdyś poświęcano w Aulis
Córy królewskie... ciebie teraz porze
Między flotami tureckimi Miaulis;
Z nim jest drewniana ateńska fortca
Którą Kanaris brulotem oświeca.

Obydwa płyną uwieńczeni w laury
Wydarte morzu – prędkim pędzą lotem;
A ów Kanaris zda się, jak centuary,
Na pół człowiekiem, a na pół brulotem.
Ten człowiek śmiały i pan dwóch żywiołów,
Którymi niszczy – czy ma twarz aniołów?



Czy pod nim, jako pod niebieskim duchem,
Cicha się łódka nastąpiona nie gnie?
Czy jego wiosło niesłyszane uchem?
Czy ogień za nim jak pies wierny biegnie?
Jak on wygląda, gdy błękitne morze
Pięć jego czółen oblało w Bosforze?

Sułtan go widzi, lecz zniszczyć niezdolny!
Nie zgasi nawet płomyka w stambulce
Wodza greckiego... Oto konik polny
Usiadł przedemną na cichej rzeczulce,
I suszy skrzydeł przezroczystych szkiełka
Błyszące w słońcu, by tęczy perelka,

I suchą nogą, na źdźble żółtej słomy,
Dziecko powietrza, wędruje na łódce
Przez zwierciadlane rzeczulki załomy,
I port w rozchwianej znajdzie niezabudce,
Albo popłynie dalej z nurtem wody
Pod brzóz płaczących nachylone chłody!

A kiedy płynął i srebrzystym rysem
Znaczył rzeczulki fale zwierciadlane,
Myśl moja cała z wielkim Kanarisem
Płynęła za nim w kraje malowane
Piękną przyszłością... i widziałem życie
Z twarzą na słońcu – z oczyma w błękiecie.

O przyszłość, przyszłość! – Jam się tak do ciebie
Uśmiechał dzieckiem! – ty z taką światłością
Dni moje siałaś, jak gwiazdy na niebie!
A moje smutne dzisiaj... jest przyszłością.
Kwiat spodziewany na wątlej łodydze
Życia mojego – rozwinął się... widzę –

Co? Jeszcze w myślach owe przeszłe chwile,
Jeszcze marzone dawniej Greków twarze,
Jeszcze Kanaris – na słońce motyle,
Jeszcze nad księgą leżę, jeszcze marzę...
I chciałbym cały włosem się osłonić
Nad dawną księgą – i dawne łązy ronić;

I być zbudzonym, jak dawniej – nad rzeką,
Gdy na aleje złote słońce spadło;
Kiedy słyszany jakiś głos daleko
Wołał, jak echo; gdy w rzeki zwierciadło
Patrzac – patrzałem na twój wzrok uroczy,
Nie śmiejąc prosto patrzeć... w twoje oczy.

PIEŚŃ V-ta.



PODRÓŻ KONNA.

Czytałem kiedyś wielkie porównanie...
Jak wystawiony na niebieskie rosy
Pielgrzym, gdy ze snu głębokiego wstanie,
Listek uwiedły, co mu spadł na włosy,
Odrzuca z czoła: – takieś ty skaliste
Nakrycie grobu precz odrzucił, Chryste! *)

Lecz kiedy przyjdzie zmartwychwstanie ludu,
Kiedy się skończy sen pełny omamień:
Jakiegoż trzeba będzie wtenczas trudu,
Aby odwalić nasz grobowy kamień?...
Ów marmur, pełny naszych cierpień rytch,
Na którym modlą się dzieci – zabitych?

Patrząc na oczy pełne błyskawicy,
Na czoło króla płomieni brązowe,

*) Oda Manzonięgo na Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa.

Pytałem znanej mu już tajemnicy,
Bo sam odwalał kamienie grobowe
Z grobu uśpionej głęboko ojczyzny;
Musiał znać leki – bo zna wszystkie blizny.

Pytałem Greka – ale w nim już nie ta
Z kradzionym ogniem pierś Prometeusza!
Moje pytanie było, jak Hamleta
Metafizyczne słowo – czy śni dusza?
Kładzione zawsze na gróbach od wieka,
Nierozwiązane dotąd przez człowieka.

Chciałem mu nadać wielkość Waszyngtona,
Mojem pytaniem na zbawcę pasować;
Bo też mu złotych brakło milijona.
A mógłby spalić Stambuł, zamordować *)
Tylu wezyrów, tyle krwi wytoczyć,
Że Sułtan miałby gdzie pióro umoczyć

I czem podpisać na wolność firmany
I Kanarisa odesłać z krainą
Temistoklesa, przez drewniane ściany
Zdobytą. Dzisiaj Rigny – Navarino
Kanarisowi wykradły jak Paris
Helenę sławy. – Czy cierpi Kanaris?

Nie wiem... Czy orzeł kiedy myśli o tem,
Że kiedy w zimie słońce zda się nisko,
Mógł o południu natężonym lotem
Dolecieć – patrząc oczyma w ognisko
Niebieskich krain? – myśl głupia dla ludzi,
Lecz może dręczyć orła, co się nudzi...

Ale powtarzam, myśl głupia dla świata
Mogła się przyśnić orłowi na skale,
Lub temu z ludzi, co jak orzeł lata...
Dosyć! – cygareta hawańska zapalę
Temi strofami, które nie są odą
I do niczego mądrego nie wiodą.

właśnie takie ciężkie i nietrafne,
Z ust wychodziły moich parable,

*) Był pod Stambulem i Aleksandryą.

Kiedy żądałem, by słowa jak Dafne
W laur przemienione kładły się na czole
Zapomnianego przez ludzi Greczyna;
Lecz że świat taki – to nie moja вина!

Możebym także chciał, (to wszystko mary),
By jaki człowiek, spotkawszy w ulicy
Moją figurę... włożył okulary...
Po dyabła nosić sławę w tajemnicy?
Cieszył się Dante, gdy przekupka rzekła:
Patrzcie! ten człowiek dziś powrócił z piekła.

Ja bardzo lubię sławę popularną,
Lękam się bardzo wymuskaney sławy;
Dla tego każę na bibułę czarną
Bić nowe dzieło – gołe, bez oprawy;
I wyjdzie na świat książeczka pokorna,
Jak gdyby z pod pras Bogumiła Korna*).

O moja głupia Muzo, zapominasz
Uszanowania winnego księgarzom!
Ja nie znam Korna – mówią, że luminarz...
A zaś skład jego podobny cmentarzom,
Gdzie sobie cicho autorowie leżą,
Co lato ziemią przysypani świeżą.

A czasem zajrzy Bogumił na cmentarz,
Patrząc, czy kiedy nie zjadł się w letargu
Jaki kalendarz albo elementarz;
A kogo kocha – tego na świat targu
Drukiem prowadzi... i stawia za kratą,
Wieńcząc go świeżą laurową erratą.

O mój księgarzu wrocławski, o Kornie,
Dokończ tej strofy!... dalibóg zaczęta
I pindarycznie żywo i wytwornie,
Lecz moje pióro nigdy nie pamięta
O drugim wierszu... wbrew dawnej przestrodze:
Nim pierwszą stawisz, myśl o drugiej nodze.

Tak chciał Feliński: wiersz skomponuj drugi,
A potem pierwszy dosztukowuj zgrabnie;

Głośny swego czasu księgarz i wydawca wrocławski.

A będą mocne – i łańcuch się długi
Nie przerwie nigdy, nigdzie nie osłabnie;
Na takim niańki uwiązani pasie
Chodzą dawniejsi wieszcze po Parnasie.

Lecz ja... Dobranoc!... Jutro zorza złota
Ujrzy mię w siodle i na Rossynancie,
Tam, gdzie Cerwantes, autor Donkiszota,
Utracił rękę – mój obraz w Lepancie
Będzie odbijał się tak lazuruwie,
Jak cień Quichota w Cerwantesa głowie.

Naprzód malować trzeba kawalkadę,
Która się brzegiem Lepantu pomyka.
Guid jedzie przodem, a ja za nim jadę...
Lecz wam opiszę pierwej przewodnika,
Który albańskie rozwiawszy wyloty,
Jechał na koniu, gdyby motyl złoty.

Na kapeluszu słomianym miał mycę
Do roziskrzonych podobną płomyków;
Ze sztuki płótna marszczoną spódnice;
Gadał mozaiką dziesięciu języków;
Śmiał się jak dziecko – a dzieckiem był prawie;
Śpiewał – jak polny konik śpiewa w trawie.

Twarz jego młodą gdzieś widziałeś we śnie,
Może na jakim widziałeś rysunku,
Gdzie młody Greczyn, wysłany za wcześniej
Z ojcowskiej chaty w wojennym rynsztunku,
Patrzy na Turków oczyma tygrysa...
Na litografii zgonu Botzarisa.

Są twarze w ludach powszechne, c'est tout clair –
Tłómaczyć przyczyn byłoby to wstydem;
Wreszcie opisze go wam książę Puckler –
Muskau – co z naszym podróżował guidem
I pokazywał swą karykaturę
Grekom, wylazłszy na Parnasu górę;

Który się nie kładł spać, aż biła czwarta;
Który chciał ogród założyć niemiecki

W guście angielskim tam, gdzie była Sparta;
Dla Bawarczyków pozawieszać niecki,
By się hojdając, z krainy Likurga
Mogli przynosić myślą – do Strasburga;

Który – to zawsze mówię o tym księciu –
Niechaj pamięta autor o autorze –
Który zasnawszy w wieczór w przedsięwzięciu,
Zbudzony – spytał się: w jakim kolorze?
A rząd bawarski, myśląc o sadzonym
W Sparcie ogrodzie – powiedział: w zielonym...

Który się o to obraził... i chwilę
Zastanowiwszy się – po kilku chwilkach
Tak zadrzał gniewem, że wszystkie motyle
Na kapeluszu siedzące na szpilkach
Zaczęły spadać i kłuć w nos Ottona.
O zemsto... mówią, żeś słodka – ty słona!

Zwłaszcza, gdy ciebie Puckler w sól attycką
Całą osypie... i da na zabawkę
Figurę wroga – pod Momusa mycką,
Osolonego solą – jak pijawkę –
Tak się zapewne kręcić i wić będzie
W dziele... pan Otton na króla urzędzie.

Lecz kłaniaj za to ogrodowi w Sparcie;
Ziemia gruzami pozostanie skalna...
Sparta zostanie na światowej karcie
Spartą... historia straci naturalna
Na jakim kwiatku, co ma kształt pantofli,
Lub na rodzaju spartańskich kartofli.

Adieu, Pucklerze, bo mi nie do uszu
Twe imię, w rymów sadzone ogrodzie;
Podróżuj w twoim wielkim kapeluszu,
Co tak wygląda, jak żagiel na wodzie,
W górach jak tarcza okrągła Pelida,
Nad ruinami bogów... jak egida...

Bądź zdrów! – a jednak miałbym prośbę małą
Do waszej Mości książęco-autorskiej,

Ażebyś także moje grzeszne ciało
Na koniu skreślił – na szkapie cecorskiej...
Tak musiał niegdyś Żółkiewski ponury
W trzy dni po zgonie straszyc grzeszne ciury...

Trudno znać siebie, powiada przysłowie;
A ja powiadam: trudniej widzieć siebie
Przez te szkła biedne, które w naszej głowie
Oprawił Stwórca – kryjąc się na niebie,
Tak, że choć błękit przenikniecie do dna,
Skryta wam jedna rzecz... widzenia godna...

A druga także rzecz bardzo ciekawa
Dla nas – my sami... także nam ukryta;
Szczęściem, że wierne zwierciadło – i sława
Często niewierna – wszak wiecie, kobieta –
Dopomagają nam szkłem i umysłem
Patrzeć na siebie... i są szóstym zmysłem.

Dlatego bardzo i gorąco żądam
Widzieć się kiedy w gazet artykule
Takim, jak jestem – albo jak wyglądam...
Tymczasem muszę całą ziemską kulę
Przebiegać sobie samemu nieznaną
Z twarzy i z głowy... niewymalowaną.

Szczęśliwy Józef Poniatowski (czyli
Szczęśliwy, gdyby nie umarł), że widzi
Siebie samego w najciekawszej chwili
Na każdej ścianie. – A niech nikt nie sztydzi
Z tej strofy, bo ją skończy myśl Solona:
„Nie mów, że człowiek szczęśliwy – aż skona.“

Zaprawdę, ja wam powiadam, co rzekły
Przedemną usta filozofów wielu,
Że... Lecz nadzwyczaj staję się rozwlekły; –
Więc nic nie powiem – i prosto do celu
Nie zatrzymany strofą ni morałem
Na moim koniu biednym pędzę cwałem.

Hop! hop... jak upiór... obracam tak nogi,
Że kwadratowe tureckie strzemiona

Kołą w bok konia jakoby ostrogi;
A moja szkapa z wiatrami puszczonea
Pędzi, jak gdyby czuła złób koniczyn;
Lecz wtem zwolniłem kroku... dla trzech przyczyn.

Primo: towarzysz mój (a tu mi skłonno
Aż do łez, pomnąc na konia strukturę),
Był jako człowiek, który idzie konno;
A kiedy biedne zwierzę szło pod górę,
I chociaż mogło iść o własnej mocy,
Jeździec udzielał mu swych nóg pomocy.

I tak się razem nieśli. O widoku
Rozczulający! łez nie pojmie profan.
A jako niegdyś w błękitnym obłoku
Sokrata skreślił błazen Arystofan
Latającego po niebieskim sklepie
Na żółtwa nogach, w szyldkretu czerepie;

Tak ja po greckich w gimnazyum naukach
Mógłbym podobną ubawić was sceną,
Wymalowawszy na głębokich jukach
Ukochanego filozofa Zeno...
Który w tej chwili przez niemożność skoku
Był pierwszą z przyczyn, że zwolniłem kroku *).

Drugą z tych przyczyn była także cnota
Filantropiczną; właściciele koni
Za kochanymi końmi szli piechotą;
Jeden, jak Turek, miał turban na skroni,
Drugi, jak ojciec podobny do syna,
Belwederskiego miał twarz Apolina.

Trzecią z tych przyczyn, dla których wstrzymana
Wietrzność mojego była wiatronoga:
Oto, że nagle ja i karawana
Przyszliśmy, gdzie się zakończyła droga
Przeszkodą – wprawdzie dla Mojżesza małą:
Z tej strony morzem, a z tej strony skałą –

Więc wszystkich świętych wezwawszy i biesa,
Rzucam się w morze... czy w cuda wierzycie?

*) Mowa jest o Zenonie Brzozowskim, który w tej podróży towarzyszył Słowackiemu.

Z fali stracona ręka Cerwantesa,
Jak cień wielkiego nosa na suficie
Wyszła, figowe pokazując godła
Światu—a mnie zaś przez fale przewiodła.

I opryskani falą o brzeg bitą,
Na popas w małym stanęliśmy khanie;
Tam z głową senną, cieniem drzew nakrytą,
Inni spoczęli przy chróścianej ścianie,
A ja, nie spity napojami maku,
Znalazłem grootę—w rododendrów krzaku.

Na samej wstążce srebrzystego żwiru,
Co się nad morzem pod krzakami winął,
ak sztuczna biała oprawa szafiru,
Spocząłem... i wzrok na błękicie zginał
I myśl smutniejsza przyszła mię kołysać
Niż myśli, które chcę i mogę pisać.

Smutna! Myślicie, że grzechów siedmioro
Przyszło mię dręczyć—lub łza emigranta?
e—Ach, myślałem, że już madreporą
Stało się ramię biednego Cerwanta,
Ramię nieszczęsne, które zaczynało
Czuć, że się jakiś duch oblekał w ciało...

urodzony w Cerwantesa głowie
Będzie radością wstrząsał wszystkie nerwy;
Ramię, co było w romansu połowie,
Potem doznało takiej wielkiej przerwy,
Jak kiedy zabrzmiał trąb dziesięć tysięcy,
Potem milczenie... nic nie słyhać więcej.

Dziwnie utracić jaki ciała członek
I myśleć potem, że już leży trupem,
Że już w nim żadna z kosteczek ni z błonek
Nie myśli o nas... i stała się łupem
Robaków—a zaś dusza pełna sromu
Do ciaśniejszego przeniosła się domu.

Dziwnie być musi płakać nad cząsteczką,
Własnej mogiły i czyścica męczarnie

Od niej odwracać... bo jeszcze jest sprzeczka,
Czy dusza za nas płaci solidarnie;
Czy członek, co się na ciała pogrzebie
Nie znajdzie, w piekle zapłaci za siebie...

A tu-bym bardzo mądrze i głęboko
Dowiodł: że kiedy nasz Zbawiciel kazał
Wylamać rękę lub wylupić oko...
Więc trzeba, abym tę strofę przemazał,
Bo jej dokończyć, jak chcecie, nie mogę,
Bo osiodłany koń... i ruszam w drogę.

PIEŚŃ VI-ta.



NOCLEG w VOSTIZY.

alej, mój koniu, powoli—dość czasu.
Krajograficznie strofami wyłożę,
aka mię droga prowadzi z Patrasu.
Po prawej stronie góry—z lewej morze,
Za morzem znowu i skały i góry,
Nad nimi niebo błękitne bez chmury.

Nie ma tu ziemia czego złożyć w stercie;
Koń dzwoni w głazy—depce chwast—dziewanny;
Czasem po drodze w rozłożystym mircie
Widać rudery tureckiej fontanny,
Gdzie w kamień woda płacząca nie tętni,
Na które patrząc, nawet Grecy smętni.

Taka głęboka przy fontannach cisza,
Tak ciemne mirty i tak liściem szumią
Nad fontannami, jak pacierz derwisza.
Cały ten smutek błękitami tłumią
Wody Lepantu i z czystego nieba
Patrzące czoło (jestem w Grecyi) Feba.

Ani po drogach bawiącej się dziatwy,
Ani człowieka w polu, ni na drodze;
Czasem szumiącym lotem kuropatwy
Porwą się w stado, tuż przy konia nodze,
I padną blisko – i znów cisza wielka...
Jaskółek żadna nie wyśle ci belka.

Niebo tych czarnych gwiazdek pozbawione –
Wdzięcznie błękitne... zda się, że nad smętnym
Krajem przeszłości leży zamyśłone
akim obrazem dawnym i pamiętnym
Tylko samemu Bogu, co w niem duma.
Kraj ten zniszczyła tak wolności dżuma...

Ząbek się lasu dopiero wyrzyna;
Małe sosenki, jako pszczoły, brzęczą
Jedwabnym kołcem... Jeżeli masz syna,
A twego kraju ludzie nie zamęczą,
Może zobaczy Grecyę pełną krasy,
Ubraną w ludzi szczęśliwych – i w lasy.

Ale my, dzieci nieszczęścia, stąpamy
Po głazach, chwastach i ruinach głuchych;
My się przez wielkie pystynie wołamy
W ciszy bezludnej; my przy źródłach suchych
Szukamy wody spaleni zarzewiem.
Gdzie będą szukać naszych mogił? – nie wiem.

Gdy tak myślałem, mrok osłonił szary
Przybywających wreszcie do Vostizy.
Tu jeszcze pomnik turecki... dąb stary
Na podniesieniu z głazów, przy ulicy,
Siedział spokojny. O tejto godzinie
Turek tu niegdyś pił dymy w bursztynie.

Lubiłem lipę, co nad sławnym Janem
Cień rozstrzelony zbierała pod siebie
I co rok miodu obdarzała dzbanem
Niewymyślnego w żądzach i w potrzebie,
A była drugim poety mieszkaniem,
Głośna słowików – szpaków narzekaniem;

Pod którą nieraz błyszczał dzban na stole;
Co tak wysoko nosła czoła wianki,
Jakby ze dworu wyglądała w pole
Na przyjazd pana lub pańskiej kochanki;
Co nad szmerami słodkich ust dziewicy
Szumiała cicho, pełna tajemnicy.

Ta lipa dla nas, jak Partenon grecki,
Ma pełno smutku niewymówionego.
Stanąłem patrząc na ów dąb turecki;
Smucił mię także – lecz nie wiem dlaczego;
Bezżyteczny liśćmi i chłodem,
Oko zadziwia wielkim pnia obwodem.

Pień jego w sobie ma siły potęgę
I wielki smutek starości... i żalść,
Nad tymi co go znali... stone-henge
Zaniesie myśli w olbrzymią zuchwałosc
Tytanów dawnych... W tej świątyni progu
Myślisz o człeku, co ją siał... i Bogu.

O mój turecki dębie, dębie stary!
Ty mi cudownym wyrosłeś kościołem;
Tutaj się mogą modlić wszystkie wiary,
Tu wszyscy ludzie bić ugiętem czołem.
Lubię cię, dębie wyniosłego czoła,
Z liściem rozwianym, jak skrzydło anioła.

Szczęśliwi ludzie, których anioł dźrzy
W swojej opiece! szczęśliwe te kraje,
Co mają drzewa – na miejscu oberży –
Siane po łąkach, gdzie płaczą ruczaje;
Wędrowiec staje, gdzie kwiatów najwięcej...
Nagle krzyknąłem – do kroćset tysięcy

Milionów!... tu mi kochany Eurypid
Słowo Eumenid dał do wykrzyknika;
A mój towarzysz rzekł: mais c'est insipide
Spać tu... w tej klatce... co ma kształt kurnika;
Comment, Giuliano? – tak się zwał nasz sługa –
W Vostizy musi być oberża druga!

Non c'è, rzekł sługa. Więc spać tu – na ziemi?
Wszak to nie ściany, lecz z luczyna krata,
Pajęczynami wybita czarnemi –
A ja dodałem: jak horyzont świata
Zawarty zewsząd, bez okien, któredy
Dusza-by mogła wyjść za zmysłów błędy...

I zakończyłem słowami: daj świecy!
– Świecy? rzekł kompan – wszak tu wiatr zagasi
Słońce w lichtarzu, księżyc w szabańnicy!
Rzekłem: Giuliano, hej! tho se mu krassi... *).
Gorzkie jak piołun – niech Bóg będzie z nami!
Jest co jeść? nie ma? więc tho se mu psami!

To się po grecku znaczy: daj mi chleba!
Przyniósł... postawił... i znowu zapytał
Bardzo układnie: czego panom trzeba?
A gdym na chlebie zębami pozgrzytał,
Zdjęty przecuciem nieszczęśliwych wrózek,
Nie spodziewając się, wołałem – łózek!

I światła! Tu jak na biegunie
Północnym ciemno – i wiatr wszędy świszczę;
Pusto, jak w zgniłym orzechu świstunie...
Tu mój towarzysz rzekł: więc ja przepiszczę,
Na hebanowym moim flażolecie
Tę noc – przepędzę ją najlepiej w świecie.

I już wyciągał wiatro-brzmiący bardon;
Lecz ledwie zaczął, dmuchnąwszy w otwory,
Przygrywać: jakiś głos: „I beg your pardon
But I don't like the music, I am sorry“
Z prawej się strony wydobył przez kratki –
Anglik zamknięty był do drugiej klatki.

I była Babel okropna języków,
Aż wreszcie jakaś Opatrzności ręka
Zesłała parę płonących knocików,
I dwa, napięte jak struny, krosienka;
To były łózka.. jeśli kto nie wierzy,
Tłómaczę jasniej – to, na czym się leży.

*) Wino w całej Grecji zaprawiają żywicą.

Ach! leży tylko! – bo wszystkie zefiry
Zbiegły się do nas i wiatr z nami płaśał;
A dar krosienek, jako Dejaniry
Koszula – gdzie się go dotkniesz, tam kąsał.
Ach! jam się dotknął – i ogień mię złapał
I byłem w piekle – mój towarzysz chrapał.

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się
Samemu sobie bardzo poetycznym;
Na skały igły – na ruin terasie
W usposobieniu umysłu Vehmiczném,
Kiedy głos przeczuć bardzo głośno gada
Trzykrotnym głosem: biada! biada! biada!

Gdy patrzy w słońce, o zachodzie krwawsze,
Kiedy się żegna z kim, i przy miesiącu
Mówi z westchnieniem głębokiem: na zawsze!
Gdy przy dognanym zeskooczy zającu,
Dobędzie noża i obcina skoki –
Gdy nań piorunem strzelają obłoki;

W chwili, gdy skończy szkoły i nauki,
Gdy go za rękę uściśnie sam rektor;
Gdy go mianują sędzią – gdy go wnuki
Obsiadą – gdy kraj obroni, jak Hektor,
Albo gdy myśli o zbawieniu Lachów –
Gdy wygra partyę bilardu lub szachów;

Albo gdy idzie sam w nocy na cmentarz
I na kochanki usiądzie mogile;
Albo gdy mówi doń kto: czy pamiętasz
Paryż? – Są różne poetyczne chwile,
Kiedy naprzykład w towarzystwie znanem
Siądziesz pośrodku... na cenzurowanem –

Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,
To jest, że możesz zgasić oświecenie;
Albo gdy jesteś dział asekurantem
I w Napoleońskie wierząc przeznaczenie,
Słuchasz bez drżenia kul lecących świstu:
Gdy „Comte“ przeczytasz na kopercie listu –

Gdy... i tam dalej. Z tych miłości własnych
Żadna nie przyszła do snu mię kołysać;
Przy dwóch światełkach, jak gwiazdy niejasnych,
Chciałem z krosienek moich wstać i pisać,
Czekając zorzy różowego świtu,
Wtem deszcz... w tej klatce nie było sufitu...

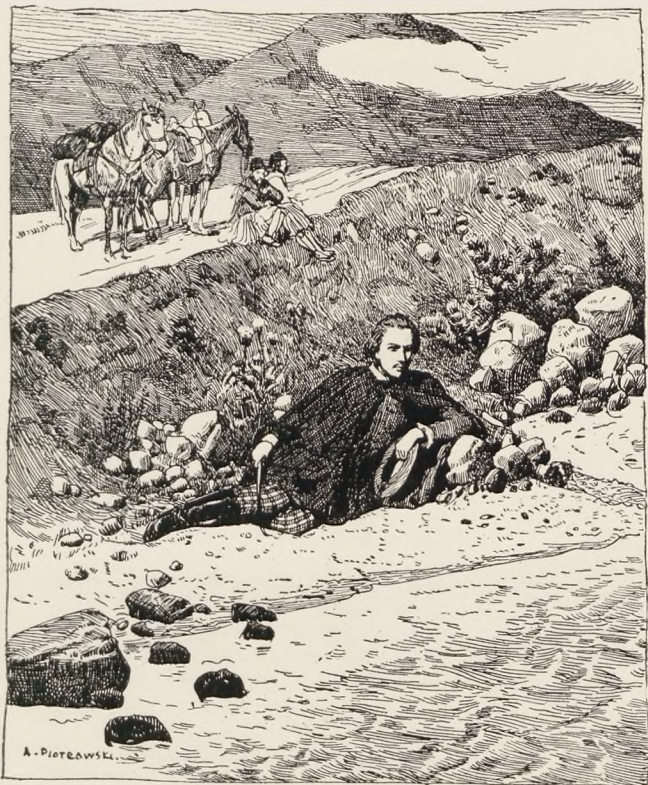
I zawolałem: ty śpisz, Eneaszu,
A tu deszcz na nas leje się z dachówek!
Wnet rozbudzeni oba na poddaszu,
Więcej do czynu sposobni niż słówek,
Wściekać się więcej zdolni, niż lzy ronić,
Przemyślaliśmy, jak i gdzie się schronić.

Szczęściem, że w ścianie uwitej z sośniny
Po obu stronach były dwie framugi;
Ach nie framugi – zaczęte kominy!
Więc ja jak krótki, mój kompan jak długi,
Oba jak dłutem z marmuru wycięci
W niszach przeciwnych – ktoby rzekł, że święci.

Przy naszych nogach zapalone lampy,
Ręce złożone na piersiach pobożnie;
Każdy z nas biały, jak w operze Zampy
Wiedźma z marmuru – bardzo nieostrożnie
Pierścionkiem złotym za żonę pojęta,
Lub jak niewiasta Lotowa w sól ścięta;

Lub jak muńija w ścianie piramidy...
Niech porównania dalej lecą klusem.
Byliśmy, jako ów posąg Tetydy
Zakryty wody srebrzystym obrusem,
Stojący sucho w wodnej samolówce,
Którą czytelnik ujrzy w Zofijówce.

Tu, wychyliwszy głowę, mój towarzysz
Głosem żalonym rzekł: czy żyjesz? – Żyję.
A on mi znowu rzekł: o czym ty marzysz?
A ja mu rzekłem: że się nie ukryje
Żadna zasługa pod żadną przeszkodą;
Ja mówię pacierz... Bóg słyszy pod wodą.



A. PIOTROWSKI.

PODRÓŻ DO ZIEMI ŚWIĘTEJ.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Nie spali ogień... a kompan: nie słyszę;
Woda tak szumi, już mokre mam nogi...
A ja mu na to: cierp, a ja opiszę
Nasze cierpienia ściągnięte bez winy
I przedam wiernie córkom Mnemozyny –

I kiedyś, w późne wieki, wstanie mściciel
I tu postawi hotel, gości panie!
Tu, na tem miejscu, gdzie teraz Jan Chrzciciel
Mógłby duszeczki kąpać, jak w Jordanie;
Tu, gdzie stoimy – ja ci przepowiadam –
Że stanie hotel – tu, gdzie w nurty padam,

W nurty natchnienia, myśląc o żegludze
Dawnych rycerzy – Eneja – Ulissa...
A mój towarzysz rzekł mi: ja się nudzę,
Stojąc w tej niszy jak kozacka spisa;
Wyznaj, że Grecya c'est ennuyeux en diable,
Ja cały mokry – mais c'est insupportable!

Nie masz zegarka? ja mój do kompasu
Zregulowałem, tam na łóżku leży;
A ja mu na to: mamy dosyć czasu!
Nim Febus we drzwi Aurory uderzy,
Gadajmy sobie o czem pożytecznym,
Lub o zbawieniu... lub o ogniu wiecznym...

Albo śpiewajmy sobie kontredansy
Tańczone dawniej – ja dyszkantem wlekę;
Albo ci powiem powieść Sancho Pansy
O trzystu owcach wiezionych przez rzekę –
Ty licz, ja będę tron mówcy dziedziczył;
Jeśli chcesz, ty mów... a ja będę liczył.

Czy znasz Byrona? – Nie! – To wielka szkoda!
Mógłbyś się teraz przenieść w ideały;
Czajłd Harold niegdyś był w Grecyi... Ta woda
Łóżka nam porwie srebrzystymi wały.
Czy znasz Platona?... przyszło mi do głowy
Zaczęcie jednej Sokrata rozmowy:

„Chodźmy – rzekł – w klonu szerokiego cieniu
Na pochylonej odpocząć murawie;
Oto zanurzymy tu stopy w strumieniu;
Jak tu cień miły, jak tu świerszcze w trawie
Śpiewają słońcu!... Dalej w mowie walnej
Sokrat piękności daje idealnej

Rysy, granice – i w mgliste przezrocze
Obwija posąg cudownego wdzięku,
A strumień żywy stopy mu łaskocze...
Tu nasz Giuliano z latareńką w ręku
Wszedł i zobaczył nasze dwie figury
Jak dwa posągi, oprawione w mury,

Z lampami w nogach. – Rzekłem: Pigmalionie,
Jeśli z posągów chcesz mieć żywych ludzi,
Przynieś parasol! – Tak przez wodne tonie
Przeszliśmy obaj – a jeśli was nudzi
Ta pieśń, pomyślcie, że to jest obrazem
Greckich oberży, łózek... i nas razem.

PIEŚŃ VII-ma.



EGASPILEON KLASZTOR.

Wiem, że ze śmiechu przeskakiwać w smutek
Jest wielkim błędem... charakteru wina,
A raczej nerwów rozkiełzanych skutek –
Brak sentymentu – że w trop Lamartina
Idąc, nie łączę w pieniach, – o herezya! –
Trzech westchnień ciągłych: Miłość – Bóg – Poezya!

Miłość od Boga staje się odporem,
(Spytaj się o to panny... (Choł)niewskiej,
Co rządzi młodych panienek klasztorem).
Miłość – prócz czystej miłości niebieskiej –
Wprowadza duszę w jakiś grzeszny zamęt –
Niewolno kochać, jak święty Sakrament.

Lecz pierwsza miłość – pierwsza, platoniczna...
O wstaw się za mną – o Najświętsza Panno!
Ty jesteś taka na obrazach śliczna –
Widziałem Ciebie dziś – pod tęczę ranną,
Nad błękitami Lepantu – w niebiosach –
W tęczy – na chmury rozplakanej włosach...

Poezya także często walczy z Bogiem;
Chybabyś pisał ciągle o myślistwie,
Jak Pan Tadeusz obeznany z rogiem. —
Bóg Lamartina jest w złem towarzystwie!
Chrystusa trzeba dać do takich kmiotków,
Byłby znów Chrystus między dwojgiem lotrów.

Więc rozwiązawszy tak dobrze zawilość
Teologiczną, przyjmuję za godło
Tych kart — Poezyę, Chrystusa i Miłość —
I to mię będzie teraz ciągle wiodło
Z góry na górę — od boru do boru —
Do Megaspilion, na tę noc, klasztoru.

A ty, Poezyo, nie bądź więcej mniszka,
Ale opowiedz, jak szedłem wysoko
Nad przepaściami zawieszoną ścieżką;
Jak coraz dalej posyłałem oko
Za laurem pięknie kwitnącym podemną,
I za otchłanią mórz — błękitnie ciemną;

Jak o południu cień kolczatej gruszy
Osłonił całą podróży gromadę;
Jak ciernia krzaki, które wiatr wysuszy,
Dały nam ognie w oczach słońca blade;
Jak źródło w naszym zajęczało dzbanie,
Jakośmy orłów słyszeli krakanie...

A morze jasnym wabiące lazurem
Daleko od nas — szukane oczyma —
Za gór przebytych błysnęło się murem
Przez dwie szczeliny maczugą olbrzymia
Albo Rolanda rozcięte zamachem,
Powietrze cząbrów poilo zapachem...

A teraz myślę, jak z liter i cyfer
Ułożyć oczom klasztor Megaspilion,
Klasztor, gdzie niegdyś bronił się Lucyfer
Mahometowi — tak długo, jak Ilion,
Albo jak nasza piękna Częstochowa,
Kulami ryta — cudem boskim zdrowa...

Zjeżdżaj na koniu w dolinę głęboką!
Góra zielona... wjeżdżaj na tę górę
Ślimaczą drogą... teraz podnieś oko!
Gdzie patrzysz? wyżej!... tam, tam aż pod chmurę!
O jaki widok!... skała rośnie złota
Z arabeskowym rysunkiem Callota *).

Z łona zielonych krzewin i cyprysów
Wyrasta ścianą prostopadłą skała
Porysowana, jak mnóstwem napisów,
Mnóstwami domków – a jaskółka śmiała,
Ów miły piastun wieśniaczy i boży,
Tak nie przylepi gniazd i nie ułoży.

Cała budowa, jako wachlarz płaska,
Jeden ma tylko bok i jedno lice;
A wytnij sobie z jakiego obrazka
Całą niemieckich miasteczek ulicę,
Niechaj mur jeden jednostajnie siny
Nosi te domki – krużganki – kominy

I galeryjki – i sine okienka –
I domki wczora tynkowane świeżo,
Niechaj to wszystko różnorodnie wsięka
W jedną podstawę – pożegnaj się z wieżą
I dzwonicami, któreś sobie roił,
A jeśliś domki pobudował, spoił,

I sobie całą ułożył strukturę –
Zanieś to wszystko wyobraźni okiem
Na szmaragdową cyprysami górę,
Przylep do skały... jeszcze pod obłokiem
Na samym szczycie, gdzie głazu ułomek,
Postaw forteczkę i jaskółczy domek...

Niech dym, co mnichów kominami goni,
Framugę sadyz zrobi nad klasztorem;
Niech się to wszystko kiedyś Turkom broni,
Niech teraz będzie spokojne wieczorem,
I zda się lekkim pajęczyny włókmem,
W promieniach słońca jasne każdym oknem;

*) Sławny rysownik arabesków i snów dziwacznych.

Niechaj to wszystko razem się pokaże
Nad głową twoją i za drzewy znika,
I znów, jak dziewic szpiegujące twarze,
Gdy z poza liści śledzą wędrownika
I same także śledzone ciekawie,
Znów błyska – znika – i śni się na jawie; –

A będziesz widział – nie widzisz? więc próżno!
Ja doskonalej nie opiszę rymem...
Trzeba, ażebyś wziął sakwę podróżną,
Mój czytelniku, i został pielgrzymem;
Inaczej z wielką litością i żalem
Będę o tobie myślał w Jeruzalem.

Tymczasem... co to? wieczorny skowronek
Śpiewa nad nami w obłoków błękitcie?
Nie – to klasztorny na krążanku dzwonek
Już zapowiedział pielgrzymów przybycie.
Widzę na ganku dzwoniącego mnicha,
Znów karawana idzie w górę – cicha.

Oczy po takim ciąglem wniebowzięciu
Patrzą w obłoki – a klasztor przed nami,
A mnichów trzystu sześćdziesięciu pięciu
W błękitnych szatach, z czarnymi brodami,
Snuło się w słońca złotego odbłyску,
Jak rój komarów – lub mrówki w mrowisku,

Lub jak rój pszczelni – bo tak doskonale
W plastrze tynkowym porobił komory;
Tak poświdrował korytarze w skale,
Wiszącym domkom takie dał podpory;
Tyle zapasów nagromadził w doły,
Że Bóg się spyta – ludzie wy, czy pszczoły?

Czy jakie inne i mniejsze robaki,
Co w przylepionym na skale listeczku
Nagromadziliście wina, tabaki,
Cnót po troszeczkę, grzechów po troszeczkę,
Czekając jasnej zmartwychwstania chwały,
Gdy cicho listek odedrę ze skały?

I wy myślicie, że ja wam przepuszczę,
Patrząc na tynku odpadłego łąte,
Na korytarze wasze – co jak bluszcze
Idą na skałę kręte, węzłowate –
Na źródło wasze cudowne, na składy?
O moje małe bezpieczniowe owady!

Wy, którzy świecę zapalacie jasną,
Gdy pielgrzym kładzie swój grosz do skarbony,
Nie obrazowi – lecz na miłość własną
Rzucając blaski, wy, kraczące wrony
W kraju bezpłodnym i pięknego nieba,
Gdzie się i modlić – lecz i orać trzeba!

A tażto becзка? (to wszystko Jehowa
Mówi do mnichów tam, gdzie sąd ich czeka,
A ja powtarzam tylko Boże słowa)
Ta becзка, votum chorego człowieka,
Którą dał biedny – ach, nie mnie Jehowie,
Lecz wam – za cudem odzyskane zdrowie...

I wasze głupstwo, żeście się chwalili
Z takiego daru, i wasza ciemnota –
Życie podobne do próżniackiej chwili –
I wasza grubość chłopska, nie prostota –
I wasze kłamstwo cudów – i tam dalej...
Weź, Lucyferze! niech ich piekło spali!

Tu się jednego twarz archimandryty
Odwróci, z jednym mnichów pokoleniem,
I rzeknie Bogu: „Nasz dom, niezdobyty
Ibrahimowym mieczem i płomieniem,
Zniszczyłeś, Boże; a Lucyfer dumny,
Żeś odkrył pełne prochem grzechów trumny.

„A ślad na skale gmachu – jak na belce
Znak skruszonego gniazdeczka jaskółek;
A pomyśl, kiedyś, zatrwożony wielce
W naszym klasztorze lud znalazł przytułek,
Wtenczas widziałbyś dla mrących z przestracchu
Aniołem stróżem każdy kamień gmachu.

„I gmach się w on czas cały w lud zamienił,
Jak twój tron jasny mieni się w aniołów;
Tak wiele duchów zebrał i spromienił
W twoje podnóże... i do naszych stołów
Siadało wiele – nas mnichów niegodnych,
Lecz wiele sierot płaczących i głodnych...

„I w nocy pełnej piorunów i błysku
Sam szedłem – własne zapalić szpichlerze *),
Co pod nogami na skały urwisku
Stały, ubrane w cyprysowe wieże;
I zapaliłem... i przy tym pożarze
Widziałem w dole białe Turków twarze.

„Potem z klasztoru patrzeliśmy mnichy
Na mur poryty ognistemi rysy,
Na dom nasz własny... jak na węgiel lichey,
I na stojące w płomieniach cyprysy,
Jak ci szatani, co tam – widzisz, Boże –
Stoją przy piekła płomiennym otworze.

„Niejeden mrący, spragniony i ranny
W ostatniej chwili – usłyszał nad sobą
Płacz brylantowej cudami fontanny,
Otworzył usta – westchnął – i był z Tobą...
Źródło, że wiecznie płakało nad ludem
Żywych i mrących nazwaliśmy cudem.“

Wtenczas przytomny obronom szlachetnym,
Na potępienie mnicha rzekłem z boku:
A owa, owa – w tysięcznym ósmsetnym
Trzydziestym szóstym (nie mylę się) roku,
Dnia trzynastego września (tak mi świeża
Data i dzień ten) dana mi wieczera?

am ją kazałeś zastawić na stole
I sam przyszedłeś, o archimandryto,
Cieszyć się patrząc, jak mię w gardło kole
Kość twoich garnków – twego chleba żyto –
Mszcząc się, że paszport wydała mi Francya,
Że czczę papieża – lecz gdzie tolerancya?

*) Budynek spalony.

Lubię, gdy cichy promień słońca strzeli
W ciemną altanę—lub na sklep, gdzie prix fixe
Błyszcą klejnoty—lub do księżej celi
Złotym promieniem lecąc na krucyfiks—
Albo na rzymskich kościołów mozażki,
Lub na błękitny dym rzucony z fajki.

Lubię, gdy pada promień złotolity
Na siwe włosy starego żebraka;
Albo na czoło umarłej kobiety,
Albo na skrzydła pływające ptaka;
Albo na róże, co wysoko niosą
Jesienne czoła błyszczące się rosą.

Lubię, gdy pada z chmur na odsłonioną
W pochmurnym rynku statuetę Kopernika;
Lubię, gdy pada w nasze ciemne łono
I*znów z człowieka robi słonecznika,
Za światłem życia obracając twarzą
Myśli marzące... póty, póki marzą.

W komnacie mniszej, otoczonej w koło
Rzędem tureckich sof kwiecistej barwy,
Promień słoneczny padł na moje czoło;
I snów zwichrzone rozpędziwszy larwy,
Rozwinął znowu moje myśli senne
Na życie marzeń mglistych... cało-dzienne.

PIEŚŃ VIII-ma.



NAPOLI di ROMANIA.

dzie nasz Neapol – i morze – i ganek?
Skąd widać było dwa białe miesiące,
Skąd widać było wybrzeże – i wianek
Białych żagielków – i światła płonące
Pod żagielkami – gdzie ostrygi szare
Ze srebrną piersią – i frutti di mare?

Gdzie na wybrzeżu sklepik przy sklepiku,
Żagiel przy żaglu – przy świetle światełko,
I tych światełek na brzegu bez liku,
A każde swoje białe ma skrzydełko,
Jakby gwiazdeczek jakich nowych plemię,
Które skrzydłami Bóg przysłał na ziemię.

Czarowny widok – czarowne wieczory!
Ciebie zachwycał zgłęb ludzi i tęcza,
W jaką się ludzkie wiązały kolory
Nad błękitnawem morzem w pół obręcza.

Jam patrzył w księżyc – co lotem aniołów
Puszczał się w błękit – z mogiły popiołów.

Dziwnie dziś jestem w mieście – miniaturze
Znanego tobie Neapolu. Domy
Zaległy tutaj ponad morskie wzgórze,
Forteca weszła na szczyt skały stroméj,
Mniejsza zaś druga w otchłań lazuruwą
Weszła się kąpać – jak Castel dell'Ovo.

Morze błękitne – i góry z mgłą siną,
Lecz nie tak ścięte, jako cukru głowa
Ani jak krater...“

.....

GRÓB AGAMEMNONA.



iech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtoruje myśli posepnej i ciemnej –
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. – Jak mi smutno!

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wiecznie słyhać!
Druidyczna to z głazów wielkich grota,
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry głos – ta bieli płótno
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk, i rwie jej przędziwo.
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną;
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów – a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowym pochowane słońcem,
Jak by mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. – Strasznym jest Rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyzy:
Jest objawieniem – wielką pieśnią ciszy.

O! cichy jestem – jak wy, o Atrydzi,
Których popioły śpią pod świerszczów strażą –
Ani mnie teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą.
Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy!

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble lub gołębie,
I listkami się czarnymi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszczu.

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
Tylko się słońcu stała większa szpara
I wbiegło złote, i do nóg mi padło.
Z razu myślałem, że ten, co się wdziera
Blask, była to struna z harfy Homera –

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułović i napiąć i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Nad wielkiem niczem grobów – i milczącą
Garstką popiołów! – ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

Tak więc – to los mój, na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych
To los mój, senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych
Albo umarłych – i tak pełny wstrętu –
Na koń! chcę słońca i wichru, tętentu!

Na koń! – Tu łożem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody płynie laur różowy,
Ze łą i wielką błyskawicą w oku,
Jakby mię wichler gnał błyskawicowy,
Lecę – a koń się na powietrzu kładnie,
Jeśli napotka grób rycerzy – padnie.

Na Termopilach? – Nie, na Cheronei
Trzeba się memu załamać koniowi;
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla mało wiernych serc – podobne snowi.
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To tej mogiły, co równa jest – naszej...

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legion umarłych Spartanów;
Bo jestem z kraju smutnego Ilotów,
Z kraju – gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju – gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół-rycerzy – żywych.

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wązowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce kruszy wstyd – w każdym Polaku.
Ja tam nie będę stał przed Grecyi duchem –
Nie – pierwej skonam, niż tam iść – z łańcuchem!

Na Termopilach – jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: – „Wielu was było?” –
Zapomnij, że jest długi wieków przedział –
Gdyby spytali tak – cóżbym powiedział?!

Na Termopilach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza –
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
I długo płakał lud takiej ofiary
Ognia wonnego i rozbitej czary.

.
Przeklnij—lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida, przez węzowe róźgi.
Boś ty, jedyny syn Prometeusza—
Sęp ci wyjada nie serce—lecz mózgi.
Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew i zatargam.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!
Lecz wiedz, że ręka przekleństw, wyciągnięta
Nademną—zwinie się w łak jak gadzina,
I z ramion ci się odkruszy—zeschnięta!
I w proch ją czarne szatany rozchwyca:
Bo nie masz władzy przekląć—niewolnico!!!—

PIEŚŃ VIII-ma.

(Koniec).

Nie, nie, dopóki będziesz ręką drżącą
Zakrywać piersi puste, owdowiałe;
To ja nie klęknę, nawet przed klęczącą,
Bo ja mam inną, smutną matkę, chwałę,
Co mi ociera łzy płynące rzadko,
A i tę trzecią mam, co mi jest matką.

O najbiedniejsza! tobie z pól myceńskich
Chciałbym już posłać prochów moich urnę.
Wrzuć w proch ten dwoje obrączek małżeńskich,
Zaknij Dyannę i duchy pochmurne,
Aby ci widzieć mnie raz pozwoliły
W promieniach... jam ci był drogi i miły.

Teraz nie jestem niczem, a te mary,
Co okrążyły mnie, wzywają dalej,
I pokazują girlandy i gwary
Anielskich duchów, pójdę... krew mnie pali;
Już osądzony śpiewam jak łabędzie,
Lecz gdy cię dojdzie pieśń, co z tobą będzie!

Tyś uśmiechała się, to było wczora,
Kiedyś mię smętnym w dzień znalazła inny
Zapłakanego nad śmiercią Hektora.

Nie był to głupi płacz, ani dziecinny,
Głupsze są teraz łzy, co lecą skorsze,
Gdy wspomnę los mój, ach! łzy stokroć gorsze.

Żórawie, co tam nad Koryntu górą
Rozciągnęłyście łańcuch ku północy,
Weźcie na skrzydła moją pierś ponurą,
Zanieście z sobą, może przyszłej nocy
Kraj przelatywać będzie ta pieśń głucha,
Jak dzwon żaloszny brzmiać w krainach ducha.

Żórawie! wy cò w powietrze różane
Co rano długą wzlatujecie szarfą,
Wyście mi były niegdyś ukochane,
Wyście-jesienną moją były harfą!
Wy i szumiące sosny nad grobami,
Gdzież się ja dzisiaj zobaczyłem z wami!

A jednak... jam to przeczuł w życia wiosnę,
Że będę kiedyś nieszczęśny i błędny,
Że może z serca niedoli urosnę
I będę z duchów miał wieniec podrzędny
I z dziką kiedyś pożegnám tęsknotą
Wasz łańcuch, zorzą pochłonięty złotą.

Dziś ta godzina przyszła, bądźcie zdrowe!
Tam archipelag mnie woła błękitny,
Tam Korynt trzyma koronową głowę
A za Lepantem Parnas starożytny...
O Muzo moja, jakże ty pozdrowisz
Górę, gdzie siedział Apollo i Jowisz?

O romantyczna Muzo, na kolana!
Bo ja ukłony mam tu dla tej góry
Od lipy wonnej klasycznego Jana
I od śpiewaka dzieci i tonsury,
I od śpiewaka Potockich ogrojca
I cichy, łzawy pokłon mego ojca.

Ja wiem, że teraz jest on przy mnie duchem,
Ale mu twarda śmierć zamknęła wargi;
Oto mi nawet szeleści nad uchem

Figowe drzewo, jakby szmerem skargi.
Słyszę głos mi już ojca niepamiętny,
Lecz jego musi to być głos, bo smętny.

Więc smutnym głosem i niedomówionym
Pozwala czasem śmierć mówić po śmierci.
Góro, co błyskasz księżycem czerwonym,
Jak wulkan krwawy... o pęknij na ćwierci...
Boś ty wyśmiana wróblów świergotaniem,
Albo zawczesnem rannych kurów pianiem.

.....

PIEŚŃ IX-ta.

Jest na korynckiej górze mała grotka,
Figowem drzewem od wejścia zakryta,
I tam odbiegła mię moja tęsknota;
Stamtąd albowiem oko tęskne wita
Kraj cały, żyzny, zielony, szeroki,
Przerżnięty wstęgą korynckiej zatoki.

Nigdzie tak piękne i tak szafirowe
Morze nie świeci, jak tu w tej dolinie,
Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę
Oko na morze to błękitne wpłynie,
To zamyślane odwrócić się nie chce,
Tak go ten błękit rozwidnia i łechce.

A tam na prawo, gdzie drzew nagle braknie,
Korynt... już myślisz... że tam kolumnady,
Jakich wzrok często północnika łaknie;
Lecz Korynt dzisiaj, to chatek gromady,
Nad nimi kolumn niewielkich wierzchołek,
A matką wszystkich kolumn ten kościółek.

Wszedłem... w świątyni dwie młode Greczynki
Miotłami z ziemi zmiatały na kopce
Czarne od prochu korynckie rodzyнки,
A na kolumnach ściętych mali chłopce,
Pasterze... w dudki z trzciny wycięte grali
Kilka baranów sennych i tam dalej...



Już wiesz, jakie są obrazy sielanek...
Lecz nie widziałeś ich na greckiej ziemi;
Ten smutny kolumn już bezżennych wianek
Te drzewa żywe, co z marmurowymi
Takimi są tu nieraz przyjaciół,
Jak u nas lipy z wiejskimi kościoły.

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy,
Pełny baranów cień każdej kolumny,
I pełny owiec cień każdej oliwy,
A pasterz na te cienie patrzy dumny,
Bo są jak sznury pereł dla kochanki,
A w cieniu od drzew leżą owiec wianki.

Tu duch przeszłości... spokojność rozlewa
Na śpiące owce... na pasterzy twarze.
Zefir się rzadko na trawy rozgniewa
I Jowisz rzadko tu piorunem karze.
Wszystko zamknięte na wiekowe blizny...
I w takiej ziemi być! i bez ojczyzny!

Czemuż nie jestem tu owiec pasterzem?
Czemuż nie jestem panem tej winnicy,

Panem tej chaty nad morza wybrzeżem,
Nad którą Parnas, w hełmie z błyskawicy,
Czuwa – i cicho sny bogów nastęcza,
Co się w powietrzu unoszą jak tęcza.

O słońca wschodzie wstawałbym, pobożny,
Od moich owiec raniej – od jaskółki,
Do mnie by gołąb zlatywał nietrwożny,
Z Hymetu by się zlatywały – pszczołki
I kładły miody w złamanej kolumnie,
Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

Na mej policy... czara starożytna
I pełna wina starego amfory;
Przed chatą – jaka Najada błękitna,
Wylewająca łzy w ciszy wieczora.
Brzęcząca smutno o marmur wymyty;
Kilka drzew, kilka malw z jasnymi kity

I sad, gdzie ciemna liśćmi cytryna
Słońce odstrzela liściem zwierciadlanym,
Pod którą wcześniej noc już być zaczyna,
Noc sprzyjająca myślom zadumanym,
Zielono-ciemna, cicha, wonna, świeża,
Noc dla poety i owiec pasterza.

O wy amora słudzy, wieczne duchy,
Z motylowemi skrzydłami wietrzni...
Jabym rozesłał was gdzie na podsłuchy
I przez was wiedział natury tajniki,
I co wieczora, pijąc nektar słodki,
Strącałbym z czary – was mówiących plotki...

O różnych ludzkich miłościach tajemnych,
O sercach, które nie kochane – pękły,
O skarbie w straży aniołów podziemnych.
A gdybyście mi o czym smutnem jękły,
O jakim kraju, co leży w mogile,
Wziąwszy was, duchy, za skrzydła motyle,

Skapałbym całych w czerwonym Falernie,
Malwy rozkwitłą schłostałbym łodygą,

Między różami gdzie zarzucił ciernie;
Lub wzięwszy za łeb, zrobiłbym go frygą,
Aby się kręcił, szedł w ciemne Ereby,
Że mi przypomniał smutek bez potrzeby.

Przed moją chatą przyjaciele młodzi,
Kiedy się dla nich cały baran piecze,
Pokazałoby słońcu, co zachodzi,
W piryjskim tańcu wydobyte miecze;
Przed nimi z twarzą jasną i wesołą
Grałbym na lutni i prowadził koło.

A tam na szarej kolumny ułamku
Wianek sąsiadów moich siwobrodych,
Pochyłych ludzi, przy pochyłym domku,
Dawałby ręką takt tańcowi młodych...
I przyklaskiwałby temu rymowi.
Duchy, sny, straty, starce, bądźcie zdrowi...

Czy nie widzicie? żem chory: szatanizm,
Bajronizm, siedem mnie dręczy boleści;
Wierzę w religię mas, w republikanizm,
W postęp... a nawet... wierzę w te czterdzieści
Cztery... choć nie wiem, co ta liczba znaczy,
Ale w nią wierzę jak w dogmat... z rozpaczy.

Mam także ufność wielką w jezuicką
Reakcyę... lecz się nie łączę i czekam;
Tymczasem trudnię się mową sanskrycką,
I z Europy znudzony uciekam,
Jak człowiek, co się na przyszłość sposobi
I chce przekonać ludzi, że coś robi.

Najwyćwiczeńsi w tej sztuce kłamania
Nie warcą są mi rozwiązać trzewika;
Ciągłe mam czarny palec od pisania
I w oczach ciągle coś nakształt płomyka
Poetycznego... stąd mię częściej wita
Poetą—ten, co widzi, niż co czyta.

Biorę na świadki te strofy ostatnie,
Czy w nich poezji jest choć za trzy grosze.
Nie bój się, niech je twa krytyka płatnie,

Od nieprzyjaciół moich więcej znoszę,
Te strofy są złe, powiedz to otwarcie;
Pisałem, jakbym nigdy nie był w Sparcie.

Te strofy są złe, no więc na to zgoda;
Niepoetyczne... zgadzam się i na to...
Chodźcie tu do mnie... patrz... błękitna woda
Igra pod moją kaiką skrzydlatą;
Łódka przez fale rozbudzone pędzi,
Jak najkształtniejszy z Olimpu łabędzi.

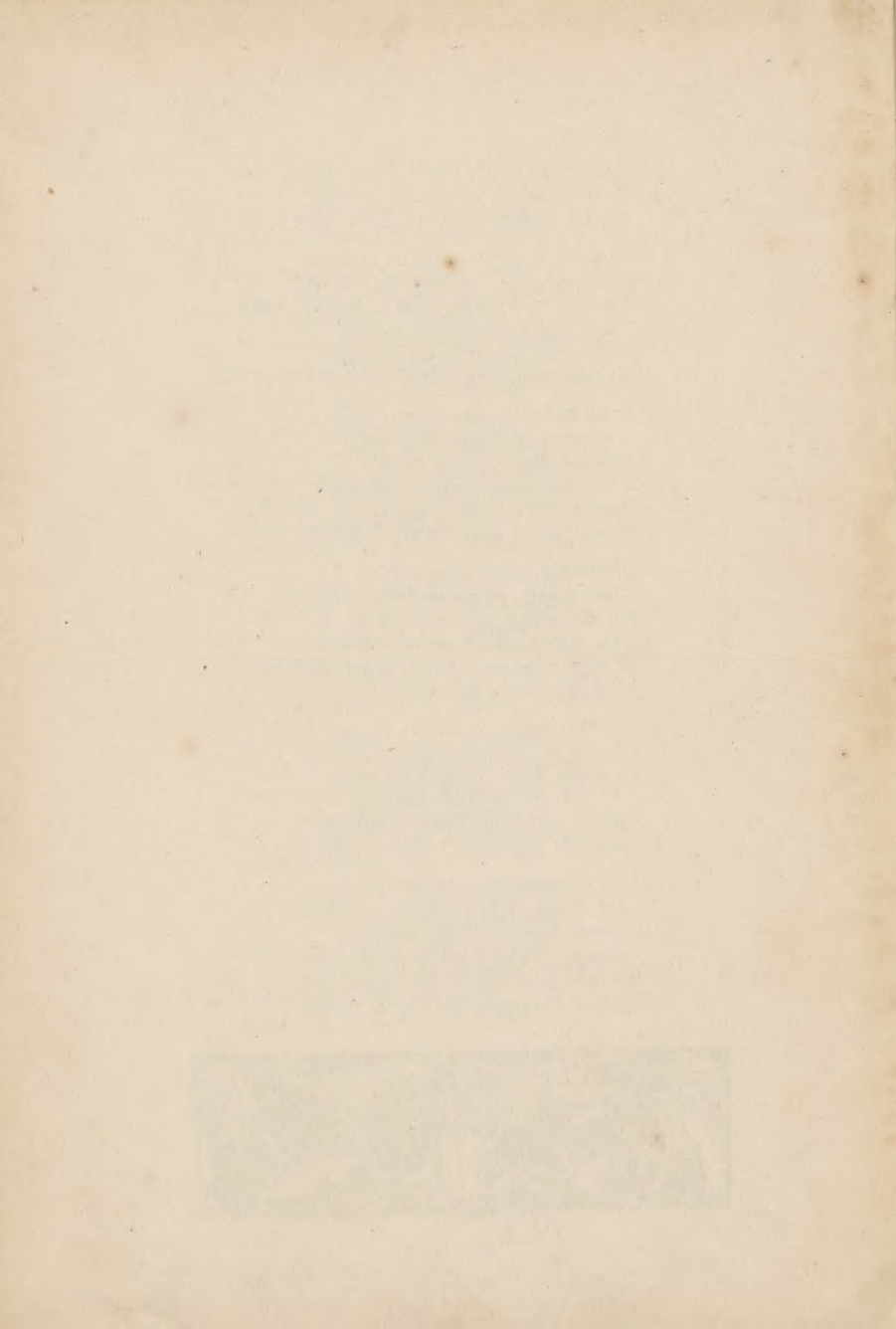
Przez nachylone żagle księżyc błądy
Pokazuje mi majtki zadumane;
Stoją jak dawni rycerze Hellady
O maszt oparci... złotem haftowane
Pancerze mają i białe kapoty...
Księżyc jest na nich błękitny i złoty.

Oni umieją zostać nieruchomi,
Jako posągi, patrząc w niebo czyste,
Eol sam wichry szalone poskromi
I z żagłów muszle porobi srebrzyste,
W których się oni... na pół skryci, mieszczą,
Jak duchy – myślą wywołane wieszczą.

I cicho, i wraz... o! godzino święta,
Łódka się w morskie rzuciła głębiny,
I z jękiem nagle stanęła wzdrygnięta...
To była pierwsza fala Salaminy:
Spotkać pierwszego Polaka przybiegła.
I wstrzęsła mnie tak... i jęka i legła.

A za nią inne fale z wielkim gwarem
Od brzegu biegły, szerzące wzdychania.
Jutrzenka żywym splonęła pożarem.
Słońce... już było blizkie swego wstania;
Myślałem, że w tym wiekopomnym kraju
Stanie w piorunach, jak Bóg na Synaju.





SPIS RZECZY.

Beniowski	<i>str.</i> 7
Kartony W. Pawliszaka. Winiety A. Gawińskiego, W. Pawliszaka, W. Piechowskiego, A. Piotrowskiego, St. Sawiczewskiego.	
Pódróż do Ziemi Świętej z Neapolu. Poemat niedokończony.	177
Kartony A. Piotrowskiego. Winiety A. Piotrowskiego, J. Ryszkiewiczza.	
Portrety Euzebjusza Słowackiego i Salomei Słowackiej. Rodzice Juliusza Słowackiego.	

RYSUNEK na okładce ze sztychu A. Oleszczyńskiego. — KLISZE z zakładu B. Wierzbickiego i S-ka. — PAPIER z fabryki C. A. Moesa w Pilicy. — DRUK „Warszawskiej Drukarni Estetycznej“, pod zarządkiem T. Jankowskiego. — Składał Władysław Jache, odbijał na maszynie Józef Łaszczyk. — OPRAWY z introligatorni artystycznej A. S. Rudowskiego.

Biblioteka Główna UKW



000017915100

320 -

A Nr 348649

884

Słowacki, Juliusz
Dziela : (wydanie
illustrowane)

J. SŁOWACKI
DZIEŁA